Z POD MŁYŃSKICH KAMIENI

EMIL ZEGADŁOWICZ

Z POD MŁYŃSKICH KAMIENI

ŻYWOT
MIKOŁAJA SREBREMPISANEGO

CZĘŚĆ DRUGA

NAKŁAD KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA
POZNAŃ — WARSZAWA — WILNO — LUBLIN

Akc. K 1122/78

WOJEWÓDZKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA DZIAŁ ZBIORÓW SPECJALNYCH W BIELSKU-B.

099.5
MS

11564

Wojewódzka Biblioteka Publiczna Bielsko-Biała

159480

ZS
099.5
Zagadtowa

811 162.1-3
~~811-3~~ : 099.5 D/Z + 094/036

TŁOCZONO W DRUKARNI ŚW. WOJCIECHA W POZNANIU
NA PAPIERZE Z WŁASNEJ FABRYKI PAPIERU „MALTA".

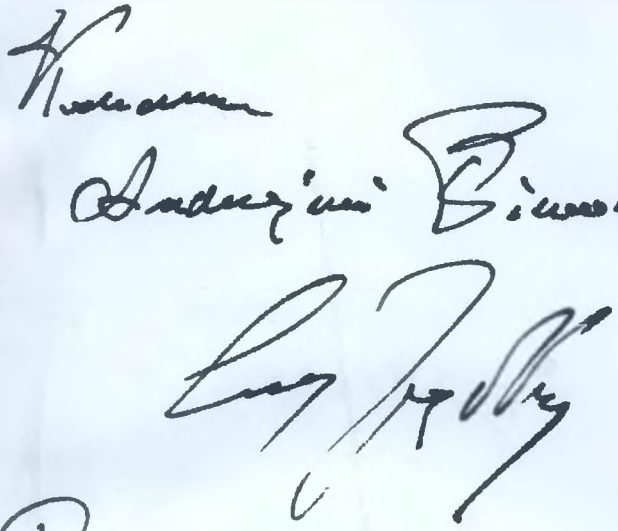

Radom
12. IV. 938. r.

KSIĘGA PIERWSZA

SIELANKA

KSIĄŻKA PIERWSZA
SIELANKA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ZDRADZAJĄCY W KILKU SŁOWACH WIEK MIKOŁAJA SREBREMPISANEGO, POCZEM ASYSTUJEMY POSIADOM I POGWAROM PANA MICHAŁA Z WÓJTEM PORĘBIAŃSKIM, JANEM KOWALCZYKIEM, CO TO JESZCZE W SUKMANIE CZARNEJ CHADZAŁ.

Mikołaj kończy szósty rok życia.

Nie interesuje go to zresztą; i słusznie; poco?

Zaledwie „umiał" co to jest „sześć" (— z liczeniem było zawsze gorzej! —)

A co znaczy „rok" — ? —

A co znaczy „kończy" — ? —

A co znaczy „życia" — ? —

Natomiast umiał już niezgorzej czytać i pisać.

Czytał wiele, pisał mało.

Czytał więcej niż trzeba, pisał mniej niż trzeba.

— — — — — — — — — —

Otóż tak:

— Było to za sławetnego i szczęśliwego panowania w Porębie Murowanej wójta Jana Kowalczyka.

Przychodził ten Jan Kowalczyk często do pana michałowej świetlicy na dobry haust wina.

W szklance rżniętej w sześciany ostre złocił się ruchliwy płyn — po który sięgała koścista,

spracowana ręka wójtowska, już u korzenia myśli zakrzywiająca palce, jakby tę nieistniejącą szklankę niosła na stół nabożnie, ostrożnie.

Jan Kowalczyk pił powoli dużym łykiem, poczem chustę wielką, czerwoną, z kieszeni sukmany wyciągał, wytrzepywał okruchy (kieszeń kieszenią) i wąsiska obcierał — dwa razy w prawo, dwa razy w lewo.

Chłop wysoki, przygarbiony, obstarny, (sześćdziesiąt lat z okładem setnym) nosił przedówczesnym zwyczajem sukmanę czarną, kapotną, długą, w stanie brytami zwężoną; tam to w najwęższem miejscu dwa płaskie guziki — były, jakby tej szaty oczami, patrzącemi co się za plecami dzieje — ; — wójt! — wiadomo — wszystko widzieć powinien; — tak też te guziki i przyczynę miały przewidzianą i potwierdzeniem były, że wszystko ma swój cel.

Kapot tych sukmanowych, wtedy już, widywało się niewiele.

Dziś już zprzały doszczętnie.

Na lekarstwo ich nie uźroczysz.

Jeszcze się tylko te, z stroju tubylczego, żółte kożuchy baranie poniewierają — tyle też tego niegdysiejszego dobra chadrowego.

Spowszedniały ubrania docna; — to niedobrze; — cóż robić; — — no! i kierpce ostały! — Bogu dziękować i za to!

Przychodził było Jan Kowalczyk — wójt dostojny — do pana Michała na pogwary długie: — co we wsi, — a co w mieście, — a co kadyino po świecie.

Tak się i często-gęsto upewnia:

— Nie cni sie to ta jegomości na wsi — ? —

— nie, nie —

— no, bo to ta miejskie myślenie inakse, całkowicie odmienne —

— nie moje ono —

— a ino! — widać, musi, ze tak.

Haust wina; chustka; wszystko jak należy i jak trzeba.

Po chwili:

— co tyz-to miołem pedzieć? — ano włośnie! — ze to ziandary posterunek majom na mycie — cheba sie co ka stało, bo nie u nos.

— na mycie, powiadacie?

— nie u nos, bobyk wiedzioł.

— no oczywiście.

Tym to już namytowym (dzisiaj przynajmniej) trybem szła rozmowa powolna i rozważna.

Szklanka pełna luzowała pustą.

Raz było krysztalnie, a raz znowuż złoto w tym kręgu najbliższej przynależności wójtowej.

Mowa, oczywista, o tym kręgu na stole, bo ten drugi, który się w głowie czynił — był bliższy i dalszy i rozmaity.

Pan Michał pił małemi łykami z kieliszka okrągłego, jak umberka lampki; — czarka ta osadzona była na nóżce kryzowanej kilkakrotnie, a zakończonej podstawą kolistą, szeroką, pewną, niewywrotną; — można było polegać na niej, jak na Zawiszy.

— A to oni całe gospodarstwo nabyli — ? —

— a jakże! — a wszyśko za kościelny piniądz.

ROZDZIAŁ DRUGI.

O TEM, JAKTO JĘZYK W PISANIU POMAGA, O TABLICZCE ŁUPKOWEJ I RYSIKU DWUBARWNYM, O LINJACH, POŁĄCZKACH, SAMOGŁOSKACH, ELEMENTARZU, OBRAZACH, WICHRZE I SŁOWIE MAGICZNEM UŚMIERZAJĄCEM WIATR.

Tymczasem Mikołaj siedziaj w pokoju sąsiednim przy szym stoliku małym i wiernym.

Siedział i pisał na tabliczce rysikiem.

Pomagał sobie, jak mógł, wysuniętym pośród warg koniuszkiem języka (— sytuację taką można czasem zauważyć u kota, gdy to liżąc się, przerywa na chwilę, zastanawia się, gdzieby dalej futro przeczyścić —); — zgrzyt piskliwy rysika na łupku wywoływał oskominę w ustach i silniejszy napływ śliny.

Tabliczka była, zwyczajnie, prostokątna, ujęta w ramę drewnianą, w której z jednej, a krótszej, strony, była przewiercona dziurka; w niej zasuplony sznurek dźwigał szmatkę i gąbkę.

Popielato-czarny łupek tabliczki porysowany był w linje czerwone — ; — w miarowych odstępach powtarzały się tych linij cztery kondygnacje: dwie środkowe zbliżone ku sobie, górna zaś i dolna umiernie oddalone.

Rysik miał kształt cienkiego ołówka (bez drzewnej oprawy) — do połowy koloru tabliczkowego — srebrzył się i desenił niebiesko połową drugą, owiniętą w papier lśniący.

Takie to były pierwsze ogólne a wraz i mikołajowe przyrządy służące do wyrażania nietyle myśli ile znaków rozmaitych, które złożone głosem tworzyły słowa o sylabach zazwyczaj rozdzielonych t. zw. „połączką" — n. p.:

— b a = ba, b a = ba — ba-ba —

— ż a = ża, b a = ba — ża-ba —

albo:

ch m = chm, u = chmu, r y = ry — chmury —

Trudność cała polegała na tem, że litery krótkie winny być wpisane pomiędzy te linijki środkowe, zbliżone, — a litery długie, ku górze wyrastające, miały dosięgać linijki wyższej, tak samo znów do niższej dorastać winny korzeniaste litery wdół ciążące.

Z początku szło to opornie — później jakoś litery stawały się posłuszniejsze i podatniejsze, a ręka coraz bardziej nieomylnie wymierzała przestrzenie należne — przyczem zapracowywał się do obolenia i umdlenia wskazujący palec, mocno i ostrym hakiem naciskający zgóry rysik.

Takie już jednak było przeznaczenie, że wprawy ostatecznej w kształtowaniu liter Mikołaj nie nabrał ani wtedy ani później — pięknopisarstwo było dlań dziedziną nieprzystępną.

Często też właśnie rozmarzał się i wyobrażał sobie siebie piszącego tak pięknie, tak ślicznie, jak to widzi na owych wzorach kaligraficznych, litografowanych na grubych karteluszkach, z których przepisuje litery, tak bardzo — Boże mój, Boże! — tak strasznie nieudolnie.

Kończą się już linijki.

Tablica ma swój wymiar ścisły; — ramki drewniane są granicami jej obowiązku, którego przekroczyć nie waży się nigdy i żadna tablica — żadna, z tych tu na ziemi znanych tablic; — bo inne.... kto wie....

Mikołaj schował język do buzi.

W ten sposób ściągał tę różową, mięsistą chorągiew, którą wywieszał na twarzy —: znak, że zajechała przed oczy praca pisacka.

A teraz czytanie:

ustęp pod tytułem....

Zaraz!

Najciekawsza jest przecież pierwsza strona z domkiem z kresek ustawionym, żóraw, stołki, stół, szopa, ława, drabina.

Lecz i druga! —: igła z kawałkiem nici: i, ucho: u, znów małe i, małe u, a potem duże oko: o — i — u — o.

A trzecia! —: anioł z olbrzymiemi skrzydłami i z gwiazdą nad głową, prowadzi przez kładkę, przerzuconą nad szumiącą wodą, dziecko w sukience długiej; dziecko wspiera się na wysokiej, jak jej właściciel, lasce —: a —

więc już: i — u — o — a —

A oto poniżej wyrysowana książka:

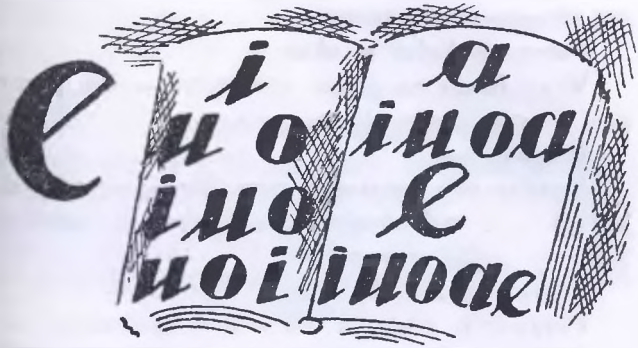

elementarz!

Szkoda, że na kartce tej małej książki niema znów mniejszej książeczki, a w niej tych liter i znów jeszcze mniejsza książeczka — i tak wciąż! — byłoby, jak z tą tratwą, co to śniła się coraz bardziej nieistniejąca.

Dużo czasu zajęło to przewracanie kartek znanych już i przyjaznych, wręcz poufałych.

A przewodzi zastępowi kart stronica siódma.

Taki tam jest rysunek:

— na łóżku siedzi matka; przed nią — podtrzymywane opiekuńczą ręką matczyną — dziecko klęczy w koszulinie i modli się przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej; — pod obrazkiem lampka oliwna; — a poniżej rysunku na prawo: — m —

m a = ma, m a = ma — mama —

po drugi raz końcowe *a* zastąpione przez *o*.

Prośba? — czy nawoływanie?

Nigdy nieużywany okrzyk! — radosny? — a choćby samotny, choćby zapłakany, choćby strasznie nieszczęśliwy: mamo!

Patrzy Mikołaj w okno.

Wiatr huczy na grapie spadzistej — bierze rozpęd — gnie czuby drzew —

Przewiał —

I znów siły gromadzi, przestrzenią wysoką się krzepi — z widnokręgu tchu nabiera — sapie — pędzi — stęka — jęczy —

Zagrały przygięte znagła drzewa —

Przywarły, jakby je kto w kark grzmotnął —

Trwają w drżącem, złuczonem nasileniu —

Aż i odparły się raptownie —

Przesadził je rozbuchany, huczący wiatr — na równe nogi w pośrodek ogrodu skoczył — zaśmiał się — zachichotał — przytupnął — zatoczył —

Od drzewa do drzewa podbiega — potrąca pniami raz, drugi — — — w nagłym zastrachu osypują się drzewa korą, gałęźmi, liśćmi.

Drzewo w drzewo dygoce — górą i dołem —

Aż tu ni stąd ni zowąd powiedziało się samo bezwargową pomocą — przed siebie — w pokój, w okno, w ogród, w wiatr, w niebo: mamo!

Ustał wiatr harców.

Drzewa przechyliły się powoluteńko ku oknu — ku temu słowu —

Słuchają —

Ogród, wiatr, niebo — wszyscy słuchają! —

I Mikołaj słucha — —

Słowo nie powtórzyło się więcej — — —

ROZDZIAŁ TRZECI

O CZYTANIU, W KTÓREM KOZY, ROZMOWA I ROZMYŚLANIA PRZEPLATAJĄ SIĘ RAŻNO, O PRZYGANIE OJCOWEJ I POCHWALE PRZEPOWIEDNEJ WÓJTA, ORAZ O TEM, JAKTO O JEDNEJ I TEJ SAMEJ RZECZY DWA ROZBIEŻNE ZDANIA BYWAJĄ. CHODŹMY DO OGRODU!

A teraz czytanie:

wstęp pod tytułem: „Kozy" —

Obrazek: — deska przerzucona przez strumyk, na niej dwie kozy w postawie bojowej.

Jedna łeb schyliła, druga nad nią przewodzi.

W głębi dach domu, dwie topole nad nim.

Brzeg; pola.

....„Dwie kozy spotkały się na wąskiej kładce"... była taka koza kiedyś u Paździory, biała była; — Toruś jej strasznie nie lubił — ujadał też to na nią! — Toruś jest czarny.

....„położonej nad głębokim strumykiem"....

(— z pokoju ojcowskiego —):

— pijcie, proszę, panie wójcie —

— Bóg zapłać —

— dobrze byłoby posłuchać, co oni tam mówią —

....„Jedna chciała przejść na tę, druga na tamtą stronę"....

— jutro ma przyjść, obiecał „jak Boga kochom", Szymek Gawroński po mnie, — bydzie wielkie, gromadzkie pasenie krów „na dziole" przy skotnicy jałowcowej — żeby tylko przyszedł — —

(— z pokoju ojcowego —):

— ale to prose jegomości jesce wszyśko nic, dopiero, jak sie zacyna ta uganiacka i krętacka wele nowego —

— a to oni całe to gospodarstwo nabyli? —

— a jakze! — a wszyśko za kościelny piniądz —

...„Nabok!" — zawołała pierwsza.

(— z pokoju ojcowego —):

— za kościelny? —

— ano tak, bo to jeik stryk był gwardjanem, kasik wele starego Siońca — tak tam mieli kościół budować, piniendzy zebrali, prowde mówiency, huk —

(— pomyślenie —):

— żeby tylko ten Szymek przyszedł —

...„Oho, zaczekaj, moja pani — odpowie druga, —"....

— strasznie to paszenie lubię, a choćby i nie iść na skotnicę, to się zabawimy na podwórzu — edydy, medydy, cycyfer, aber, namer, dominer — ins bruk, ine ruk, aja, baja, cyka, wyka, gramatyka, won —

...„Ja tu byłam pierwsza, więc też i pierwsza przejdę!"...

— na ciebie „won" — uciekaj! —

(— z pokoju ojcowego —):

— piniendzy zebrali huk, a tu, jak co do czego przysło — chybiło grosy, prowde mówiency to gor nic nie było, a młody se tymcasem gospodarztwo fajne kupił — wiadomo —

— et plotki, — źle tylko mówić wszyscy lubicie, obmawiać, aż zgroza —.

.....„Cóż ty sobie myślisz? — krzyknie tamta; — ja starsza! Mnie się należy pierwszeństwo!"....

— raz, dwa, trzy, cztery — jeszcze cztery linijki, tyle tego, już głowa boli — słońce tak świeci —.

(— z pokoju ojcowego —):

— istno prowda; — ziandary przyśli sukać, un panie święty, piniondz do sąsieka pod siecke schował, — sukali, poprzewracali wszyśko, — ka ta — nie znaleźli —

— w sącieku? — bajdy —

— no dy tak —

— napijcie się —

— nojlepsego! —

.....„Poskoczyły ku sobie i uderzyły się różkami"....

— byle prędzej! —

.....„wnet zatoczyły się obie i wpadły do strumyka"....

— jeszcze tylko linijka —

.....„Jakże to źle być niegrzecznym i upartym"....

— koniec! —

Odetchnął.

Cała stronica!

Bogu dzięki!

Aż tu i słyszy ojca głos:

— Mikołaj! — pokażno się tutaj —

— zaraz, tatusiu —

Bierze chłopiec tabliczkę i książeczkę „tak jak to do szkoły" — maszeruje do pokoju ojcowego; zamaszyście — aż gąbka z szmatką tańczą koło kolan —: hopla, hopla — fik, mik —

Ano — wójt siedzi oddalnie od stołu; przechylony; łokcie w kolana wparł, na dłoniach głowę podtrzymuje — kapota połami podłogę zamiata — czapka na prawo przy krześle, też na podłodze —

Ojciec w fotelu — zwyczajem swoim.

W izbie naćmione cygarskami — przez dym przebija się złoty zapach wina.

— cóż — napisałeś? — pokaż —

Podaje ojcu tabliczkę.

— koślaki — koślaki — to *a* do czego to podobne, — kura w piasku lepiej pisze —.

Schylił Mikołaj główkę — nie boli go to połajanie dobrotliwe, lecz troszeczkę wstydzić się trzeba — starsi to lubią — wie z doświadczenia. —

Aliści tym razem jest nieco inaczej!

Bo oto już słyszy:

— cóż tak głowę schylasz — wstydzisz się? — fe! mężczyzna ma z ciebie wyróść — — wstydzić się błędów — fraszka! — poprawić — ot w czem

rzecz! — więc mi się tu nie mizdrz jak dziewczyna rumieńczykami — prosto mi w oczy patrz! — i... no, cóż tam.... staraj się równiej pisać —

Wójt na to *dictum* powieki podnosi — nic, tylko powieki; — jak siedział nieruchawie tak i siedzi; — porusza wąsiskami i mówi z pod nich — a że to usta do znaku zasłaniają — więc jest tak, jakby wąsy same mówiły; — słowom wąsianym przypatrują się oczy, lecz już wtedy, gdy dźwięki dotrą tam, gdzie trzeba — doganiają niejako.

Wąsy mówią; oczy patrzą chłopcu w uszy.

— Cóz? — to on juz pise — ? —

Z niedowierzaniem, — wątpi:

— e! —

— ano pisze, pisze — mówi pan Michał.

— to i cyto? — jakoz?

— no, powiedz Mikołaju, pan wójt pyta.

Mówi więc cichcem, półgębkiem:

— czytam —

— śpas! — pokoz-ze, chłopok, jak to jest po prowdzie, niek sie przekonom —.

Podsuwa więc Mikołaj tablicę wójtowi.

Powoli i długo prostuje się Jan Kowalczyk — bierze w niezgrabne, nieposłuszne ręce tabliczkę — a tak to czyni delikatnie, i tak jakoś nieśmiało, jakby ze szkła cienkiego była.

Na kolanach ją kładzie.

Sięga do kieszeni pod kapotę, wyjmuje podłużne czarne puzderko - tulejkę; wysuwa pokrywę; niebieska podszewka tulejki — — wysterczają

z niej okulary, złożone, jak nogi chrabąszczowe na uśpieniu; wyjmuje pan wójt okulary, a palce mu drżą; — rozkłada druciki sztukowane sznurkiem — nakłada na nos, za uszy — podciąga szkła na miejsce akuratne; — tak tam sobie trwają w odległości przyzwoitej od oczu, w połowie długości zasobnego nosa.

Teraz dopiero prawdziwie tabliczkę przed sobą dzierży.

Penetruje.

Palcem sobie dopomaga w tem liter rozróżnianiu męczącem.

Cuduje się.

Mamroce:

— śpas! — doprawdy pise! — udatnie! — udatnie — nima co godać! — ściderant — cosik śniego bedzie, cosik bedzie, jak amen w pocierzu —

— ano uczy się tam potrochu — obniża wartość podziwu pan Michał —.

— fajno, fajno — przytwierdza wójt (sobie), oddając tabliczkę chłopcu, który niewiele zważał na te rozbieżności zdań, o jego umiejętnościach, wiedział już bowiem, że ludzie o tej samej rzeczy różnie i zgoła przeciwnie mówić potrafią.

Kiedyś też pomyślało mu się, czy też jest taka sprawa jaka na świecie, rzecz taka, przedmiot, czy czynność — o którejby dwóch ludzi to samo powiedziało.

Pomyślało się — minęło.

Tymczasem odebrał tabliczkę i wraz z książką na stoliku złożył.

Rysik wsunął w piórnik, na którym zanikała róża pośród nieistniejących już listków; samotny pączek fruwał nad nią swawolnie.

Mikołaj westchnął (robota skończona!) i wyszedł do ogrodu.

A właśnie był to kwietniowy czas okwitu agrestów.

ROZDZIAŁ CZWARTY

MÓWIĄCY NIECO O RODZINIE KOMENDÓW, OSOBLIWIE O PANU VLASTIMILU I PANI ANNIE O ICH NIECHĘCI DO PANA MICHAŁA, O RÓŻNYCH GATUNKACH MIĘSA, WRESZCIE O ROZMOWACH RODZICÓW Z SYNEM, PROWADZONYCH POD KONIEC MIESIĄCA I O ŻAŁOSNYCH ICH SKUTKACH.

Nauka i umiejętność pisania wydały wnet „praktyczne" — owoce.

Mikołaj Srebrempisany począł pisać listy do... Więc tak:

— w Wołkowicach mieszkała pani Zofja, nauczycielka muzyki — mieszkała z ojcem Vlastimilem i matką Anną.

Pan Vlastimil Komenda osiadł był — po rozmaitych perypetjach — w Wołkowicach, również jako nauczyciel muzyki; — był kapelmistrzem kapeli miejskiej, kapeli gimnazjalnej — oraz udzielał lekcyj prywatnie.

Muzykiem był z powołania, wirtuozem i kompozytorem.

Bezpośrednio, przed przybyciem do Wołkowic organistował w klasztorze oo. Bernardynów w Kalwarji Zebrzydowskiej.

Żona jego Anna, ledwo piśmienna niewiasta, tuszy co się zowie znacznej — „prowadziła dom".

Komendowie byli Czechami; po polsku mówili kiepsko — z wyraźną zresztą abominacją odnosili się do tego języka, jak i do nowej ojczyzny, której *nota bene* za ojczyznę, na Boga! nie uznawali.

W Polsce — nie! — w Galicji czuli się wygnańcami — zarobkującymi przybyszami — rasą wyższą.

Społeczeństwo polskie nie darzyło podówczas Czechów sympatją (jak i dzisiaj — niestety!).

Antypatje były obopólne (jak i dzisiaj — niestety!).

Mawiano, że „pepiczki" — pieskami do Polski zjeżdżają.

Na to Czesi mówili o *„polnische Wirtschaft"* i o tem, że Polacy na najpiękniejsze słowo: *milovati* — używają wyrażenia: kochać, a *kuchati* można rybę lub zająca, bo przecież *kuchati* znaczy „patroszyć".

O zgodzie więc przy takich rozbieżnościach mowy być nie mogło.

Pan Vlastimil był synem budowniczego z Pragi.

Pani Aninka córką młynarza z pod Budziejowic.

Oboje skąpi, skrzętni, pracowici, zapobiegliwi, dorobili się dostatku znacznego.

Z kilkorga ich dzieci ostała się córka Zofja i syn Wacław.

Starzy Komendowie z panem Michałem Srebrempisanym stosunków nie utrzymywali; wrogość ich była nieprzejednana, upór iście czeski.

Wojewódzka Biblioteka Publiczna Bielsko-Biała

Pani Wilhelmina, mająca wielkie zamiłowanie i zaufanie do przysłów, które z jakichś sobie samej niewiadomych powodów chętnie wkładała w usta Chrystusa np. — „ziarnko do ziarnka, będzie miarka — powiedział Chrystus" — albo „Pan Jezus powiedział, kto rano wstaje temu Pan Bóg daje"; — upór Komendów określała rzeczeniem: *„ein Böhm und ein Stier das ist ein Tier"* (do tej sprawy Boga nie mieszała — może dlatego, że przysłowie było niemieckie).

Komendowie pana Michała za męża córki swej nie uznawali. Ślub, którego świadkami nie byli, uważali za tajemniczą fikcję. Wszelkie zaś tajemnice mieli za łgarstwo; sami byli prawdomówni choć skryci. Powikłań życiowych nie rozumieli, byli prostolinijni i ograniczeni. Cała sprawa była dla nich obrazą Boską — a pan Michał heretykiem i złym przeuczeńcem, a co gorsze „filozofem", a co najgorsze: nieszczęściem, które „zawiązało los dziewczynie"; — w tym bowiem czasie, w którym wzrosła w sercach pani Zofji i pana Michała miłość nad podziw silna i urodziwa i dozgonna — starał się o rękę panny Komendówny niejaki Mecnarowski, właściciel dobrze prosperującego interesu krawieckiego o ustalonej z najlepszych sfer rekrutującej się klienteli — i on to, poważny obywatel, bogaty i bogacący się z dnia na dzień — został „odpalony" — dla kogo? — dla starego, z pensji miesięcznej żyjącego, niepraktycznego marzyciela, o którym mówiono, że kiedyś tam był żonaty, że mu ta żona z oficerem uciekła

i t. d. i t. d. — jednem słowem gałgaństwa, jakich świat nie widział — cały ten świat od Pragi do Budziejowic — a od Budziejowic do Wołkowic. Zgroza!!

Ilekroć też była o panu Michale mowa w domu Komendów, czy gdzie indziej, nie omieszkał milczący i ponury pan Vlastimil nazwać go — *„uczenym oslem"*.

Takie było jego przekonanie.

Dzieliła je z nim żona, która swego ani miała ani mieć pragnęła.

Aninka była ograniczona; — jedynym dowodem jej inteligencji była złośliwość.

Natomiast rozumiała się dobrze na mięsie, skutkiem czego była bardzo nielubiana przez wszystkich rzeźników wołkowickich; — mięso kupowała codziennie (prócz dni postnych) — stale trzy ćwierci kilograma, które wybierała dokumentnie, kilkakrotnie obracając je na wszystkie strony —: polędwica, krzyżówka, zrazówka, biodrówka, szponder — cielęcina, wieprzowina, baranina — wybierała wedle gustu, potrzeby i dziennej podaży —;— specjalnem powodzeniem cieszyły się baranie ogony, tłuste i smakowite (wogóle mięso przerastane miało fory); osobliwie też umiała przyprawiać t. zw. płucka zwane przez nią *„peischel"* — oraz wymię krowie znane pod nazwą *„gryfu"* — nie pogardzała również flakami (oczywiście z majerankiem).

Poza tem specjalnością jej były knedle bułczane z sosem grzybowym.

Jako się rzekło, pani Zofja mieszkała z rodzicami.

Ile przy nich, bardzo przywiązana i kochająca ojca i matkę, wycierpiała, Bóg jeden wie.

Syn Komendów Wacław, ożeniony z panią Wilhelminą, mieszkał we własnym domku.

Z rodzicami komunikował się niewiele — tyle ile trzeba, ile „wypada" —: w święta i imieniny; — czasem pod koniec miesiąca, gdy skromne talary pensyjne rozlazły się niczem mrówki przed deszczem.

O ile świąteczne i imieninowe odwiedziny były spokojne, syte i zębodłubne — o tyle te końcomiesięczne bywały zazwyczaj krzykliwe i pełne wygrażań.

Z jednej strony padały słowa: — „pracuj" — *„co nam do teho", „dorostly jestes — na nas se ne ohliduj"* — z drugiej: — „wystarczy to komu pensja?!" — „cholera z całą służbą cesarską!" — Na to znów prawowierni i bardzo do dynastji przywiązani Komendowie krzyczeli: *„nechaj cisarza", „co tobie do neho", — „to neni twój brat" — „rodziców ne czti, cisarza ne waži"* —.

Kończyły się te wymiany zdań wyjściem pana Wacława, trzaśnięciem drzwiami i słowem wyrazistem: „szlagby to trafił!"

Rodzice byli radzi, że im się udało nie wydać ani grosza; bo to niby o pożyczkę chodziło, lecz wiadomo, taka pożyczka to grosz w błoto rzucony.

Nie pożyczaj, dobry zwyczaj....

Pił wtedy pan Wacław przez kilka dni naumór i na borg — — a tych dni bezpieniężnych, oczywiście, narastało w następnym miesiącu w dwójnasób.

Zresztą o wszystkiem w porze właściwej! — mamy czas!

ROZDZIAŁ PIĄTY

O GOŚCIACH NIEDZIELNYCH I O MIKOŁAJOWYM DO NICH STOSUNKU, O KOSIE I ZIELONYM ULU, O WPRAWIANIU SIĘ W UMIĘJĘTNOŚĆ NOWĄ I OSOBLIWĄ, KTÓREJ PIERWSZYM POWIERNIKIEM STAJE SIĘ PIES.

Rzecz ninie w tem, że w niedzielę po południu — w każdą niedzielę pogodną — zjeżdżali się do Poręby Murowanej goście: pani Zofja (tak! gość!), pan Wacław i pani Wilhelmina.

Pan Michał posyłał po nich powóz.

Przyjeżdżali; pobyli kilka godzin; Antonina „stroiła" kawę; pan Michał dbał o pełne kieliszki.

Jedni gwarzyli i sroczyli — inni patrzeli w siebie, na siebie, przed siebie.

Pierwsi byli weseli.

Drudzy smutni.

Mikołaj lubił gości i te godziny gwarne.

Nieśmiały w stosunku do pani Zofji, zalękniony niepokojem zbliżał się do niej z biciem serca —;— dotknięcie jej bladych wąskich dłoni, przytulenie się do niej, szelest sukni — sprawiały mu rozkosz, której się bał; — wtedy stawał się małomówny i blady; — sina żyła na czole występowała tem wyraziściej.

Z wujem Wacławem — ach! — to całkiem inaczej! — odzyskiwał rezon — buńczuczność nawet; — często też dopraszał się „na barana".

Na panią Wilhelminę patrzał z nieufnością znaczną; nazbyt arbitralnie (a po kilka razy za jednej bytności) mawiała zwysoka:

— wyjdź, dziecko, chcę coś powiedzieć, co nie jest dla dzieci —.

Uważał ją przeto za mądrą i świadomą wielu niezbadanych tajemnic osobę.

Przez cały tydzień, a zwłaszcza już w trzech dniach końcowych tygodnia, układał sobie Mikołaj zabawy i rozmowy z gośćmi; — przygotowywał pytania i „dorastał".

Właśnie też i w tej chwili, chodząc pośród agrestów i porzeczek aleją przyrzeczną — przyglądał się pilnie zielonym, delikatnym, małym liszkom na krzewach kolczastych, puharkom zielonych kwiatów, do których zlatywały gęsto i nagle pszczoły.

Cała aleja brzęczała jak zielony ul.

Na modrzewiu zanosił się śpiewem kos — szeroko rozdziawia dziób — przed budką drewnianą na gałązce stoi — czarnemi palcami jak korzonkami sprężystemi wrósł w drzewo.

Przygląda się Mikołaj pilnie i zapamiętliwie temu, co się wokół dzieje, a co społem zielone, brzęczące i śpiewne należy do historji ziemi i do dziejów ziemskiego bytowania człowieczego.

Chodzi i przygląda się — a o jednem tylko medytuje —.

Oto kilka dni temu Józek Mentel pierwszy raz zagwizdał.

Ale jak!

Głośno, dojmująco, ślicznie!

Żeby to tak móc zagwizdać!

Żeby to tak móc w niedzielę zagwizdać przed gośćmi! — jej! —.

Chodzi, przygląda się, medytuje, a wargi układa pociesznie, w ciup kurczy, w ryjek morzy — powietrze wydmuchuje, przepycha, wciąga —.

Nic a nic!

Fi i fi —

I tylko — fi!

Na płacz mu się aż zbiera.

Wytrwałości!

Nie opuszczać rąk, nie pozwolić wargom leniuchować! O nie!

Próbuje dalej.

Aż tu nagle — ni stąd, ni zowąd — ani się spostrzegł —: gwizd wypadł z warg!

Przystanął — cofnął się — tak niespodzianie głos w niego zmierzył i — trafił!

Czy to naprawdę — ? —

Spróbował ponownie.

Nic!

Więc po raz trzeci — znowu! — gwizd, gwizd całkiem dorosły, długi, przenikliwy — —

Ale się Józek zdziwi! — śpas — powie —

A niczem się przedtem — niby Mikołaj — nie zdradzi — tylko tak, że to skumoś na ucho ma mu coś powiedzieć —

Jak gwizdnie!

No! — gotów się Józek „przekopyrtnąć" —

Ale w niedzielę!

Ale przy gościach!

Ale przy wuju!

Pokraśniał!

Podskoczył raz, drugi — dookółka na jednej nodze —.

Pobiegł pod mur ogrodowy, usiadł tam na kamieniu pod pąkującym kasztanem i począł się wprawiać systematycznie w gwizdanie.

Nawet nie silił się na składną melodję; — zadowalał się tym jednym tonem, którym wypowiadał wszystko, co chciał.

Zwabiony gwizdaniem pies przybiegł, merdając puszystym ogonem.

— On pierwszy! — pomyślał Mikołaj.

Przestał gwizdać; — woła wabiąco:

— Toruś! — Toruś!

Przyłasił się pies, kichnął i wytarł ciuczkę o kolana Mikołajowe.

Mikołaj przygarnął go do siebie, objął za szyję, odwinął kudłate ucho — i w to pomarszczone, różowe, dziwaczne wnętrze zagwizdał z całych sił!

Pies wyrwał się — skoczył — przysiadł — łbem rzuca — wytrzepuje uprzykrzony dźwięk — zrywa się — waruje — poczyna biegać wkółko — aż z wywieszonym jęzorem podbiegł do chłopca.

A Mikołaj powiedział do niego ze spokojem, na jaki go stać było w tej chwili:

— to ja! —

ROZDZIAŁ SZÓSTY

O PISANIU LISTÓW, WYKONCYPOWANIU ICH I KOREKCIE UMIEJĘTNEJ, POCZEM ZAPOZNAJEMY SIĘ Z TREŚCIĄ PIĘCIU LISTÓW ORAZ Z ICH DALSZĄ HISTORJĄ.

Powtórzmy: — nauka i umiejętność pisania wydały wnet „praktyczne" owoce.

Mikołaj Srebrempisany począł pisać listy do gości niedzielnych.

Już od czwartku — tak sobie to ułożyli — ojciec rysował na ćwiartce papieru linijki, takie jakie są na tabliczce, jeno bez tych oddalniejszych górnych i dolnych.

Tedy Mikołaj układał sobie w głowie słowa, które napisać należy — słowa te wedle zasad i wiedzy nabytej spisywał najpierw na tabliczce, a później dopiero przepisywał na karteluszku ołówkiem (na plamy atramentowe czekały już palce). —

Za nic w świecie nie byłby pokazał ojcu „bruljonu" — dopiero czystopis — certując się długo i za sobą go wstydliwie ukrywając — podawał panu Michałowi zdaleka, ostrożnie, lękliwie —.

Poczynała się skrupulatna korekta, pełna przypowieści pożytecznych (korekta zresztą charakteru pism nie naruszała).

Dojrzałe listy szły do Wołkowic; zawoził je Jasiek, lub Antonina, lub kto niebądź inny — gdy na ten przykład furman był spity (zdarzało się), lub gospodyni zajęta.

Listów tych dochowało się pięć.

List pierwszy.

zofja, wacław, wilhelmina,
tata i mikołaj
witam gości, proszę siadać.
wstałem rano, jeść mi dano,
chodzę sobie, nic nie robię.

List drugi.

oczekuję lubych gości, dawno
ich nie widziałem; byłem tro-
chę chory teraz juz
zdrów jestem
mikołaj.

List trzeci.

(uwaga latopisa: prócz K w słowie „Kochani" — reszta liter dużych, więc: W, J, M, wpisana ręką pana Michała).

Kochani goście!

W niedzielę nie posłaliśmy konie (sic!),
bo było bardzo zimno. Ja
jestem zdrów, czytam, piszę,

jako mały człowieczek
z danych ni drzeweczek
buduję domeczek
i czekam na przybycie naszych drogich
gości, których bardzo kocham

Mikołaj.

Wreszcie

List czwarty.

(uwaga latopisa: jak w liście trzecim)

Kochani goście!
Niema pogody, dlatego i lubych
gości u nas niema.
W niedzielę poszlę konie.
Tęskno mi za moimi przyjaciołmi.
Ja piszę i czytam sam
bo teraz dziewczyny nie mam.
Dla pani Zofji posyłam jabłka czerwone.

Mikołaj.

A oto i

List piąty

Kochani goście!
Nie mogę doczekać się lubych gości.
Proszę przyjechać.
U nas jest wiele nowin.
Jestem zdrów, uczę się i piszę juz
wielkie litery.

Toruś kulał trochę, lecz teraz juz
dobrze biega.
Macek lezy na piecu; nie biorę go
do ręki, bo drapie.
Wiem (sic!) piękną powiastkę, opowiem ją
gościom jak tylko przyjadą,
jest bardzo ciekawa.

Mikołaj.

Listy te złożone w sposób, w jaki aptekarze składają torebki na proszki, lub zwinięte w ruloniki, zaciskane naprzemiany tak, że tworzyły jakąś śrubowatą figurę — wędrowały do Wołkowic do rąk pani Zofji.

Pomimo ich skromnej treści odczytywała je adresatka po kilka razy, poczem wygładzała i składała karteluszki gładko i porządnie — ochotnie też i z łatwością pozwalały się wsunąć do koperty z napisem: Mikołaj w r. 1894-tym.

A Mikołaj (rozrzutny lekkomyślnik) nie troszczył się już o dalszy los swych listów — natomiast oczekiwał ich skutku radosnego.

W niedzielę! — w niedzielę!!

ROZDZIAŁ SIÓDMY

O ZDUMIEWAJĄCYM FRAGMENCIE NIESŁYCHANIE CIEKAWEJ HISTORJI. O POŁYKANIU OGNIA CELEM OCHŁODZENIA SIĘ, ORAZ O PRZYTAKNIĘCIU.

A tą bardzo piękną i bardzo ciekawą powiastką była historja bajecznego konia, który co noc zlatywał — skrzydlaty był koń — na dach domu pewnego młodzieńca zacnego, pięknego, odważnego — i unosił go w krainę cudowną —

— leciał prędko jak wiatr, który pod skrzydła zaprzągł —

— zgrzewał się też niesłychanie tym pędem wichrowym —

— płaty piany spadały jak śnieg na daleką, na głęboką pod rumakiem ziemię —

— przeto też, gdy stanęli u celu — pożerał dla ochłody stos ognia rumak zgrzany —

— tak się chłodził —.

Słuchała pani Zofja po alei podleśnej chodząc; — stawiała kroki szerokie, końce bucików mocno od siebie odwodząc —.

Słuchała nadskakującego, zdumionego samem sobą opowiadania.

— Pomyśl, pomyśl tylko — ogień połykał, aby się ochłodzić! — pomyśl jaki on musiał być nagorącony — no! —

— istotnie —

ROZDZIAŁ ÓSMY

O MUNDURZE, VEL UNIFORMIE WUJA WACŁAWA, O MODZIE A LA NAPOLEON III, O KOSZARACH, KTÓRE BYŁY ŚWIATEM NAODWRÓT, O DRABINIE JAKÓBOWEJ I INNEJ; GALICJA., LODOMERJA, STRONNICTWA NIEMATAKŹLISTÓW I NIEMATAKDOBRZYSTÓW i t. d.

Tymczasem od strony domu nadchodził wuj Wacław.

Właśnie jakoś w tym czasie wypadły ćwiczenia wojskowe — pan Wacław jako rezerwista musiał też tych ośm tygodni „odsłużyć".

Paradował w niedzielnym stroju żołnierskim, w mundurze barwnym — cały jakiś tym krojem zewnętrznym zmieniony, a zwłaszcza przeinaczony wewnętrzną godnością uniformową.

Niebyleco!

Człowiek w *takim* stroju jest panem!

Nie jest może sobą, ale jest — wszystkiem!

A to też coś znaczy.

Pan Wacław był mężczyzną przystojnym; — wysoki, w miarę szczupły; — twarz owalna; — policzki czerstwe; — oczy blado niebieskie, ostro i wyzywająco patrzące; nos (wedle pasportu) pro-

porcjonalny; — wąs zalotny, wypomadowany, ostry na końcach jak szydło; — bródka à la Napoleon III, co wtedy w Wołkowicach od koszar po starostwo, od dyrekcji skarbowej po gimnazjum, od sądu obwodowego po magistrat było szczytem elegancji i mody.

Cóż! — niedawne czasy — Boże ty mój! —

Byli, co pamiętali Sedan.

Oh! — byli — żyli — tyli —

Niby to sprawa państwa ościennego — w rezultacie tu i tam duch, buta, zamierzenie, dyrekcja ta sama.

W chwilach podniecenia, czy to podczas libacji, czy podczas imienin cesarskich, czy to na festynie dla pogorzelców — przeplatano wódkę — śledziem, a *Gott erhalte — Deutschland über alles.*

Rosła potęga niemiecka; animusz rósł w koszarach.

A świat był koszarami, a koszary światem.

Dobre były czasy! — świetne! — cesarsko-królewskie, czarnoorłe, dwugłowe —

Viribus unitis!

W Galicji i Lodomerji wiodło się najlepiej.

Cicho — spokojnie — rangowo.

Nikt niczego nie chciał (o warjatach się nie mówi), nikt niczego nie pragnął, prócz złotego kołnierza.

A ten był dostępny dla dusz wiernopoddańczych.

Innych nie było.

Złota złuda — dworska obłuda.

U szczytu marzeń, w wymiarach już nieco mistycznych, jakby na krawędziach dalekich księżycowej drabiny, którą aniołowie do Jakóba po szczeblach snu schodzili — błyszczał, jak gwiazda pierwszej jakości — order: kawalerstwo święte, świętego Salwatora.

W regimie wojskowym, w rygorze dykasteryjnym wychował się pan Wacław.

Nic też dziwnego, że skorupka ducha przesiąkłszy zamłodu odorem koszarniczo-kancelaryjnym — zamłodu też już, nie czekając starości — trąciła, jak dziczyzna zbyt długo na haku śpiżarnianym wisząca.

Istotnie! — chcąc jednem słowem określić stan umysłów ówczesnych Galicjan i Lodomerczyków, można powiedzieć, że były: skruszałe.

Jeśliże się robaki w tej padlinie nie zagnieździły, to już i szczęście wielkie!

Legendy mówią, że istniały takie skruszeliny niezrobaczałe; — a że legenda jest podstawą i istotą historji — więc też historja wygrywa tym faktem legendowym walnie, choć na pół linji.

Więc jakkolwiek to fatalnie po polsku brzmi, niemniej głośno należy powtarzać, ospałego optymizmu pełne, niedumne hasło ówczesnych dni: niema tak źle!

Byli, którzy z uporem maniackim powtarzali: niema tak dobrze! — Malkontenci niewcześni! — malkontenci!!

W miarę defenzywnej agitacji, która panoszyła się na posiedzeniach śniadankowych, sejmach śledziowych, soborach wódeczkowych — jednem słowem na wszystkich „kanapkach", rautach, piknikach, żurfiksach, przyjęciach, herbatach, wieczorkach i bankietach — społeczeństwo podzieliło się na dwa stronnictwa w życiu gromadnem owoczesnem rej wodząc: jedno to frakcja Niematakźlistów, drugie to secesja i opozycja stała Niematakdobrzystów.

Wuj Wacław należał do pierwszego; — był zdecydowanym Niematakźlistą.

Lecz że był równocześnie naturą chwiejną *(kamwiter, tam plaszcz)*, zdarzało się (— najbliżsi, to znaczy, koledzy, bracia popijdusze, ferbliści i łajdusy wiedzieli o tem), że zdradzał czasem frakcję i straszył zapisaniem się do stronnictwa Niematakdobrzystów.

Zdarzało się to zazwyczaj przed pierwszym.

Ilekroć też w tej porze miesiąca wstępował w progi rodzicielskie — czynił to pod wezwaniem Niematakdobrzysty.

Wtedy — a to już od dwudziestego pierwszego dnia miesiąca bieżącego poczynając — dałby się poprostu za ideę tę porąbać na miałki kotlet.

Po pierwszym twardniał; — nie było, wierę, tasaka, któryby przemógł ostrzem swem skutecznie

kościstość i żyłowatość woli nieskazitelnego niematakźlisty.

W tej chwili, zbliżając się wolnym i nieświadomie lotnym a godnym krokiem do siostry i do Mikołaja, nie był ani jednym (N. M. Ż.) ani drugim (N. M. D.).

Oczywiście nie wpływał na ten dziwny bądź co bądź stan relatywizmu ani początek ani koniec miesiąca; nie! — nie był też ten stan czemś fizykalnem, czemś, coby można nazwać „zamierzeniem w próżni"; też nie! —

Był żołnierzem w tej popołudniowej słonecznej chwili niedzielnej — i tylko żołnierzem.

A żołnierz nie politykuje.

Żołnierz tylko *jest*.

Słusznie! Bardzo słusznie! — Dziękuję — gdyby do kursu zmechanizowanej wiedzy zabijania wkradła się polityka! — no, servus! — *prepał kozak z dudami*.

Rozluźniłby się cały montaż ideowy.

Żadna wojna nie udałaby się.

A przecież celem żołnierki jest wojna.

Żołnierz tworzy *in potentia* wojnę.

Gdyby nie było żołnierki — nikomuby na myśl wojna nie przyszła, a „jakto na wojence ładnie" byłoby mitem zdatnym jedynie do dysertacyj doktorskich.

Zaś żyć bez możliwości wojny nie może państwo nijakie, bo państwo — to nieustające pogotowie wojenne.

Bez wojny (byłej, istniejącej, zamierzonej) niema państw, bez państw niema obywateli, bez obywateli niema niczego — chyba jedna szczęśliwość wieczna, która mogłaby się zresztą okazać utopją — — tak, jak to pewna miła, kulturalna i inteligentna dama rzekła w trakcie rozmowy o nieśmiertelności duszy: „ależ moi państwo, jeśli się przekonamy, że *tam* nic niema, to dopiero będzie szpas!" —

Dość!

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

O DOPRASZANIU SIĘ „NA BARANA". ODMOWIE I ZGODZIE, ORAZ O BIAŁYCH CHMURACH PŁYNĄCYCH PONAD CZUBAMI DRZEW.

Dygresje urozmaicają życie — dlaczegożby nie miały urozmaicić kroniki? —

Na szczęście Mikołajek przerywa z dziecięcą iście niefrasobliwością te dywagacje niewczesne — bo oto już podbiega do wuja z okrzykiem:

— na barana! — na barana! —

W pierwszej chwili pan Wacław pomyślał, że to przecież wielka śmiałość takie pauperskie propozycje stawiać człowiekowi w uniformie świątecznym.

Myśl ta zmarszczyła mu czoło gniewnie.

Zaraz jednak ostrzegła go refleksja, że przecież chłopiec jest mały i głupi, więc *tego* nie rozumie i zrozumieć nie może.

Przeto też udał tylko srogość i wydymając wargi rzekł:

— gdy będę w cywilu —

Lecz i to słowo nie przekonało chłopca; przekonać bowiem może tylko to, co się pojmie, a Mikołaj nie pojął; — przypuszczać należy, że gdyby

nawet pojął i ogarnął tę zawiłość obyczajową, nie byłby tego dał znać po sobie — przeciwnie! — byłby się w dalszym ciągu tem skwapliwiej upierał przy swojem i niewiedzę wmówioną w sobie krzepił — umysł dziecięcy bywa chytry i często stawia na stawkę tego zauważonego u starszych przekonania, że dziecko niczego nie rozumie — ; — tym procederem starym jak świat i jak dzieci — bywają dorośli nabierani w czambuł i ze skutkiem.

Lecz tym razem Mikołaj istotnie nie rozumiał, więc zapytał:

— dlaczego? —

— bo szkoda uniformu, może się splamić — a uniform nie może być splamiony —

I dodał po niemiecku:

ein junger Mann mus eitel sein —

Tymczasem niczem niewstrzymany Mikołaj doskoczył do wuja i prosi:

— wujciu, proszę cię, wujciu — cały tydzień się cieszyłem — tylko raz, tylko raz — do tamtego drzewa od tego — tylko raz. —

Spojrzał prośliwie na panią Zofję.

Stała oparta o orzech włoski i spoglądała na chmury.

Białe baranki, rozbite na kierdel liczny, pasły się na modrej łące i posuwały miarowo na wschód, ku górze Jaroszowskiej. —

Drzewa stały nieruchomie na bezwietrze — jeno wierchami szedł ledwo dostrzegalny dech, jakby z obcej krainy. —

Westchnęła.

Oczy matki dojrzą dziecko, nie patrząc.

Nie schylając podniesionej głowy rzekła:

— weź go, Wacku, niech się ubawi.

Chciał powiedzieć pan Wacław — zaczął nawet —:

— Ale...

Lecz powiedział:

— wytrzyj nogi dobrze —

Chłopiec wykonał rozkaz gorliwie.

— Już! —

— Więc chodź, — uważaj, uważaj, byś mnie nogami nie zbrudził — czyste masz ręce? —

— Czyste —

— nie wiesz, co to znaczy mundur! — rozumisz? — mun-durr —

— wiem —

— ech! — no, siadaj —

Schylił się pan Wacław; kucnął; — a chłopiec ostrożnie przełożył przez ramię jedną nogę, potem drugą — — usadowił się okrakiem na mocnym karku.

Pani Zofja liczyła chmury i rzekła:

— ostrożnie Wacku; Mik trzymaj się mocno. — Chmury płynęły wolniutko, prawie niewidoczne, ponad czubami drzew.

— — — — — — — — — —

Pani Zofja poszła w stronę domu.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY.

O JEŹDZIE SZALONEJ I O TEM, CO Z TEGO WYNIKŁO: WYPADEK STRASZNY I ŻAŁOSNY; PŁACZ I WRZASK POPRZEDZA PRZEBUDZENIE SIĘ GWIAZD.

Tymczasem Mikołaj usadowił się na dobre na karku wujowym.

— Ostrożnie teraz, bo wstaję — — uważaj na nogi! —

Odpowiedź wyrażająca, że to wszystko już wykonane, i coś więcej jeszcze:

— wio! —

Przez głowę pana Wacława przebiegła myśl jak biała mysz:

— żeby mnie tak kapitan teraz zobaczył! — Mysz schowała się prędko do dziury.

Pan Wacław lubił Mikołaja — nawet był doń przywiązany — chętnie też „robił z siebie konia"; — umysł jego jedynie pełen przesądów małych i garbatych był zamulony i leniwie płynący.

— Wio! —

Kroczy pan Wacław — szeroko — prędko — prędzej — coraz prędzej — truchtem — kłusem — już galopem — hop — hop — hop. —

Czapka przesunęła się nabakier, bo to i przy podskokach — od czasu do czasu — chwyta się Mikołaj głowy wujowej — mimochcąc — odruchowo. —

Hop — hop — hop —

Do wiązu — zpowrotem —

Do sosny — zpowrotem —

— jeszcze, jeszcze — krzyczy Mikołaj i zanosi się śmiechem — — łaskotliwe są te podrzuty, łaskotliwe, łechcące —

Rozbawił się i wuj —

— Hop — hop — hop —

Biegnie — zawraca — pokrzykuje:

upajdija — upajda —

każda holka...

resztę zakrzyczał głosem:

hu — ha...

Hop — hop — hop —

I jeszcze raz aż pod te wikliny czerwone u skraju lasu koralem wabiące —

— dobrze! — dobrze! —

— Trzymaj się! —

— dobrze! — dobrze! —

— na mundur uważaj — pamiętaj! — uf! — popraw mi czapkę, bo mi na oczy spada —

— już —

— a teraz — ziuuu!

Rozpędził się rumak co sił — — na boki zaskakuje narowiście — głowę schyla, prostuje, podrzuca — jak koń prawdziwy —

Uciecha niebywała!

Galop — galop — bez przerwy —

Podrzuty — podrzuty — łaskotliwe — zapierające dech w piersiach.

Pęd zmiata chłopcu włosy dotyłu —

Ciało odsłonięte chłodzi się wiatrem —

Rumieńce zakwitły na licach —

Już dobiegają wiklin —

Dobrze! — wytchnąć już trzeba —

Gdzie tam!

Rumak nie przystaje — tak się do znaku rozigrał —

Kołem dużem zawraca — aż się jeździec przechyla wysadzany odśrodkowym ciągiem —

Prosto!

Hop — hop — hop — hop —

Dom bieli się mętny, zamazany, jak przez mgłę —

To pot nagrzewa powieki —

Ani rusz obetrzeć oczy w takim pędzie szalonym —

Niedaleki już cel —

Aż ziemia dudni —:

— Upajdija — upajda —

— hu — ha —

Czuje Mikołajek lękiem nagłym czuje — coś jest w nieporządku —

Wytrzyma!

Rozluźniło się ciałko w tem zbytkującem podrzucaniu —

Jeszcze chwilka!

Na wszelki wypadek alarmuje:

— dość — wujciu — dość — nie mogę —

Lecz wujcio jak koń dobry przed metą siły wzmaga — w galop wpada niebywały, ostateczny —

Najwyraźniej finiszuje —

Aż w uszach dzwoni —

Zaciska Mikołaj zęby — łzy się w oczach kręcą —

Serce kołace raptownie —

Pobladł —

Dziesięć kroków jeszcze!

Aż tu i nie zdzierżyło wątłe ciałko — nie wytrzymało — nie wytrzymało —

Raz jeszcze chłopiec słabo zaskamlał:

— stanij —

Ktoby to tam i usłyszał!

No — i — sta — ło — się —

Ciepła struga pociekła po karku — przez ramię — przez piersi — po nowym, po niedzielnym, po szykownym mundurze —

Właśnie dobiegli do mety!

Z woli przekornego losy w kilka sekund za późno —

Uf! — Odsapnął pan Wacław jak wieloryb za długo nurkiem pod wodą płynący —

— Spociłem się setnie —

Przykucnął — chłopiec zeszedł z ramion — przystanął zalękniony — onieśmielony do ostatka —

Chłód zamieszkał w krótkich nogawkach i gospodarował w nich jak wiatr przebudzony.

Spojrzał wuj po sobie — spojrzał — raz jeszcze — — cały mundur zlustrował — na Boga! — czy to się tak spocił? — czyż-to mógł spocić się tak haniebnie, tak hańbiąco — ? —

Ależ...

Czy to możliwe...

Raz jeszcze, i jeszcze raz te wilgne zalewy opatrzył, rozważył, przebadał — — więc tak — ? — więc tak!! —

Spojrzał brzydko na chłopca —

Brzydko — niechętnie — źliście —

Zrozumiał.

— Więc ty — błaźnie — ty — mnie — ty — mundur — a! to straszne — niebywałe — ta nie masz gdzie, jak tu? — na mnie? — — na mnie? — na mundur?! —

Krew uderzyła do głowy gniewnej — :

— co teraz? — co? — mów! — co?! — jakże ja — — żeby to na cywilne — ale tak — —

Krzyczał opętanie:

— nie mogłeś dać znać — ? — tak cię sparło? — błaźnie — smarkaczu — błaźnie — —

Mikołaj płakał wniebogłosy!

Pan Wacław krzyczał okropnie!

Płacz! Wrzaski! Rejwach!

A baranki białe, lekkim, niewidocznym wiewem pasterzone, pasły się już za górą; — na zachodzie niebo było czyste, jasne, pogodne: wyczekująca łąka modra, poza którą śpią gwiazdy.

ROZDZIAŁ JEDENASTY.

O ROZMOWIE PANA MICHAŁA Z PANIĄ WILHELMINĄ, PRZERWANEJ PRZESUWAJĄCYM SIĘ POD OKNEM CIENIEM, O PRZYMUSOWEJ SAMOTNOŚCI I ZGRYŹLIWOŚCI POBUDZAJĄCEJ DO ROZWAŻAŃ SMĘTNYCH ORAZ DO CZYNNYCH STWIERDZEŃ, ŻE NA FRASUNEK DOBRY TRUNEK.

W świetlicy pana Michałowej siedziała pod on czas pani Wilhelmina i popijała winko —

— Świetne wino ma pan profesor — zauważyła, trzymając zgrabny kieliszek za nóżkę pod światło —

— ho, ho — pani Wilhelmina zna się na winie *ekspedite* —

— ślicznie perli — dodała, patrząc uważnie w kieliszek —

— muszkatułowe —

— *Muskatelenwein!* — westchnęła; postawiła kieliszek ostrożnie na stole, a poprawiając dystyngowanie srebrny łańcuch bransolety, z której zwisał — również srebrny — orzech włoski, rzekła:

— Mówi pan profesor, że znam się na winie, mój Boże! — gdzie to się nie bywało zamłodu — dużo podróżowałam —

— no, no — poprawia dobrotliwie pan Michał — zamłodu! a teraz to pani nie młoda?

— trzymam się, trzymam — to już nasz ród taki — wyglądamy młodo i żyjemy długo — nieboszczka babka moja dożyła osiemdziesiątego drugiego roku —

— piękny wiek! — zauważył z roztargnieniem pan Michał —

— cóż, ja już mam prawie trzydziestkę —

Od iluż lat ona mi to mówi — zasmucił się pan Michał i machnął zrezygnowanie ręką, którą właśnie zanurzył w kieszeń w poszukiwaniu chustki.

— Bardzo wcześnie wyruszyłam w świat — — swoją drogą świetne to wino — — ojciec mój nie żył z matką, bo — ale to muszę panu profesorowi dokumentnie opowiedzieć; — pan profesor jest człowiek uczony — — oczywiście —

— i mądry —

— nno —

— z doświadczeniem —

— hm —

— zrozumie moją duszę, która cierpiała i cierpi —

Żeby choć słowo zmieniła w tej spowiedzi, zawsze jednakowo, zawsze to samo — pomyślał w chustkę i siąknął głośno —

Pod oknem przesunął się cień —

Wolnym krokiem wracała pani Zofja z pod lasu.

Zauważył pan Michał, sumituje się:

— Pani Wilhelmino, bardzo panią przepraszam, wyjdę na minutkę, chcę Zofji pokazać róże, które rozkwitły wczoraj —

Omal się nie zarumienił tą nikomu nie szkodzącą chytrością.

— ale proszę bardzo — bez krępowania —

— napijmy się jeszcze winka — o —

Nalał w kieliszki.

— *prosit* —

Upił łyczek — :

— za minutę wracam —

Wyszedł.

Pani Wilhelmina ostała sama.

Nie lubiła samotności nawet minutowej.

Opanowała ją zgryźliwość.

Rozejrzała się po pokoju: „też tu porządek! znać, że kobiety niema w domu"; — skrzywiła się nieco pogardliwie; niebardzo, troszeczkę.

Pociągnęła hauścik wina.

„Że też ta Zofja z takim starym człowiekiem... co za przyjemność —"

Pani Wilhelmina lubiła młodzież; uwielbiała młodość! — nie obce jej były zresztą takie słowa, im banalniejsze i beztreściwsze tem milsze, jak np.: pokrewieństwo dusz, miłość duchowa, uczucie wieczne i t. d. — tak się tylko jakoś składało i złożyło, że dusza, miłość i wieczność łączyły się w jej umyśle i instynkcie stale z wyobrażeniem ludzi (mężczyzn) młodych.

Była zdrowa.

„Taka różnica lat doprawdy nie rozumiem, co oni sobie mają do powiedzenia".

W jej nieco mglistem, niemniej jednak silnem pojęciu miłość nie wymagała słów, lecz czynów, do których młodość jest niewątpliwie skorsza i zapaleńsza.

Pani Wilhelmina była bardzo zdrowa.

„Łysy — przecież to już lata, siedmdziesiątka z czubkiem, — a ona posiwiała, niebożątko, a gdzie jej tam do czterdziestki! —"

Pociągnęła hauścik wina.

ROZDZIAŁ DWUNASTY.

O ZNIKNIĘCIU WE MGLE ZŁOCISTEJ, BUDZĄCYM PŁACZU I GWAŁTOWNYM KRZYKU, O WYJAŚNIENIU SYTUACJI, GODZĄCEM WINIE, KOTKU, DZIEWECZKACH BIAŁYCH, MUŚLINOWYCH FIRANKACH, ORAZ O TEM, JAK SIĘ SMUTEK PRZERAZIŁ.

Pan Michał spotkał Zofję pod gankiem,
Nieśmiało i z czułością ucałował jej ręce.

Spojrzeli na siebie uważnie.

Rzekła pierwsza pani Zofja:

— Cóż Michale drogi — ciężko — —

— ciężko —

— widzisz — widzisz — — ostało się cierpienie — —

— to miłość właśnie —

— pewno! — ale ciężko —

— jedna mi radość: chłopiec; — twoje ma oczy i usta —

— Mik! — ile to już lat...

— ach lata! — wnet się dla mnie już i kończy ten obrachunek bezużyteczny —

— nie mów tak —

— kocham, więc mówię — odejdę z poczuciem jednego szczęścia —

— Michale drogi —

Złożyła ręce na ramionach pana Michała. Zagubiona młodość stanęła pomiędzy nimi nagle i niespodziewanie.

Rozwieśniła się ziemia.

Zmodrzało niebo.

Zawoniał poranek rosisty w rozśpiewanym lesie.

We wzroku ich, w spojrzeniu oddanem ulatywały lata minione i ciężkie i złe jak ptaki czarne — jeden za drugim; dni zbolałe opadały jak liście zwarzone, zeschnięte — aż ostał się dwukrzew życia bez nocnych ptactw, bez liści jesiennych — krzew tą chwilą zieleniejący, kwiecisty, słoneczny —

Szczęsnem podaniem się w siebie, w zatraceniu miłującem znikł we mgle złocistej pan Michał, w powietrze jaśminowe wtopiła się pani Zofja — na ich miejscu drżały i śpiewniły się bezosobowe uczucia dwa, duchy, sny, tęsknoty — błękit niepokalany, złocisty okrajem radością i czcią obopólną.

Ni słów nie trzeba, ni dotyku — spojrzenie za wszystko wydoli.

Od ogrodu wionął zapach kwiatów i ziół, który, niźli mowa, głośniej, wznioślej, donośniej wyrażał treść zapatrzonej chwili.

Wtem przebił się przez woń, jak nagły przestrach, płacz Mikołaja i krzyk wuja; gwałtownie.

Przygasły modrości.

Chwila zawrotem przystanęła na swojem miejscu.

Ocknęli się.

— Co to? —

— Mik płacze —

— Wacław krzyczy —

— pewno chłopiec spadł — tej jazdy wiecznie tak się od Wacka doprasza —

— Mikołaj! —

— Wacław! —

Usłyszeli tamci dwaj zasromani i gniewni — ruszyli ku domowi.

Kroczy pan Wacław czerwony i zły — z wielką na bluzie mokrą plamą (— na niebieskim tak znać —!—)

Za nim chłopiec chlipiący idzie ociągliwie — z piąstkami w ślepkach.

— Co się stało —?— zapytali równocześnie — pan Michał i pani Zofja —

— co się stało? — to dobre! — zaperzył się do reszty pan Wacław tak niepojętem niezrozumieniem tak wyraźnej sytuacji —

— to dobre! — co się stało? — Mikołaja zapytajcie.

Podbiegła pani Zofja do chłopca:

— Mik, powiedz, przestań płakać, powiedz!

Chłopiec zaniósł się łkaniem.

Zauważył pan Michał plamę zdradliwą więc pyta — :

— A to co, Wacławie? — do wodyście wpadli —?—

— a! to właśnie! — cóż! — właśnie to — —

— co? —

— Mikołaj mnie zmoczył —
— Mikołaj? —
— Mikołaj! —
Pani Zofja z wyrzutem:
— Mik! —
Ojciec:
— ty huncwocie! — toś nie mógł...

Spojrzała pani Zofja na pana Michała — niezgrabnie więc już bąka:

— pewnie, ależ Mikołaj — no, nie płacz — chodź — trzeba się przebrać.

Pan Wacław poszedł do domu, klnąc w żywe kamienie — za nim poplątał się Mikołaj — prowadzi go pani Zofja za rękę — tuż drepce pan Michał z wyrazem twarzy niezmiernie smutnym, śmiać mu się bowiem chce setnie.

Pani Wilhelmina właśnie pociągnęła hauścik wina, gdy drzwi — powiedzmy: kopnięte ręką — otwarły się gwałtownie.

Wszedł pan Wacław.

Zaraz od progu napadł na żonę; poprostu zwymyślał ją:

— Zawsze z twoją wsią! — djabli ją nadali! — co teraz? — popatrz! —
— a cóż ty zrobiłeś?! —
— ja zrobiłem? — zwarjowałaś! — popatrz!
— no widzę —
— co widzisz? — nic nie widzisz! — plama, plama na wieki wieków amen! —
— przecież z wody plam niema —

— to nie woda —

— a co? —

— Mikołaj mnie zmoczył — wziąłem go na barana — a on...

— pocóżeś nim tak podrzucał, przecież wiesz, że to chuderlak —

— więc ja może winien jestem? — co? —

— e! — zresztą to wyschnie, potem się przepierze —

— a mundur djabli wzięli —

— broń Boże! —

Usiadł pan Wacław na kanapie zgorzkniały bardzo —; — raz po raz tej plamie się przyziera — z poczuciem krzywdy i przeświadczonej wyższości.

— — — — — — — — — —

Mikołajka przebrano.

Nie chciał wejść do pokoju ojcowego.

Wstydził się.

Jakoś mu to jednak wyperswadowano.

Gdy się już wszyscy zebrali i zasiedli społem, ojciec zagaił:

— Wacławie, nic się nie martw — wszystko będzie dobrze! — napij się wina, na przemoczenie to najlepsze.

Nalał kielichy:

— no, na zdrowie miłych gości! —

Stuknęli się — wypili —

Pani Wilhelmina pokraśniała jak piwonja. Poczęła sobie nucić cichutko; — niezgorszy miała głos.

Więc bez przezwyciężenia idzie jej ochocie wyraźniej pan Michał na rękę:

— niech nam pani coś zaśpiewa —

— ano dobrze — zgodziła się skwapliwie.

(Pociągnęła hauścik wina.)

Odetchnęła głęboko, krząknęła, przełknęła ślinę, założyła nogę za nogę, przyczem musiała się nieco przegiąć wtył.

Mikołaj zaszył się w fotel ojcowy; słucha.

A pani Wilhelmina śpiewa:

Raz ją widziałem z kotkiem na ręce,
siedziała w oknie w białej sukience
i paluszkami drażniła kotka,
moja, moja pieszczotka.

Ani mnie widzi, ani mnie słyszy,
kotek jej rączki chwyta jak myszy,
czasem zadrapie; rada z swawoli,
chociaż, chociaż to boli.

I pomyślałem sobie, za wcześnie
pukać w serduszko, co jeszcze we śnie —
i unikałem dzieweczki białej
prawie, prawie rok cały.

Gdy w rok wróciłem, znów w tym pokoju,
przy okieneczku pełnem powoju,
siedziała w oknie moja ślicznotka,
ale, ale bez kotka.

Lecz czegoś dziwnie zmieszana była,
oczka wstydliwe nadół spuściła
i zrumieniła się, jak jabłuszko
aże, aże po uszko.

Byłem pewniutki, że z mej przyczyny —
wtem wiatr firanki rozwiał muśliny
i zobaczyłem sprawcę rumieńca:
w kwiecie, w kwiecie młodzieńca.

I znów panienka, jakby przed rokiem,
choć blisko siedzę, nie rzuci okiem,
ale tym razem nie kotek winny,
ale, ale kto inny.

Kto inny szepcze miłośnie w uszko,
kto inny śpiące zbudził serduszko,
oj szkoda, późno przyszedłem trocha,
ona, ona już kocha.

Wieczór zapadł.

Pan Wacław naganiał do powrotu — pełen niechęci głębokiej do całego świata włącznie z kotkami, białemi dzieweczkami i muślinowemi firankami.

Pan Michał żegnał się wielosłownie z gośćmi — a pani Zofji milczeniem dopowiadał, że znów minęła niedziela, że znów pocznie się tydzień pracowitej tęsknoty.

Mikołaj szurgnął nogami z odległości.

Nikt na niego nie zważał.

Gdy wszyscy wyszli, tą chwilą właśnie żegnania zajęci — ostał sam.

Wtedy smutek swój uleczył jedynem lekarstwem, jakie w tej chwili miał pod ręką: zagwizdał głośno!

Smutek zląkł się i uciekł.

KSIĘGA DRUGA

RYCERZ BŁĘDNY I RYCERZ KRZYŻOWY

KSIĘGA DRUGA

RYCERZ BEZDNY I RYCERZ KRZYŻOWY

ROZDZIAŁ PIERWSZY,

O TAJEMNICY, ZACHWYCIE I ZACIEKAWIENIU WYRASTAJĄCEM Z KART PIERWSZYCH KSIĄG, O ICH DOBREM PRZYMIERZU I WIELKIEJ NOWINIE, O SŁOWACH NAJWYŻSZYCH I O ICH TREŚCI MOKREJ OD ŁEZ.

O książki pierwsze!
Cudowne książki!

Białe, różowe, zielone, niebieskie, liljowe!

Rozpatrywane pilnie ze wszystkich stron — pomięte, poplamione, nie domykające się!

Rozkoszo!

Zachwycie!

Tajemnico!

Ciekawości!

Z czemże porównać wasze objawienia? — czy z miłością pierwszą? — z oszołomieniem pierwszej sławy?

Nicością, pustką, przebrzmieniem zda się wszystko — melancholją mglistą, nieużytkiem bezżyznym.

A wy, książki pierwsze, cudowne książki trwacie i zachwycacie i rośniecie i krzewicie się.

Zaczytane, odradzacie się jak Feniks w ogniu serdecznej pamięci —

Jesteście życiem, życiem podwojonem, ustokrotnionem, życiem nieobliczalnem, życiem wiecznem.

Wieleż was jest — jedna czy sto? —

Jesteście w miljonach kropel grającą tęczą — tęczą rozpiętą nad dniami, których tajemnicy nikt nie zna.

Dobre przymierze w was!

Nowina wielka!

Sygnał rodzącego się ducha!

A jakaż to treść wasza — ? —

Wielka, święta, tajemnicza!

Nieobjęta czasem ni przestrzenią!

Jedyna!

Umiłowane książki pierwsze, cudowne, świąteczne książki!

Czar liter świeżych, radosnych jak ozimina, pleni i zieleni się w was, uroda skojarzeń w was kwitnie, budowa zdań i wysłowień odrębnych w was dojrzewa.

Anielska jest mowa wasza.

Poza wami piękniejszych ksiąg niema.

Zastępujecie wszystkie dzieła, ogarniacie wszystkie dziedziny.

Stokrotnie czytane, stokrotnie doznane, tysiąckrotnie śnione.

Dni są pełne wami, jak ule miodu w czas lipowego pożytku.

Przelewacie się gęsto i zawiesiście poza kraje nocy, jak ciasto zakwaszone wyrasta na przypiecku z dzieży.

Blask wasz jest niezrównany!

Ani brylant, ani rubin, ani szmaragd, ani szafir, ani ametyst — nie promienieją tak jaśniście żywo, jak wy.

Książki białe, książki różowe, książki zielone, książki niebieskie, książki liljowe!

Jesteście radem leczącym.

Nabożna świętość godzin, w których szelestliwie opadają kartki z prawej na lewą stronę — to uroczystość, roraty, msza, suma, nieszpory, nowenny, antyfony.

A gdy lewa strona walnie narasta, a prawa zmniejsza się gwałtownie — o żałości sciekawiona! — o szczęście, o ratunku myśli: toć-że znów obie części — i ta prawa i ta lewa — jedną staną się wyniosłością prostokątną — i znów zacznie na okładce poszarpanej gleba przeorana skib mnogością narastać — na nowe odkrycia, zachwyty, upojenia!

Wir, zamęt, zalew, burza — ! — gdzież słowo, które waszym słowom sprosta, które im dorówna? — może i jest — trudne, ciche, skupione, objawione — ; — może i jest — w krainie cudu i miłości — —

Lecz niema słów, któreby przewyższyć zdołały dźwięk wasz, z którego melodja się tworzy na życie całe —

Struny życia z was promienieją.

Jesteście instrumentem muzycznym — jedynym, wiernym, prawdziwym — wiewy, wichry, burze, zawieruchy, huragany — śpiewają w nim, huczą, grzmią, wyją, dudnią —

Książki!

Oplata was miłość, która nie ma początku ni końca.

Wszystko w was jest prawdą, pięknem i wiarą.

Ręka, która was kładzie na stoliku dziecięcym, jest ręką Boga.

Miłością bowiem jest — i wy pełne miłości jesteście.

Dlatego też idziecie do nieba.

Niema was — poza niebem — nigdy i nigdzie —

Słusznie! Słusznie!!

Może zpsowany i zatroskany i z prostoty wyzuty umysł nazwałby was po latach: ech, czemśtam!

Może i serce nie uderzyłoby żywiej, wyzbyte zachwyceń mądrych?

Może — może —

Przeto dobrze, że was niema!

Nie istniejąc, istniejecie tem mocniej, żywiej, piękniej.

Nigdy, nigdzie spotkać was nie można.

Przeto jesteście wszędzie i zawsze.

Nie możecie być widzialne — nie widzące są oczy znużone latami.

Nie możecie być dotykalne — nieczułe są palce spracowane troską, zgrabiałe chłodem długich nocy.

Lecz głos wasz żyje!

Lecz woń wasza żyje!

Lecz żyje wasz lipcowego miodu smak wysoki i nieomylny!

Kto was ukochał — nie zdradzi was.

Pierwsze słowo jest: matko!

Drugie: ojcze!

A wy — to trzecie słowo, to słowo ostatnie!

Pierwszego, drugiego i trzeciego treścią jest: Bóg!

A nazwa wasza? — ach! to obojętne — może kalendarz, może inaczej — —

Jesteście zawsze tylko miłością, zachwytem, bladością twarzy, rozszerzoną źrenicą, nagłym rumieńcem.

I poza wszystkiem — jesteście jeszcze, o książki, wszystkiem — —

O książki pierwsze!

Cudowne książki!

Białe, różowe, zielone, niebieskie, liljowe. Rozpatrywane pilnie ze wszystkich stron, pomięte, poplamione, nie domykające się, nićmi wysmykującemi się siwiejące!

Książki mokre od łez!

Rozśmiane, tęczowe, śpiewające książki!!

ROZDZIAŁ DRUGI.

O DZIEJACH BŁĘDNEGO RYCERZA, PRZYGODACH BARWNYCH I NIEZROZUMIAŁYCH: KUKŁY, OWCE, WIATRAKI, O WYCZERPUJĄCYCH SNACH KSIĄŻKI ORAZ O ZADOŚĆUCZYNIENIU.

Pierwszą książką Mikołaja Srebrempisanego był Donkiszot.

Przywiozła ją w którąś niedzielę pani Zofja.

Książka cudowna!

Szczęsna niedziela, która jej drogę mościła!

W twardych okładkach, z lśniącym obrazkiem na wierzchu:

— szkapa chuda — na niej ktoś taki wyniosły, kanciasty w blachach zakuty —

— poniżej do osła przytulony grubas o wybałuszonych pociesznie ślepiach —

Wewnątrz jeszcze trzy obrazki barwne, żywe, że aż hej! —

Jakieś małe ludki w pociesznych, szerokich, czerwonych szarawarkach, w turbankach i zawojach krasnych z półksiężycem rogatym wpiętym nad czołem — szabelki zakrzywione do tych półksiężyców podobne, koniki wrone, gniade, siwe — — wszystko to, cały narodek, na płycie stołowej,

żywy sznurkami, nićmi ruchliwy — o jednej (razem gromadnie) duszy zaklętej w wymownych dziesięciu palcach dwu olbrzymich, władczych rąk; każdy palec — jedno przykazanie; dziesięć przykazań; dekalog; marjonetki.

A nad tym ludem żołnierskim, nad tym tumultem bitewnym, nad tą walką (— bo to walka! naprawdę walka! — leżą przecież odcięte łepetyny wąsate na stole u nóg zwycięzców —) unosi się jak olbrzym ponad karłami — olbrzymi korpus ludzki a wyrwidębny, waligórny — chudy, kościsty — i ten łeb wysoki z miedzianą balwierską hełmicą — to on! To on! — :

Donkiszot!!

A po tem wzgórze obłe, zakreślone od prawa do lewa, czy naodwrót, przez całą szerokość obrazu —, a na tem wzgórzu kierdel owiec zbity, stłoczony, zestrachany, na miejscu drepcący pomylonemi kopytkami — — pasterze w ucieczce, w odwrocie, gęby ich na alarm wołające, na pomoc —! — bo-ci oto na rozkłusowanej, chudokościstej chabecie rycerz z lancą niebywale poziomo wyżądloną — w tę kupę owiec pędzi — zły i z postanowieniem wyraźnem — — naco? — — poco? — — cóż mu zawiniły te owce biedne — ? —

Słusznie, o słusznie — na zapartym w ziemię rozstawionemi nogami ośle, ten drugi, gruby — okaże się, że to Sanszo Pansa — ręce do nieba podnosi! — — coś jest w nieporządku czcigodny rycerzu z Manszy! — ale co? —

Wreszcie: zachód purpurowy silną farbą wylśniony,

— na polanie przedleśnej, spadzistej i pod górę przez wądół sfalowanej, rosną jak grzyby obok siebie rodziną czwórramienną: wiatraki,

— poważne, beznogie, zwężające się ku głowom — całą moc swych myśli i uczuć w tych ramiońskach obrotnych, charkotliwych zawarły: naród dziwniasty! —;

— i znów, i znów! — złość na licach mu pała — gniew i zemsty potrzebnej świętość boguchwalna — — — jak na te owce, tak na te wiatraki zagierza się pracowite — — pędzi — — lancę w ramię wichrom posłuszne wbił — — a ramię? — a ramię siepie się wgórę — rozłupuje w drzazgi kopję — z ostrzem żelaznem dźwiga się, podnosi — — Bogu się żali tem ramieniem skaleczałem — — żądło wbite, niewyjęte, piekące na świadectwo dźwiga, że dzieje się tu krzywda!! —

I cóż ty na to? — cóż rycerzu z pól błędnych Manszy wyrosły jak błędnik — ? —dlaczego? poco — ? —

Rozogniły policzki Mikołajowe te pytania i ta żądza: odpowiedzi! —

Lecz już był wieczór!

Mrok odbarwiał karty książki, zmywał farbę, niweczył, ujednostajniał.

Przez noc, tę pierwszą, spała książka w łóżku z Mikołajem.

Śniły jej się dziwa w duszy chłopięcej zrodzone.

Nazajutrz była odurzona widziadłami — i stokroć w treść bogatsza.

Zmęczona jeno była bardzo — zbyt żywe sny wyczerpały ją setnie.

Zato Mikołaj, który sny oddał książce, wstał rześki i pilny.

Zabrał się też raźno do czytania.

Stronica za stronicą, kartka za kartką, układały się zdarzenia i czyny przesłaniające uwagę do cna, budzące obrazy silne, rzewne, wesołe, roześmiane, żałosne, trwożące i bojaźliwe.

Pośród tego przewału uczuć — pleniły się jak chwasty zdania niezrozumiałe, słowa obce, stronice głuche, ślepe, bezwonne, zamknięte na cztery spusty.

Oderwanie się od książki było rzetelnym bólem i smutkiem! — jedyna radość i zadośćuczynienie, to to, że można przecież, przed się patrząc i nic nie widząc, czytać w pamięci dalej, że można wracać do dziejów, które się w myślach i sercu zapisały na dziś, na jutro — po koniec życia!

ROZDZIAŁ TRZECI.

O PRZYJACIELU SERDECZNYM, O DWÓCH IMIONACH CZŁOWIEKA, O NAUKACH I PRZYKAZANIACH CUDOTWÓRCY Z MANSZY, O PASOWANIU NA GIERMKA W SŁUŻBIE BOGA I CZŁOWIEKA, ORAZ O RODZICACH I RODZEŃSTWIE CZYNU; MÓWIMY MIKOŁAJOWI: DZIEŃ DOBRY.

Przyjacielu miły, serdeczny Donkiszocie!

Cóżeś ty, a cóż twe dzieje naopowiadały Mikołajowi Srebrempisanemu — ? —

Czy to dobrze, że ciebie spotkał pierwszego w tym tajemniczym świecie liter i kart — ? —

Wierę, dobrze!

Historja świata nie ma większego poety nad ciebie, rycerzu, powsinogo, marzycielu!

Mówią, że nie istniałeś! — to nieprawda!

Istniałeś zawsze i wszędzie!

Nie byłoby świata myśli, ni świata uczuć — niczegoby nie było, gdyby ciebie nie było!

Nie mogłeś nie być!

I ten twój pachoł chudobny!

Człowiek ma dwa imiona:

— jedno to: Donkiszot —

— drugie to: Sanszo Pansa —

Mniemać należy, i z wielką słusznością! —, że ten preceptor na Rosynancie jeżdżący po bezdrożach, złudach i snach, jak po bitym gościńcu — znakomicie przygotował cię na całe życie!

Lekcje jego z powagą joculatora Dei wygłaszane zapisuj skrzętnie w tajnym raptularzu — zamurujesz go pod kamieniem węgielnym domu, który rychło stawiać zaczniesz.

Przecież możliwą jest rzeczą, że wyrośnie z ciebie człowiek łaknący prawdy i dobra — jakżeż byś łaknienie to zaspokoić zdołał, gdybyś nie był naczyniem pełnem głupoty bożej — ? —: tak przecież uczy cię pogromca wiatrów, owiec, bukłaków, kukieł i wszelkiej rzeczywistości dotykalnej, poza którą ukrywa się rzeczywistość inna, dobra, nietykalna, istotna — nieprawdaż?

Cudotwórca z Manszy!

A ucząc tak pilnie i żywo przekonywając — chroni cię równocześnie przed starością przedwczesną, zachowuje w tobie młodość wieczną — więcej! —: dziecięctwo wieczne!

Aż dziw, że nie rzekł kiedykolwiek, zapatrzony w przegon chmur zakrywających księżyc, który z poza nich, jak przez rude, zakopcone szkło spoglądał na ciebie, żórawiu, trzymający miast kamienia: serce żywe i tętniące — aż dziw, że nie rzekł w tej porze gwiazd śpiewających, tych słów:

— dopóki nie staniecie się jako dzieci, nie wejdziecie do królestwa niebieskiego —

Jeśli nie rzekł tej prawdy wielkiej słowami — rzekł ją życiem swem opacznem i czynami prostemi podjętemi bez zastanowienia —

Że też więc wciąż o nim, pętaku sześcioletni, marzysz i śnisz, że go kochasz, że tęsknisz za nim — czynisz dobrze, i, co ważniejsze: mądrze! — mądrość bowiem jest spotęgowaną o wymiar ziemi i nieba — dobrocią!

To, że na koniu drewnianym, wystruganym przez świątkarza beskidzkiego — hasasz i donkiszotujesz i walczysz i zwyciężasz — to może drobiazg, zabawa raczej —; — lecz to, że dochodzi w tobie do głosu melodja, której może nigdy do cna zrozumieć nie potrafisz — melodja o biedocie człowieczej, o rozkoszy pomocy serdecznej, o szczęściu niewymownem dawania, o miłości wszystkich i wszystkiego, co się na ziemi i na niebie i pomiędzy ziemią i niebem w tęsknoości wiecznej i żałości i biedzie poniewiera — to cię pasuje na giermka w służbie Boga i człowieka.

Dostrzegam na tarczy twej maleńkiej i srebrnej — herb twej wsi rodzinnej: różę —

Im bardziej jej kolce dłoń twoją zranią, tem czerwieńszy będzie kwiat, tem zacniejszy dar podany bliźnim.

Mikołaju Srebrempisany — rodzi się w tobie z zamyśleń samotnych melodja, jak przylaszczka wiosenna z pocałunków ciepłych promieni słonecznych.

Mikołaju Srebrempisany — jesteś na dobrej, na najlepszej drodze — przeto nie unikniesz cier-

pień, a z nich przecież jedynie radość największa się rodzi! —

Więc —: na dobrej jesteś drodze!

Szczęśliwa gwiazda zabłysła przy twem urodzeniu —

A może to nie gwiazda? —

Może musnęło cię światło, to samo, które wiodło trzech mędrców do betleemskiej stajenki —?—

Na to odpowiesz nam sam!

Odpowiedź tę wypracujesz życiem.

Teraz wystarczyć ci musi wiedza, ta jedna, że ty i Donkiszot to braterstwo, i ta druga, że Sanszo Pansa — to reszta —

Dzieńdobry ci, Mikołaju!

Czytaj dalej!

Dzieńdobry!

Marzenie to twój dział — marzenie i tęsknota. Matka, ojciec, siostra, brat —: rodzice i rodzeństwo czynu!

Dzieńdobry!

ROZDZIAŁ CZWARTY.

O RÓŻACH PODEPTANYCH, ZŁYM BLIŹNIM, ŻAŁOŚCI, O UTRACONYM SPOKOJU, ŚCIANIE NIEOCHRONIONEJ, CZADZIE DOGASAJĄCYCH ZÓRZ, ORAZ O WILGNYCH ŚLADACH KACZYCH NÓG.

A życie dobrotliwe już szło z przestrogą! Ogłosiło sprzeciw!

Dla słabych sprzeciw jest drogowskazem: nie chodź tędy, tutaj niema zadowolenia sobkowskiego!

Słaby idzie za drogowskazem; tak jest wygodniej; stanowczo!

Dla silnych sprzeciw jest stopniem — jakże niebezpiecznym nieraz! — jakże nadprzepastnym! — lecz z uporem i stanowczością zdobyty i przezwyciężony — zbliża szczyt!

Życie to spinaczka groźniejsza niż na Mont Everest!

W równym stopniu i dojście jest szczytniejsze!

Zdarzyło się, że na klombie przed balkonem dnia tego fatalnego ktoś podeptał róże — poobrywał, pomiętosił, gałęzie połamał, liście porozsiewał — podeptał wreszcie —

Były to nie pienne krzewy, lecz „od korzenia", niskie, krzaczaste —: podeptanie ułatwione.

O szarym, bezwietrznym poranku zauważył pan Michał szkodę — wstawał bowiem bardzo wcześnie — w zimie o piątej — w lecie przed czwartą.

Po rannej modlitwie słanej przez wschodnie okno ku niebu, wedle dnia, chmurnemu lub pogodnemu, lub nierozbudzonemu zgoła — szedł ku czynnościom powszednim, porą sposobną nakazanym — przeto od wiosny wczesnej do ogrodu.

Niespodzianki czekały nań różne — miłe i przykre —

Zawody, pociechy, przestrogi, nauki, mądroście bliskie i dalekie — jak w życiu!

Boć ten jest dział człowieka: z chwili każdej i czynności każdej lepić z ziemskiej gliny doznań cegły na gmach żywota — oby najwyższy!

Dziś właśnie był moment krzywdy!

Nie osobistej — nie! — tę sprawę ostawił odłogiem, — a że pole to nieurodzajne, pełne niespokojnych, podstępnych, trujących chwastów — więc uczynił dobrze! — — lecz do żywego dojęła mu ta pustka na tem oto miejscu, które już kwitło osobliwie zasobnie, kształtnie i pięknie; — — i to jeszcze: znów potwierdzenie nieodparte zła w bliźnim, zła złośliwego, małego, pospolitego — z którem walczyć najtrudniej, zazwyczaj niesposób! — ręce opadają!

Zło bezpotrzebne jest najgorsze!

Niema na nie sposobu — rady żadnej niema. Przed takiem złem miłość płoszy się najłatwiej.

I cóż? — że róże ktoś zerwał? — drobiazg! — nawetby to mogło być potrzebnie i słusznie; — cóż? — dla wszystkich kwitną! — nietrudno też wyrozumieć ambicję tego, który o nie prosić nie chciał — wstydził się.

Pomylone ambicje są przyczyną kłopotów, niezadowoleń, krzywd, kradzieży i zbrodni — we wszelkich dziedzinach.

Lecz poco było niszczyć? — poco zadeptywać brutalnie i bezpotrzebnie?

Tu już instynkt zła był wyraźny!

I takie zło w bliźnim uważał pan Michał za krzywdę wspólną, gromadną, niweczącą współżycie konieczne przecież.

A że dołączyła się do tego poczucia bezpotrzebnej krzywdy stwarzającej zniszczenie i pustkę, łatwa pobudliwość wypływająca z dolegliwości i osłabienia, jakie dziś właśnie osobliwie wyraźnie owładnęło panem Michałem, — więc nieznośny stan rozdrażnienia wzmógł się i ubezwładnił spokój wypracowany twardą (dla siebie), nieubłaganą wolą.

Obejrzał szkodę dokładnie, podźwignął gałęzie, opatrzył rany, uczynił co mógł i co czynić należało —: spokój nie wracał.

Tak rozpoczął się dzień naopak.

Powstał z klęczek z nad klombu ogrodnik troskliwy.

Oddychał ciężko.

Oddech krótki i boleściwy.

Znużone oczy spoglądały wkoło — szły alejami w głąb ogrodu — wypatrywały — dalekiej czy bliskiej chwili? — jakiej? — niedobrej czy przychylnej — ? —

Smętnie, bardzo smętnie!

Zanosiło się na deszcz.

Niebo zaległy chmury; niskie, obwisłe, strzępiące się po szczytach najeżonych świerkami gór.

Ucisk wyraźnie nabrzmiały nad ogrodem zniżał się, zgniatał, zgęszczał atmosferę.

Przeto też mdłe i senne zdarza się przebudzenie drzewom, krzewom i kwiatom; — jakoby nie warto oczu otwierać na te idące godziny melancholijne.

— Trzeba rozpiąć parasol nad Marechal Niel — rozkwitła — nie lubi deszczu — pomyślał pan Michał; lecz było w tem raczej poczucie obowiązku niż piecza radosna.

Powlókł się ku domowi — starszy w tej godzinie niż zazwyczaj — jakoby opustoszały... ...klomb z róż odarty... podeptany...

W domu cisza.

Antonina i Jasiek śpią jeszcze.

Gdzież podział się spokój — ? —

Gdzież się zapodział — ? —

Czyżby przez tych róż zgon niewczesny — ? —

Ach, nie!

Nie!

Opuszczenie zawyło znagła z poza ścian niechronionych.

Zarumieniło się niebo na wschodzie.

Jak kiedyś — tak podobnie — w Czajkowicach, gdy matka... mój Boże! — — lat temu siedemdziesiąt bezmała...

Skądże dziś? — dziś właśnie? — — Ach!

Zarumieniło się niebo na wschodzie — na krótką chwilę.

Wnet zagasły rumieńce jak ogień na siępie.

Zadymiły się brudne chmury czadem dogasających zórz.

Posępnie począł się dzień!

Panie Michale! — jakaż to chwila niedobra nadeszła na mokrych, chwiejnych, kaczych stopach — ? —

Wszędzie ten wilgny ślad nóg błoniastych!

Nie tak to zwykłeś witać dni, o których przecież wiedziałeś, że będą oporne i ciężkie, jak głazy.

Ano — wola Boska!

ROZDZIAŁ PIĄTY.

O OBOPÓLNEM ZBUDZENIU SIĘ, ŚNIE ROSYNANTA, GOTOWOŚCI BOJOWEJ RYCERZA BŁĘDNEGO, KTÓRY Z POD DĘBU PRZESIADA SIĘ NA FOTEL SKĄD DYSZKUR POUCZAJĄCY PROWADZI, O SYTUACJI GROŹNEJ, KTÓRA WYNIKŁA Z ZAPYTAŃ, ORAZ O POTRZĄŚNIENIU ZA RAMIĘ.

Mikołaj zbudził się dnia tego równocześnie z Donkiszotem (— Sanszo Pansa spał jeszcze — żarłok i śpioch — wiadomo! —).

Donkiszot nie zdejmował zbroi blaszanej przez całą noc z siebie; — był zawsze na wszystko przygotowany; postawa jego była bojowa; — rycerz błędny — błądził nieraz, lecz z honorem.

Tak też i przez dzisiejszą noc bezksiężycową i czarną, że oko wykol — spał w postawie siedzącej (lecz zawsze bojowej), oparty o olbrzymi pień kilkasetletniego dębu.

Rosynant nierozsiodłany (— poniewoli również na wszystko przygotowany —) chwiał się w drzemocie na chudych opuchłych w pęcinach nogach; — rozmarzało go niejasne wyobrażenie ciepła stajennego, żłób pełen obroku i zapach siana płynący zgóry z jaśli zasobnych; — głowę opuścił nisko,

tak nisko, że nozdrza jego muskały źdźbła traw; silniejsze łaskotanie zdziebełek budziło go; podnosił głowę i rżał żałośliwie.

Tedy zrywał się Donkiszot baczny.

Ha! — czarownicy obmierźli! — znów coś knujecie! — niedoczekanie wasze!

Starał się rycerz bez skazy wyrwać miecz z pochwy — napróżno! — miecz tkwił w łożysku swem jakoś tak mocno, tak opornie, tak jakoś „na zawsze", że po szamotaniu się gniewnem z opornem żeleźcem — dawał rycerz posępny za wygranę — jeno w tę ciemną bardzo noc gromkim wołał głosem:

— Ktoś zacz? — azali człowiekiem jesteś, azali czarownikiem — ? — jakkolwiekbądź — chodź! — chodź, staw mi się przed oczy — mnie, którego wzroku srogi lew się uląkł — mnie, rycerzowi Dulcynei z Tobozo — jest-że piękniejsza niewiasta na padole, który byłby padołem łez i boleści, gdyby nie obcierały ócz miłosierne chusty rycerzy błędnych, a nie łagodziła cierpień wszelkiej niedoli obecna czujność zakonu mego — ? —

Nikt nie odpowiadał.

Rosynantowi opadał łeb ku smukłym trawom.

Cisza.

Wiatr mierzwi czub wysokiego dębu — a tak odległe, jakby ktoś szatą miękką szuścił po nieba czarnej posadce.

I znów cisza.

A Donkiszot w złowrogie milczenie szydzi w twarz czarownikom, którzy otaczają zawsze rycerzy błędnych, jak szatani dusze grzeszników —:

— Lękasz się — ? — tchórzu! — czarownikiem jesteś, wiem! — lecz i, a przedewszystkiem, — nikczemnikiem podłym! — gardzę tobą! — pokonany samem przebudzeniem się Donkiszota z Manszy rycerza posępnego oblicza — gdzież jesteś, aby Sanszo Pansa wyłoił ci grzbiet bykowcem — ? — smrodliwy! — ukrywaj się w fałdzie płaszcza czarnego nocy, jak wesz lub pluskwa! — — skończyłem!

I siadał znów rycerz znamienity — opierał się o pień szorstki dębu i pogrążał w melancholję niedośnionego snu o pani serca swego pięknej, słodkiej księżniczce tobozańskiej, pięknej i srogiej, bo uśmiechającej się do niewolnika swych wdzięków tylko dwa razy do roku podczas zrównania dnia z nocą.

Tęskni rycerz bez skazy wzdycha i postękuje w sobie cichcem, bowiem rzemienie i sprzączki źle dopasowanej zbroi sprawiają mu ból nieznośny — przytem odparzenia wywołane całodzienną jazdą nie pozwalają należycie usiąść; — ma, ma rycerski błędny stan swoje strony ciemne! — lecz czemże to wszystko wobec udręk wdów uciśnionych i sierot opuszczonych, którym dni tęskliwe i noce niespokojne wypraw rycerskich przynoszą niewypowiedzianą ulgę; — sprawiedliwość, którą złe ręce wydrwigroszów spychają na bezdroża — wprowadza rycerz błędny w triumfie na wielki gościniec!

Takto tam medytował Donkiszot poprzez piekący ból odparzelizny.

Sanszo Pansa chrapał jak najęty!

Poślednia krew!

Bezcelowiec!

Śpi! — *taki* — śpi! — oczywiście!!

Przez całą noc przeplatały się złote nici myśli i marzeń z powrozem szorstkim cielesnej dosytności.

O świcie rzekł Donkiszot:

— dość! —

A rzekł tak głośno, że Mikołaj usiadł na łóżku i zawołał:

— co — ?! —

— Nic! — rzekłem: dość! — odpowiedział Donkiszot siadając na fotelu, na którym mały żółty człowieczek nie mógł przekroczyć strumyka.

— nic! — rzekłem: dość! — powtórzył poważnie.

— dlaczego — ? — spytał Mikołaj, ani na chwilę nie zdziwiony bliską zjawą, zbyt nawet bliską, Donkiszota i konfidencją, wykwitłą nagle o tej porze przedjutrznianej godziny.

— dlaczego — ? — pytasz? — owszem odpowiem ci chłopcze — zagaił rycerz-chudogęba —:

— Otóż dlatego rzekłem „dość", że słowo to jest konkluzją myśli moich; a jakie były myśli moje — ? — czujne! — treść ich jest w mniejwięcyjnym skrócie taka: — zło należy umniejszać, dobro pomnażać; — zło każde zwiększa sumę ciążących przeciwności, dobro każde ją umniejsza,

ba! — właśnie pomnaża sumę dobra! — zło jest w zjawiskach, dobro w uczuciach; — trzeba to ujrzeć! — a to jest łaska, to jest dojrzenie, to jest stan duchowy! — nie talent — lecz genjalność! — talent to charakter, genjalność to namiętność; — — i tu kończy się droga dociekań, a zaczyna droga czynu! — Przeto rzekłem: dość! — i powiem tobie, który wydajesz mi się rozumnym słuchaczem: dość!! — i po raz trzeci światu całemu obwieszczam: dość!!!

— drogi panie rycerzu, mówisz takim tonem, i tak srożyście na mnie patrzysz, jakbyś się gniewał na mnie! —

— ja? — wcale nie — —

— kocham cię, ty wiesz — zarumienił się chłopiec —

— i ja cię rad w sercu noszę —

— naprawdę?

— iście tak!

— jakiś ty dobry! kochany błędniku —

— ja nie jestem dobry! — ja jestem dobro, mylne, błędne — dobro! —

— kocham cię! —

— jestem budzicielem, krzewicielem i krzesicielem dobra, które jest wszędzie, jeno przywalone głazem, pod siódmą skibą, uważasz —

— a dlaczego ludzie cierpią— ? —

— skąd wiesz — ? — wydajesz mi się nieco młody —

— tak! — skończyłem lat sześć —

— niewiele —

— no, tak! — a skąd wiem? — rycerzu mój złoty! — wyczuwam, czuję, widzę — — bo to i tatuś i ona...

— kto? —

— pani Zofja — dodał cicho.

— pani Zofja?! — a, to Dulcynea — młody przyjacielu, — tak, to Dulcynea! nie obraź się, mały przyjacielu, to Dulcynea! — ona dźwięk, ona melodja, ona muzyka najprzedniejsza, ona narzędzie muzyczne, na którem gra północny, zimny wiatr —

— no, a pani Wilhelmina — ? —

— napisał kiedyś Kumoszki z Windsor niejaki Szekspir —

— nie czytałem — posmutniał Mikołaj —

— to był taki pisarz zamorski Angielczyk —

— no, a pan Wacław — ? —

— miles gloriosus —

— nie rozumię —

— gallus crocitans —

— nie rozumię —

— to po łacinie —

— acha! —

— głupi jesteś! —

— dlaczego? —

— nie! — nie to chciałem powiedzieć —

— więc co? — mój księżycowy —

— to, że ona ta piękna pani o srebrnych włosach — to ona — Dulcynea... lecz nie z Tobozo! — zwierzę ci (— mówił szeptem —) — nie mów nikomu —

— słowo honorowe —

— więc ci teraz zwierzę, że — ta — z Tobozo — to — gęś — i — flądra — !! —

— co to flądra — ? —

— ryba, która ma jedno oko, na boku pływa i widzi tylko tycio, o — (— pokazał na ostrodze ociupinkę —) —

— pojmuję —

— mądry jesteś —

— drogi, posępny! —

— lecz i nie to chciałem powiedzieć — tylko to, że pani o srebrnych, krótkich włosach — jest Dulcyneą z niebiańskich sfer, ma wieniec z gwiazd, opasuje się tęczą, a lśniące, głębokie wody ma u stóp; — przeto jest podwójna — jak w lustrze — — wy rozmawiacie tylko z tą: odbitą, — a rzeczywista jest daleko, bardzo, bardzo daleko — —

— kocham ją — zadrżał Mikołaj —

— i ja! — krzyknął Donkiszot — i ja!!

(— tu popadł w gniew nagły i wielki —)

— i ja!!! — do stu tysięcy fur beczek bataljonów — do stu djab..., nie! nie! — do stu jeży i zajęcy — i ja ją kocham! — —

Tu zaszła rzecz niespodziewana.

Dotychczas spokojny, może krzykliwy, lecz w rzeczy dobroduszny rycerz — powstał — urósł — zolbrzymiał — znadludział — — groźnie ruszając wąsiskami, wywracając oczami (— jak talerze te ślepia! —) — począł iść niepojęty i niesamowity w stronę łóżka Mikołajowego.

A krzyczał on rycerz głosem wielkim:

— i ja! —

Zaraz też grozić począł, trwożyć a zastraszać:

— nie wierzysz? — obaczysz — —

Zadrżał Mikołaj i wrzasnął:

— ktoś ty — ? —

I zahuczała zjawa owa:

— jam jest cień Michała Srebrempisanego —

Wraz bełkoce jąkliwie jak woda na prądzie:

— a ty — jesteś — ty — jesteś — — ty — — ty — —

— co tobie? — dlaczego krzyczysz? — dlaczego zasłaniasz się poduszką? — Mikołaj!! — — upamiętaj się, blady jesteś jak ściana — Mikołaj!! —

Tu pan Michał przerażony potrząsnął syna za ramię — —

— obudź się! — to ja — ojciec — tatuś — no — Mik — —

A Mikołaj oblał się potem obfitym i szeptał zbielały na twarzy i w sobie biały jak opłatek — sercem zalęknionem biały —:

— Donkiszot — tatusiu — Donkiszot — —

ROZDZIAŁ SZÓSTY.

O ODEJŚCIU DONKISZOTA, STRAPIENIACH I OPUSTOSZENIU, O CIENIU BŁĘDNEGO RYCERZA I SŁOWIE RAZ PIERWSZY DOSŁYSZANEM, O POKOJU UNIESIONYM PRZEZ CHMURY, KRZYŻOWYM LIŚCIE I OCZACH LUDZKICH MODRYCH I NAGRZANYCH JAK NIEBO SIERPNIOWE.

Rezultatem tej egzaltacji — było (— smutno to nawet powiedzieć. a cóż dopiero napisać! —) — odebranie Mikołajowi czarownej książki o Donkiszocie —

— Nie! — odpowiadał pan Michał na wszystkie prośby syna.

Był poprostu przerażony!

— nie można ci książki dać do ręki! — dodawał — bez przekonania zresztą, — sam rozlubowany jak w barwie i woni kwiatów — w czarze mowy n i e o b e c n e g o; — kochał książki i wierzył w nie oddany do ostatka myśli i czucia tej właśnie wybranej.

O zdrowie Mikołaja jeno zatrwożony — stanowczością się bronił, rozumem bronił.

Żal chłopca był bezgraniczny!

Żal i ból i opuszczenie!

A był to okres, w którym stawał się przyjacielem wiernym i zapamiętałym.

Opustoszało w pokoju — —

Nie było Donkiszota — —

Ostał się jeno fotel — zda się mocniej wygnieciony tem jutrznianem nawiedzeniem rycerza błędnego.

Ostał się jeno fotel — —

Lecz Donkiszota nie było — —

Pustka smutna, jak...

Tak! — właśnie — tak...

Nawinęło się to słowo po raz pierwszy — w grozie i majestacie — słowo niedosłyszane dotychczas — słowo dotychczas puste — —:

— śmierć! — —

Pustka smutna jak śmierć — —

— — — — — — — — — —

Nie płakał —

Przedpołudnie opustoszałe —

Deszcz siąpił —

Szaro — monotonnie — samotnie —

Ojciec strapiony.

Syn strapiony.

Utrapieni obaj.

Róże zdeptane — —

Donkiszota niema — —

Donkiszot mieszkał w książce; z dziejami swemi, myślami i uczuciami — mieścił się w wąskiej przestrzeni pomiędzy dwiema okładkami —

Lecz mieszkanie jego zbudowane jest z tysiąca liter: cegieł najtrwalszych.

Papier, czcionka i farba drukarska to zaprawa murarska trwalsza od wapna, piasku i cementu — to materjał mocniejszy stokroć od cegły, kamienia, żelaza —

— — aere perennius — —

— — — — — — — — — —

W sercu i głowie mieszkał tylko cień posępnej twarzy i radosnego serca.

Wyniesiono go przecież z całem mieszkaniem: człowieka, sprzęty i przedmioty — —

I za co to krzywda? —

I kto ją wyrządził — ? —

Ojciec — ojciec — ojciec —

Niema radości — i nie będzie jej nigdy — po koniec życia —

I — — czy wogóle warto żyć — ? —

Czy raczej — — czyż nie lepiej — odejść z cieniem, jak cień za cieniem — ? —

Lepiej!

Stokroć lepiej!

— — — — — — — — — —

Obiad.

Gorycz w ustach.

Zaledwie przełknął kilka łyżek zupy ziemniaczanej, której pietruszkowy zapach tak bardzo lubił.

Podziękował —

— dlaczego nie jesz — ? —

— dziękuję —

Odszedł do pokoju swego.

Nie ośmielił zbliżyć się do fotelu.

Usiadł przy stoliku małym —

Wparł główkę w dłonie: co teraz — ? —

Chmury zniżały się prawie że pod samo okno —

Okno matowe, nieprzeźroczyste —

Czy może dom, czy może pokój ten podniósł się ku chmurom, które go unoszą cicho i miękko i niepostrzeżenie w nieogarnione przestworza zaludnione tylko już mgłami, chmurami, oparami i wiewem prawie nie istniejącym — ? —

Może — —

Przez szpary w ramach okiennych wsącza się sina mglistość, jak dym bezwonny — chłodny — wilgotny —

Zimno!

Deszcz siępi z powały —

Mglistość coraz większa —

Ciemno —

Zaledwie dojrzeć można papier i ołówek — — Papier — ? — któż go tak wyrwał z zeszytu, co zwie się „wyrób krajowy“ — ? —

Ołówek — ? — któż go to w rękę włożył — czerwony ze znakiem wpisanym w pamięci: 8 C. Hardtmuth — Austria Nr. 12. — ? —

Któż pisać każe ten list krzyżowy — ? —

†

† †

† Jedyny, Najdroższy Tatusiu! †

† To syn Twój pisze do Ciebie † któremu ciężko bardzo i źle † † Widzisz mój Jedyny, najukochańszy Tatusiu † nie mogę, nie mogę żyć † Tatusiu mój jedyny † ręce Twoje całuję † nóżki Twoje obejmuję † Wybacz, wybacz † wiem, że Ci samotnie będzie bezemnie † i może zapłaczesz † Tatusiu jedyny, ukochany Tatusiu † nie płacz † nie płacz! — † † Muszę iść za cieniem Donkiszota † przyszedł do mnie we mgle † we mgłę idę z nim † pocoś mi go zabrał? † Tatusiu jedyny † † już go tutaj czytać nigdy nie będę † a tam nie wiem czy potrafię † bo tam bardzo ciemno † a zawsześ mi Tatusiu mówił, żebym sobie oczu nie psuł, żebym po ciemku nie czytał; † będę o tem pamiętał † zawsze Tatusiu † i to każde słowo Twoje pamiętał będę † zawsze † zawsze † jeśli tam słońca niema, to już nigdy czytać nie będę, ani pisać † Ty nie wiesz Tatusiu jak to strasznie † a może wiesz, bo Ty wszystko wiesz Tatusiu drogi † † † mgły przyszły po mnie † tak ciemno † i pisać już nie mogę † † i ucałuj ręce gościom naszym i Antoninie i Jasiowi i Szymkowi Gawrońskiemu † † ja ich bardzo przepraszam † a Ciebie Tatusiu tak kocham, tak bardzo, tak bardzo, i już nigdy.....

Łzy padały na te słowa ciężkie, łzy duże i jasne, — a gdzie na krzyż trafiły, tam się koło tego bożego znaku aureola czyniła świetlista —

Tak to promieniste były krzyże pośród krzyżowych słów —

..... † i już nigdy, bo mi tak strasznie źle † † to jedno Tatusiu żebyś wiedział, żebyś wierzył jak Cię kocham † najumiłowańszy mój † †

— Mikołaju! — Mik! — chłopcze mój złoty, mój synku jedyny — ! —

Zaplotły się drżące ręce ojcowe wokół szyi chłopięcej —

— Tatusiu! —

— Mik! —

— ja — ja — nie chciałem — pisać — to tak — — samo — — wyszeptał w szlochaniu.

Tulił ojciec syna do piersi i w główkę całował wilgotną od łez dojrzałych —

A właśnie w chwili tej słońce przedarło się przez mgły i chmury — zaświeciło skośnie przez okno i ozłociło pana Michała i chłopca —

Krople łez lśniły na płowiźnie dziecięcej jak rosa o świcie —

W opadzie tęczą rozbłyskały —

Oczy ludzkie były rozświetlone, modre i nagrzane jak niebo sierpniowe — —

ROZDZIAŁ SIÓDMY.

O TRÓJBARWNEJ CHORĄGWI SZUMIĄCEJ NAD NAMIOTEM RYCERZA BŁĘDNEGO, O ROZMOWIE Z ŚWIĘTĄ GENOWEFĄ IDĄCĄ MIEDZĄ WIECZORNĄ. NA KTÓREJ POSNĘŁY STOKROTKI, O PIĄTACZKU I KOLORZE WŁAŚCIWYM MIŁOŚCI, ORAZ O SŁUPIE ŚWIATŁA ROSNĄCYM WZWYŻ JAK PALMA.

Po Donkiszocie żałosnym zaczął się czas świętej Genowefy, Robinzona Kruzoe i Krzysztofa Kolumba.

Święta Genowefa była różowa —

Robinzon Kruzoe zielony —

Krzysztof Kolumb niebieski —

Trójbarwny był ten dar ojcowy.

Nawyrężenie bolesne snu należało kolorowo wynagrodzić.

Stało się tedy, że nad opustoszałym namiotem błędnego rycerza powiewała chorągiew różowo-zielono-niebieska.

— — — — — — — — —

W głębi starego boru...

Jaskinia...

Niewiasta niewinnie skazana...

W bożym płaszczu włosów...

Z dzieckiem u kolan...

Z łanią-żywicielką białą u stóp bosych...

Biedna!

A jednak tak w tej samotności szczęśliwa — ! — z szumem drzew nad sobą, z wiecznem niebem nad drzewami — z Bogiem ponad wszystkiem —

Strumień śpiewa...

Pszczoły grają...

Barcią słodką łagodności i cichego dobra jest bór i wygnanie —

Gdzieś poza granicami dalekiemi gwar i hałas — walki, rumor, szczęk —

Spłoszone ptactwo i zwierzyna bojaźliwa przemykająca się z lękiem pod matecznik pobok jaskini — mówi o tym t a m świecie siejącym strach i śmierć!

Burze, — sroższe od gradowych i piorunowych —, nawałnice huczące w duszach ludzkich, oświecone błyskawicami trujących namiętności — panują niepodzielnie t a m — poza granicami dalekiemi —

A przecież jedno jest tylko życie godne: życie wysokie, życie dalekie, życie w Bogu! —

Tak mówisz do mnie, Genowefo święta, wracając z naręczem chróstu lub z przygarścią jagód leśnych, poziomek, malin, borówek lub ostrężnic czerwieniejących się lub granatowo czerniących na szerokim, kosmatym liściu łopuchu —

— wracasz ścieżką wieczorną na której już śpią konstelacje stokroci — — — powiedz mi, po-

wiedz, święta pani łagodna, czy to życie ci bliższe, czy poprzednie —

— sam sobie odpowiedz Mikołaju —

— ja już wiem, już wiem święta pani dobra — mówi chłopiec i pyta:

— powiedz mi, powiedz — czy, gdy wróciłaś, święta pani słodka, po wyrównaniu krzywd w poprzednie dni, zmienione przecież i stokroć lepsze — nie zatęskniłaś nigdy do samotnej jaskini, samotnej, jak twe myśli i czucia, zagubionej w zieleni i niebie, jak myśli twe i uczucia w Boga — ? —

— czyliż i to wiesz — Mikołaju — ? —

— wiem — święta pani łagodna —

— więc czemuż pytasz — ? —

— potwierdzenie wzmaga pewność —

— samodwój z ojcem mieszkam w Porębie Murowanej, jak ty cudna pani biała w jaskinnej samotni —

Uśmiecha się święta Genowefa i powiada:

— wyjdź z boru tego i udaj się na wyspę — Robinson czeka —

— Piątaczka kocham —

— a właśnie, właśnie jest teraz w południowej godzinie w chacie-szałasie skleconym z byle czego i byle czem poszytej nieporadnie —;— zawołaj —

— Piątaczku! — Pią-tacz-ku — ! —

Wychodzi murzynek przed chatę —

— czego biała mała massa chcieć — ? —

— mówiłem z świętą Genowefą —

— nie znać Piątaczek święta Genowefa —

— szkoda —

— ona być czarna — ? —

— nie! nie! — biała! — bieluteńka — ! —

Skrzywił się murzynek.

— niedobry Piątaczku! — bardzo niedobry i nierozumny do tego! — toć-że ona święta! —

— lecz biała massa Mikolo —

— Mikolo? — niech ci będzie Mikolo! — ale cóż z tego, że biała — ? —

— Bóg Piątaczka być czarny jak Piątaczek —

To już ponad rozum chłopięcy!

Zakłada śpiesznie stronicę i biegnie do ojca.

— tatusiu! — czy Bozia może być czarna — ? —

— jak mówisz — co — ? — — nie dosłyszał ojciec zacinaniem gęsich piór uważnie zajęty.

— czy Bozia czarna być może —

— skądże ci to — ? —

— Piątaczek się ze mną sprzecza —

— a! — nno — Bóg jest taki jaka jest nasza miłość do niego —

— a jaka jest miłość — ? —

— w kolorze — ? —

— niby —

— w kolorze? — — miłość jest świetlista —

— taka, jak słońce — ? —

— ano tak — —

— widzisz Piątaczku — przemawia już nad książką Mikołaj — widzisz — Bozia jest świetlista jak słońce —

Lecz Piątaczek już nie słucha —

Klęczy przed chatą-szałasem poszytym suchemi płatami liści bananowych i palmowych — klęczy — modli się o powrót do ojczyzny — swój i Robinsona —

— Boże wielki, Boże bardzo wielki, Boże największy — daj murzynkowi wrócić do wsi ojców jego i braci, matki i sióstr — a białemu przyjacielowi za wielką wodą daj znaleść opuszczony dom — —

Bije twardą, kędzierzawą głową o ziemię suchą — ręce czarne podnosi ku niebu.

A im bardziej się modli — słuchajcie! — a im bardziej się modli, tem jasność idzie od niego większa, świetlistsza, wspanialsza — aż gubi się i topi i znika bogomodlca czarny za tym kręgiem rozbielonego żaru — — — to światło modli się słoneczne — słup światła rosnący wzwyż jak smukła palma — — — bo Bóg w miłości stworzenia wszelkiego jest jeden!

ROZDZIAŁ ÓSMY.

O OSTATNIM RYCERZU KRZYŻOWYM, O GNIEŹDZIE BOCIANIEM, GŁOSIE - WIEWIÓRCE KĄŚLIWEJ, O POCZWÓRNYM OKRZYKU, MODLITWIE PAŃSKIEJ UJĘTEJ W LITANJĘ, ORAZ O WIZJI BIAŁEGO MIASTA, NAD KTÓREM LŚNI ZŁOTY KRZYŻ.

I w Imię tego Boga utajonego w sercu wyrusza Krzysztof Kolumb na zdobycie Ziemi Świętej.

Nie po kraj nowy jedzie — nie! — nie po bogactwa i korzenie drogie — nie! — Tak to ludzie źle zrozumieli — —

O świata tej czwartej części wiedział, a otóż i mapy choć niezdarne — wyraźnie o tem mówiły owoczesnemu kształconemu globwojażerowi — otóż to! — nie on tam pierwszy stopą twardą i zwycięską stanie! — To tylko ludzie o tym lądzie zapomnieli tak, jak zapomnieli w sobnej uganiaczce powszedniej o miłości do Ziemi Świętej, po której chodził Zbawiciel z rybitwami swemi, po której radość siał i ostawiał włodarzom i słuchaczom, cierpiącym i smutnym, — na której umęczon umarł na krzyżu za ludzkość całą, — w której to ziemi trzydniowy grób jego błogosławieństwem darzy ostatecznem —

Przez mórz zbałwanione odmęty — raz pierwszy — jedzie Mikołaj — przy sterniku — na straży — na warcie —

— wiatr mierzwi włosy —

— zimny, mokry wiatr — jak uderzenie ręcznika —

— fala woła nagłos, wysoko, jak wzburzone czuby najwyższych drzew — piskliwie jeno, długo, przeraźliwie —

— to znów nisko — przepaścią grozi — basem grubym, potwornym, gardzielnym —

— ostał ster — sternikowi przynależny —

— a oto już teraz w bocianiem gnieździe chłopiec stoi, jakby na modrzewiu porębiańskim —

— oczy wypatruje —

— a dzierżyć się trza masztu mocno — okręt kołysze się, chwieje, tańczy —

— zdołu Krzysztof Kolumb woła — ! —

— przystanął na pokładzie —

— przy burcie —

— woła — ! —

— wiatr świszczący w rejach i linach głuszy głos — na morze dalekie znosi — w bezdeń wzburzoną ciska — — *jego* głos! —

— więc zwija dłonie Krzysztof Kolumb przy ustach — i — woła — ! —

— głos mknie masztem jak wiewiórka spłoszona — ogonem puszystym zamiata — czeka pozłośliwie —

— przyczaił się Mikołaj —

— dech zaparł —

— schwycił głos za puszysty kark —
— ku uchu podnosi —
— słyszy jak ciche miaukanie kocie: — hej! — a co tam chłopcze — ? — co widzisz? —
— nic! — odkrzyknął z gniazda —
— bo i nic! —
— a głosu nie puszcza! —
— do ucha podnosi —
— za blisko! —
— głos ukąsił w policzek! — jak smagnięcie biczem —
— sczerwienił się —
— zły i zniechęcony —
— rozwarł palce (już i tak skostniałe!) —
— głos zawirował zawrotnie —
— spadł na pokład —
— odbił się kilka razy jak piłka —
— zerwał się — zatoczył — pobiegł przed siebie — znikł w gąszczu zwojów sznurów, powrozów i lin, które tam leżą jak śpiące wężowisko —
— pożarły go? — zapewne!
— I znowuż po jakimś czasie — Kolumb tam z otchłani tej dolnej — woła — ! —:
— ho — o — o — ooo —
— i znowu —:
— ho — o — o — ooo —
— a już po raz trzeci!
— lecz już odpowiedź rodzi się na widnokręgu dalekim jasną smugą wybrzeża — — naprawdę? — zaraz! — zaraz! — o tak — o tak — o tak —
— ląd! — ląd! — ląd! — ląd! —

Za czwartym okrzykiem — już jest Mikołaj na pokładzie — przemignął jak błyskawica po gładkim maszcie.

— dzielnieś się spisał — mówi Rycerz Krzyżowy, — a podwładni uśmiechają się do Mikołaja życzliwie —

Na pokładzie harmider, rwetes, wrzawa, płacz, śmiechy, uganianie — po tylu dniach! złych dniach!!

Lecz krótko trwa rozgardjasz.

Donośny, nieco drżący głos Krzysztofa Kolumba obwieszcza mocno i wyraźnie:

— Ojcze nasz —

— ojcze jedyny, miłujący ojcze —

— któryś jest w niebiesiech —

— jak modrość kopuły niebieskiej ogarniasz morze i ląd i nas —

— święć się imię Twoje —

— po wszystkiej krainie wilgnej i suchej, znanej i nieznanej i tej, która nigdy znana nie będzie —

— przyjdź królestwo Twoje —

— królestwo nie z tego świata! — niechaj napełni nas odblaskiem, jak słońce księżyc, a uświęceni będziemy, odkrywcy Łask! — królestwo Twoje to wiara, to nadzieja, to — ponad wszystko: miłość!! —

— bądź wola Twoja —

— i posłuszeństwo jej w nas! —

— jako w niebie tak i na ziemi —

— bądź wola Twoja —

— chleba naszego powszedniego —

— abyśmy głodu złego nie zaznali, a duch aby nie stanął nad zawrotną przepaścią pustki wieczystej —

— daj nam dzisiaj —

— a dzisiaj to jest każdy dzień, aż po koniec żywota naszego —

— i odpuść nam nasze winy —

— które są ustawiczne; ustawicznej też nie szczędź, nie szczędź nam łaski przebaczenia —

— jako i my odpuszczamy winowajcom naszym —

— pokój! pokój! pokój!

— i nie wódź nas na pokuszenie —

— małości, gniewu, kłótni, zazdrości, nienawiści —

— ale nas zbaw ode złego —

— od myśli złych, słów niepotrzebnych, czynów obojętnych, od braku miłości zbaw nas, Ojcze!

— Amen —

— tak niechaj się stanie w Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego — we wszystkich sferach Trójcy Przenajświętszej, która jest Jednością — ! —

— Gloria! —

— chwała, chwała na wysokościach —

— pokój ludziom dobrej woli na ziemi —

Ziemio nowa!

Ziemio święta!!

O Jeruzalem wieczne!!!

— — —

Tak modlił się Krzysztof Kolumb.

Żeglarze powtarzali słowa jego.

A tedy na rozgrzanym, drżącym widnokręgu wyrastały na błękicie białe wieże białego miasta — ponad niemi świetlista kopuła ze złotym leżącym krzyżem grobu Chrystusowego.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY.

O DNIACH WYPEŁNIONYCH PONOWNEM ODCZYTYWANIU TYTUŁÓW I PENETRACJI RYCIN OKŁADKOWYCH, PRZYCZEM NAPOTYKAMY SŁOWA TAJEMNICZE, O ODŁOŻENIU ICH WYTŁUMACZENIA NA DZIEŃ JUTRZEJSZY; TYMCZASEM ZAKWITAJĄ CZARNE MAKI.

Dni wypełnione były radością, zachwytem, miłością — po brzeg, po zmierzch, po noc.

— cóż, spać nam się kłaść trzeba; — nie chcesz dziś opowiadań? — jakoś nie upominasz się — ? —

— dziękuję tatusiu —

— dlaczegóż-to proszę? —

— jadę do Ziemi Świętej —

— hm — to i ja z tobą pojadę, — lecz musimy wypocząć przed daleką podróżą, — chodźmy spać synku —

— dobrze —

Składa książki — tym, odkąd je otrzymał, przyswojonym zwyczajem — jedna przy drugiej blisko i ściśle: różowa, zielona, niebieska —

Głaszcze je i żegna się z niemi —

Raz jeszcze odczytuje tytuły — a z każdej litery obraz wyrasta zaznany lub znagła wyświetlony —

Czyta — aż po te drobnym drukiem ułożone słowa, które nie wiedzieć jak powiązać z postaciami świętej Genowefy, Robinzona Kruzoego, Krzysztofa Kolumba — dziwne, niepewne słowa — : — tytuł u góry, wiadomo, — poniżej rysunek: jaskinia, pani łagodna w płaszczu włosów, chłopię małe, sarenka; — chatka z palmowem drzewem, piach, a w nim ślady wytłoczone bosych nóg o szeroko rozstawionych palcach; — brzeg lądu i morze za nim — okręty wysokie, żaglowe, na ląd wstępuje w płaszczu z wyszytym gwiaździstym krzyżem, w szyszaku z pióropuszem — on, odkrywca lądów, ostatni rycerz krzyżowy; — wszystko to jasne, przemyślane, zrozumiane — — lecz pod, lecz pod obrazkami napis ten w dwu linjach:

Druk i nakład
Łukasza Woltyna w Wołkowicach

— co to znaczy — ? —
— spać! spać! — a co takiego — ? —
— druk i nakład — ? —
— jutro ci powiem — zmiłuj się, już taki blady jesteś, a oczka masz maleńkie jak owies, ani ich nie widać z pod znużenia —
— a Łukasz Woltyn — ? —
— jutro, synku, jutro —
— na pewno? — tatusiu... ale...
— na pewno!

— dobranoc!

— dobranoc!

Już w łóżku leżąc — zasypiającym głosem wyrzekł Mikołaj sakramentalne, codzienne:

— dobrej nocy, miewaj się —

I jeszcze:

— dobranki makowe siał — co w gwarze paro i kilkoletniej znaczyło:

— dobranoc, cicho jak makiem siał.

Usnął.

Cichy, mięki grad makowy siekł na ukos w czarne okna, ściany, dach i drzwi porębiańsko murowiańskiego futoru.

Zasnął dom i ogród.

Mak zakwitał o północy czarnym kwiatem.

KSIĘGA TRZECIA

SZLAKIEM STRAGANÓW

SZLAKIEM STRZAŁKOWCA

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

O NADZIEI UGRZĘZŁEJ W BŁOCIE, REJTERADZIE Z MOKRYCH PÓL I GÓR OCIEKAJĄCYCH, O PRZYTUŁKACH SUCHYCH I BEZPIECZNYCH, O OKNACH Z MGIEŁ, PRZESTRZENI SZEMRZĄCEJ I SKRZYPIE GĘSIEGO PIÓRA. CO Z TEGO WYNIKŁO? — WYBIERAMY SIĘ W PODRÓŻ POMIĘDZY STRAGANY. UWAGA! SŁUCHAJMY!

Rozpoczął się okres późnowrześniowych, długotrwałych deszczów.

Nie było nieba — była tylko niska rozłożysta kopuła zbitych, jednostajnych chmur.

Nadzieja, że przecież kiedyś będzie pogoda, modrość i słoneczność — nie dojechała do Poręby Murowanej — ugrzęzła w gęstem, głębokiem błocie — aniby jej stamtąd sześcioma parami węgierskich wołów nie wyciągnął — takie uparte to błoto ilaste; nie popuści.

Zajęcia, ochoty i zabawy wycofywały się — niektóre powoli, inne co strachliwsze w popłochu — z placu mokrej walki; roztasowały się jak mogły — to w stajni, to w stodole, to w czeladni, to w sieni — poniektóre biwakowały pod balkonem; kamienie tu oczywiście były mokre, lecz przynajmniej zgóry nie mokrzyło.

Ruchliwa fala wody odgrodziła od siebie ludzi i domostwa.

Wszystko poczęło się dziać pomiędzy czterema ścianami izb.

Wyobraźnia zajęła miejsce rzeczywistości — rozpanoszyła się na dobre.

Skłonność do marzycielstwa tak charakterystyczna w późniejszem życiu Mikołaja miała niezawodnie źródło swoje w tych i takich właśnie dniach.

Podobnie jak rytm prac i zajęć ściągał się z pól i lasów w obejścia opłocone, w miejsca poddaszne — tak i wszelka zewnętrzność wchodziła „do środka" jak ślimak w skorupę.

Myśli nosiły się podszewką nawierzch.

Uczucia wciągały oczy do wnętrza.

U Mikołaja chęć słuchania przeważała nad chęcią mówienia.

Tymczasem w oknach zamiast szyb stały tafle mgły, po za któremi nie było kształtów ni barw — jeno bezkresna mlecznozielona przestrzeń szemrząca; zapach tej przestrzeni przypominał woń nieprzewietrzanej szuflady, w której niegdyś mieszkały myszy.

Nieustannemu ani chwilę przez wiele dni i nocy szemrzeniu wtórował jednostajny skrzyp gęsiego pióra.

To Pan Michał pisał.

A pisał odpowiedź na pytanie synowe — pamiętacie — ? —

Otóż to!

Zebrał z pokoju niebieskiego (o nim będzie później) co się zebrać dało —: książeczki, broszurki, szpargały, karteluszki, zapiski — ułożył tę piramidkę rozmaitą na stołku obok stołu i — począł pisać.

Równem, pięknem pismem zapełniał linjowane niebiesko kartki wyrwane z zeszytów, które pamiętne dawnych profesorskich czasów leżały wielką kupą na oknie, gdzie też dokumentnie pożółkły.

A potem?

Potem odczytywał to Mikołajowi głośno i poważnie ilustrując zdanie poszczególne ruchem ręki wskazującym tę czy inną książczynę; — zazwyczaj dodawał:

— oto ta! — ta! — widzisz —

(— przyczem spozierał z ponad okularów —)

Tak szedł rozdział za rozdziałem.

W kolorze żywego słowa barwiło się i słowo i zdanie każde oczywiście mocniej niż w wyblakłości galasowego inkaustu.

Ojciec czytał, syn słuchał grzecznie i układnie, jak przystało, jak być powinno.

Układność ta — bądźmy szczerzy — źle świadczyła o zainteresowaniu chłopca.

Hoho! — a gdzież to bladość czoła- — a gdzież rumieńce na jagodach? — gdzież rozchylone wargi — ? — a zwłaszcza gdzie owo przyciemnienie rozszerzonych oczu — ? —

Nic z tego wszystkiego!

Niemniej pod melodję rozszemrzonego świata i skrzypu pióra — podkładały się posłusznie kronikarskie gawędy.

A choć w połowie tylko zapamiętane — ostały w zakamarkach wspomnień.

Do rekonstrukcji zapomnianych fragmentów dopomogą nam zapiski porządnie wykonotowane na wyrwanych z zeszytów kartkach linjowanych kolorem niebieskim.

Cała ta sprawa Woltynów odegra w życiu Mikołaja Srebrempisanego rolę niebylejaką — nie dziś lecz jutro (a czas tak szybko mknie!) — skorzystajmyż więc z pilnej łaskawości pana Michała, który zdradził kwiaty, dla cichej radości obijania boków po straganach jarmarcznych i odpustowych.

Wiatr zasnął jak kot zwinięty w kłębek, ani mu się śni rozstawać z ciepłem nagrzanego oddechem futerka.

Chmury miast rzednąć gęstnieją— gęstnieją — nie wolnoż im to — ? —

Deszcz siępi bez przerwy.

Zanim się „przetrze" — posłuchajmy!

ROZDZIAŁ DRUGI.

O DRUKARZACH WOLTYNACH W OGÓLNOŚCI, A W SZCZEGÓLNOŚCI O ŁUKASZU WOLTYNIE, JAKO DO WOŁKOWIC PRZYBYŁ I KRZĄTLIWIE OKOŁO KSIĄŻEK ZABIEGAŁ, O SŁUŻBACH BOŻYCH, DROGACH DO SZCZĘŚCIA, PRZEWODNIKACH DUSZ, POCZĄTKACH ŻYCIA NIEBIESKIEGO NA ZIEMI, A OSOBLIWIE O SNOPKU MIRY, ŻYWYM RÓŻAŃCU, GŁOSIE SYNAGORLICY, PRZERAŹLIWEM ECHU I ZODYAKU CZYLI DRODZE DO WIECZNOŚCI.

Z nazwiskiem drukarzy Woltynów spotykamy się w Polsce już w wieku szesnastym.

Wiadomości oczywiście mamy szczupłe, fragmentaryczne, rozsypane i ukryte w matecznikach aktów różno-grodzkich — niemniej wiemy naprzykład, że wdowa po drukarzu Woltymie, żyjącym i pracującym przykładnie w okresie wspaniałego rozkwitu kunsztu drukarskiego w Krakowie, wyszła zamąż za Murmeliusa w roku tysiąc pięćset czterdziestym, że w tem drugiem małżeństwie szczęścia nie zaznała, że w lat kilka później wyemigrowała na Węgry. Mało-niewiele!

Później już tylko legendy i ustne kroniki i wspominki rodzinne mówią o drukarzach Woltynach na Morawach i obu Śląskach, górnym i cie-

szyńskim; wtedy to germanizacyjne urzędy zmieniły y na i; odtąd część rodziny wabi się Woltin.

Jeden z tych śląsko-morawskich Woltynów vel Woltinów, imieniem Łukasz, sprowadził się w roku tysiąc osiemset trzydziestym do wolnego, królewskiego miasta Wołkowic i tutaj zakupił istniejącą od roku tysiąc osiemset dwudziestego piątego oficynę od Józefa Pokornego wdowy. W roku 1868 zakłada sam księgarnię i w zakupionej poprzednio drukarni introligatornię.

Jako właściciel tłoczni wołkowickiej poza przejęciem nielicznych nakładów, jako to „Śpiewy Historyczne" przez J. U. Niemcewicza „Życiorys św. Jadwigi" etc. — rozpoczął Łukasz Woltyn żywą i krzątliwą działalność w zakresie wydawnictw odpustowych, dewocyjnych i straganowych przedewszystkiem.

Kalwarja Zebrzydowska, Alwernja, Częstochowa, targi i jarmarki zakwitły bujnem kwieciem „Wyboru Osobliwych Nabożeństw z dodatkiem zbioru najużywańszych pieśni", „Wiankami anielskiemi dla pobożnych dzieci", „Służbami Bożemi, w których zebrane jest całoroczne Nabożeństwo z najcelniejszych dzieł uczonych i pobożnych Ojców Kościoła ku większej czci i chwale Boga w Trójcy świętej Jedynego i Najświętszej Marji Panny Matki Bożej tudzież Patronów świętych i wszystkich Świętych Pańskich", „ołtarzyków małych i ołtarzyków warszawskich i ołtarzów złotych", „officiów prawowiernego katolika", „kantyczek czyli zbiorów pieśni i kolęd", oraz wszela-

kich „Dróg do szczęścia" i niezawodnych „Przewodników duszy".

Wszystko to, zasobność cała, oprawione było i jest w „skórkę z marmurowym brzegiem", albo zacniej „w skórkę z złoconym brzegiem", albo i z „złoconym brzegiem, i klamrami", wreszcie z „złoconym brzegiem klamrami i narożnikami"; najwyższa wreszcie dostojność: oprawne w „blachę z złoconemi brzegami i klamrami i narożnikami; a skórka bywa „praska" albo „szagrynowa bronzowa", a ostateczna już najwyższa formacja to „okładka metalowa z białą kością" lub „z kwiatkami".

A pośród tych sutych i sytych książek prym nabożny wiodły (i dotąd wiodą — należy się jeno dobrze wsłuchać w gwarę ludu beskidzkiego, w jego sposób-rytm myślenia i składu-ładu zdań, wysławiania się i obrazowania, a łacno odnajdzie się pobrzmienia i pogłosy „Początków Życia Niebieskiego na ziemi") więc prym należny nieomylnie wiodły:

primo: „*Snopek Miry* z ogrodu Getsemańskiego albo żałosne gorzkiej męki *Syna Bożego* podczas postu wielkiego na pasyach około godzin nieszpornych po południu rozpamiętywania dla zapalenia miłością serc ludzkich ku niewinnej męce *Pana i Zbawiciela Jezusa Chrystusa* oraz ku przenajświętszej Marji Pannie bolesnej";

secundo: „*Żywy Różaniec* czyli reguły i nowy sposób wspólnego i skutecznego odmawiania *Różańca świętego* na większą cześć i chwałę Pana Bo-

ga w Trójcy Świętej Jedynego i uwielbienie najświętszej Boga Rodzicy Marji Panny. To nabożeństwo od Ojca świętego Grzegorza XVI. w dzień 21 stycznia 1832 roku potwierdzone zostało";

tertio: „*Głos Synogarlicy* na pustyni świata tego jęczącej to jest: nabożne duszy chrześcijańskiej rozmyślania do Pana Boga, oblubieńca wiecznego wzdychania i w chrześcijańskiej doskonałości ćwiczenia";

quarto: „*Przeraźliwe Echo trąby ostatecznej,* czyli cztery rzeczy ostatnie człowieka czekające. Przez X. Klemensa Bolesławiusa, zakonu św. Franciszka reformata prowincji Wielkopolskiej, św. teologji lektora i definitora rytmem polskim rzetelnie w chrześcijańskich uszach odnowione, wszystkim ludziom za przestrogę zbawienną r. 1808, a teraz poprawione i na nowo na światło wydane";

quinto: — a przedewszystkiem! —: „*Zodyakus albo droga do wieczności,* czyli: Dwanaście znaków przejrzenia do nieba. Przez Wielebnego Ojca Jeremjasza Drexeliusza soc. Jesu łacińskim językiem wydana, a r. 1632 na polski przetłumaczona przez pewnego kapłana, teraz zaś przejrzana i na nowo wydana".

Obszerne dzieło to dzieli się na „znaki", „figury" i „paragrafy"; treścią, stylem i obrazowaniem budzi głębokie i długo westchnienia. Exemplum: „*Siódmy znak przejrzenia do nieba. Jałmużna święta. Figura siódma. Krzaczek tabakowy.*

Krzaczek tabakowy!

„I medycy dość mądrzy, i samo doświadczenie codzienne nas uczy, że to ziółko aczkolwiek na wielu chorób zleczenie pomaga, wszakże jednak najwięcej do zleczenia narodów (prawdopodobnie ma być: wrzodów) i ran zgojenia, ma moc skuteczniejszą.

Przez to ziele bardzo moim zdaniem „jałmużna" rozumieć i figurować się może, a zwłaszcza ta, którą kto wielkim affektem i sercem miłosiernem hojną ręką wydaje na ubogie, nędzne i utrapione ludzie.

Albowiem jako tabaka, według tego, co się wyżej powiedziało na zleczenie wrzodów wszelakich jest bardzo pożyteczną, tak jałmużna dziwnie pomaga na zleczenie dwóch wrzodów sprosnych i szkodliwych, to jest, ubóstwa na ciele i grzechu na duszy".

Po „krzaczku tabakowym" wyrasta „drzewko cyprysowe" (wzgarda samego siebie, albo podłe o samym sobie rozumienie), przechodzimy pod skrzyżowaniem „dwu włóczni" (miłość nieprzyjaciół), otrzymujemy „bicze i rózgi" (obrzydzenie grzechów przeszłego żywota), imamy się „kotwicy" (dobre uczynki), gramy na „lutni" (poskromienie złych affektów naszych), aż do smętnych myśli i groźnych przeświadczeń, które nam wyłoży „Sumaryusz, czyli krótkie zebranie tego wszystkiego, co się o znakach przejrzenia do nieba powiedziało, gdzie się zaraz nauka położy: iż mało jest bardzo ludzi do nieba przejrzanych".

„Wiedzcie iż ten sam czuje, który tak zawsze i wszędzie czuje, jakoby ten dzień, którego żyje, już był ostatni i który się już więcej powrócić nie może.

Do tego i ten czujno życie swoje na świecie prowadzi, który w każdej myśli i w każdym uczynku swoim, tak się pilno z swojem sumieniem rachuje, jakoby dziś miał koniecznie umrzeć i już dłużej nie żyć.

Czujmyż tedy póki możemy, to cobyśmy czynić chcieli na ten czas, gdy czynić już nie będziemy mogli.

Co sobie zasieje człowiek to żąć będzie, albowiem kto sieje na ciele swojem, z ciała też żąć będzie, skazę i zepsowanie, a kto sieje w duchu, z ducha żąć i zbierać będzie żywot wieczny.

„Soli Deo gloria Amen".

ROZDZIAŁ TRZECI.

O NIEPOMIJANIU DZIEDZIN DOCZESNYCH (O NAUCE CZYTANIA, PRAWIDŁACH WYCHOWANIA DOMOWEGO, PRAKTYCE GOSPODARSKIEJ I PROGNOSTYKACH CZUŁYM GOSPODARZOM WIELCE POTRZEBNYCH) POCZEM RYMOWANE WDZIĘCZNIE PRZYPOWIEŚCI SIĘ KŁADĄ O WŁASNOŚCIACH KAŻDEGO MIESIĄCA, O ORDYNANSIE ROBOTY I WIESZCZBIE WIEJSKIEJ.

Poza temi i tem podobnemi „Nabożeństwami do Najsłodszego Serca Marji". po za „Nabożeństwami, modlitwami i nowennami odpustowemi", po za „Nieszporami", „Pieśniami kościelnemi", „Przykładami z życia zacnych ludzi na pożytek ludu spisanemi przez Józefa z Bochni", obejmującemi między innemi historje pouczające i dydaktyczne o Jakóbie i Macieju Miłkowskich, o Kazimierzu Korsaku, o Sebastyanie Kubinku, o gromadzie w Klimcikowie, o Gabryelu Stępie, o Janie Rysiu, o Feliksie Boruniu, o X. Józefie Szafranku, o Kmieciu Wincentym Czuprynku, o Stanisławie Zarębie, o Dominiku Moniuszce, o Hermanie Marcinie Gizewiuszu i t. d., poza, powtarzamy, temi i tem podobnemi „Uwagami chrześcijańskiemi", „Skarbikami" i „Mannami" nie pomijał Łukasz Woltyn dziedzin bardziej ziemskich i doczesnych.

Wydał też szereg broszur praktycznych i podręcznych jako to: „Groszówka", czyli „Nauka czytania", „Prawidła wychowania Domowego, kilka uwag dla rodziców, według dra. Lauckharda napisał Józef Chmielewski", „Praktyka gospodarska o poznawaniu własności roku, urodzajów, odmian powietrza, przez doświadczenia zebrana. Z której każdy wprzód poznać może, co za postanowienia przyszłego roku, każdego miesiąca i dnia ma być wszystkim Ekonomistom, a zwłaszcza czułym gospodarzom bardzo pożyteczna".

Książeczka ta pełna szlachetnej wiedzy oziminnej, jarej, gumnowej i obornej, podaje w formie krótkiej i apodyktycznej właściwości charakterów poszczególnych miesięcy, nazywa po imieniu i nieodwołalnie dni szczęśliwe i dni feralne, przyczem dowiadujemy się między innemi, że „w nocy Bożego Narodzenia jeżeli wiatr wieje, na wielkich panów śmierć. Druga noc po Bożym Narodzeniu, jeżeli wietrzna, wino skazę uczuje. W trzecią noc jeśli wiatr, królom niektórym śmierć grozi. W jedenastą noc jeśli wiatr, wojna i rozsterki z rozbójnikami znaczy.

Nie gań aże doświadczysz, bo też doświadczyli,
Ci którzy to podali a przed nami żyli".

Dalej:

„Dnia 22. grudnia słońce wschodzi w Koziorożca, które znamię jest zimne, suche, natenczas dobrze w drogę jechać, dzieci zostawić.

Dzieci, które się pod tym znamieniem rodzą, bywają krnąbrne, ponure, melancholiczne, do

smutku, przysięgania i przeklinania skłonne, nieunoszone i na karanie nie dbające, lękliwe i nie tak do kupiectwa jak do roli i do ciężkich robót przez które sobie pożywienia nabywają, sposobni.

Jeżeli grzmi kiedy słońce w Koziorożcu, znaczy deszcz i nasienia skażenie.

Wszystko co widzisz napisanego,
Podano pod moc doświadczenia twego,
A czego w tej tu części nie dostało,
Czytaj część drugą wszystko znajdziesz śmiało.
Tego się trzymaj, czego doświadczyli,
Przodkowie nasi co przed nami żyli".

Z drugiej części „Praktyki gospodarskiej, w której się zawierają rzeczy potrzebne gospodarzom w miasteczkach i wioskach, wędrującym ludziom, myśliwcom, rybakom i inszym koło pola pracującym", dowiesz się czytelniku miły, „jak poznać szkodę z słońca", „znaki pogodne z powietrza górnego", „znaki pogody na ziemi i ogniu", „znaki deszcza z ziemi i tych rzeczy, które się na ziemi znajdują", „znaki mrozu i zimna po słońcu, gwiazdach i innych rzeczach", „znaki po których poznać można przyszłe trzęsienia na niektórych miejscach" (— „ilekroć słońce smutne, czarne, bez obłoku tylko samo w sobie, że się zda jakoby podczas zaćmienia widać, albo kiedy kilka dni zachodząc, po sobie długo straszną chmurę zostawia, trzęsienie ziemi znaczy na pewnych miejscach. — Kiedy woda w studniach, w stawach, w sadzawkach bez znacznej przyczyny niespoko-

jem stoi tak jakby nią kto ruszał, albo kiedy woda ma smak nad przyrodzenie słońszy, zapach przysmrodliwszy, potrzeba się obawiać trzęsienia ziemi w tamtych miejscach, w których woda znajduje się" —)

Książeczkę kończy „suplement do Praktyki Gospodarskiej, w którym niektóre ciekawości do wielu rzeczy gospodarskich wszelkiego stanu ludziom służące do wiedzenia i używania wielce potrzebne kładą się najprzód:

Wróble lub inne ptactwa aby zboża w polu nie wyjadały.

Rady i dorady suplementowe poprzedzają trzy poematy; podajemy je w całości:

WŁASNOŚCI KAŻDEGO MIESIĄCA.

Gdy się w styczniu i stary i nowy rok styka,
Niech gościom grzeczny Bachus kufla nie umyka.
Być oziębły mrozami nie dokuczył luty,
Pal w kominie, a kożuch miej dobry i suty.
Wrzuć groch w ziemię i insze siej jarzyny w Marcu,
Żeby pustki nie były na ognisku w garcu.
Kwiecień każe panienkom ryć grządki ogrodne,
Aby miały wianeczki na skronie dorodne.
Gdy się w zieloną suknię świat ubierze w Maju,
Z przychylną kompanią przechodź się do gaju.
Czerwiec owieczki strzyże, a dla nich wygody,
Siana zbieraj przy chwili służącej pogody.
Lipiec do ulów żenie rojące się pszczoły,

A na przyszły urodzaj uprzątaj stodoły.
Sierpień wołać zaczyna, więc z sierpem i z kosą,
Idą w pole, a drudzy w kopy snopy znoszą.
Jagody, śliwy, jabłka z drzew obierze Wrzesień,
Wino tłoczy, tymczasem następuje jesień.
Gdy Październik wymiędla z konopi paździora,
Kądziel sobie gotuje gospodyni skora.
Listopad sady z liścia odziera i lasy,
Lecz oracz żyto sieje na przyszłe swe czasy.
Grudzień grudą brukuje ostrą rożnią drogi,
Wieprze bije, drwa wozi dla domowej trwogi.

ORDYNANS ROBOTY.

Święty Grzegorz gdy już mróz ziemię ustępuje,
Po grzędach w skok rozsadę sprawnych rozsypuje,
Benedykt w pole z grochem, Wojciech z owsem [jedzie,
Marek ze lnem, a Filip tatarkę wywiezie.
Święty Krzyż owce strzyże, a Jan trawę kosi,
Jakób bierze krogulca i przepiórki płoszy.
Bartłomiej a Mateusz chmiel z tyczek odziera,
A Michał od pszczół słodki plastr miodu wybiera.
Siewna Matka już każe siać żyto zimowe,
Jadwiga rzepę kopie, a Tomasz domowe
Kole tłuste kwiczoły, Maciej do budynku
Rąbie drzewo, miejże to od nas w upominku.

WIESZCZBA WIEJSKA.

W Święty Paweł pan Paweł do sąsiada swego
Mówił, że są te słowa nauką każdego:

Gdy dzisiaj wiatr będzie wiał, już wojna gotowa,
Gdy chmury wiatr zbrukają, zaraza morowa.
Jeśli śnieg lub deszcz spadnie, dobre urodzaje,
Obiecuje pogoda pokoju znak daje.
Gdy w mięsopusty mrozy bez śniegu panują,
Wina mało i chleba mało obiecują.
Jeźli o świętym Piotrze w Lutym ciepło służy,
Do Wielkiejnocy zimno czasy swe przedłuży.
Gdy Maciej święty lodu cokolwiek nie stopi,
Będą długo chuchali w zimne ręce chłopi.
Marzec suchy, deszcz w Kwietniu gdy bogaty
[bywa,
Maj zaś chłodny, w urodzaj rok taki opływa.
Święty Chrzciciel gdy deszczem hojnie skropi pola,
Nie nagrodzi niepłodna pracy chłopom rola.
Jakóba wigilia jeźli jest pogodna,
Będzie chleb tak nam tuszy nadzieja swobodna.
Gdy w pogodę do nieba Maryja wstępuje,
Wina Węgrom obfita jesień obiecuje.
Marcin święty bez gęsi nas tego nauczy,
Jeźli deszcz niedostatek zimy nam dokuczy.
Jeźli jaśnie pogodny miej zimy nadzieję,
Suchy mróz mokrych śniegów za kołnierz nawieje.
Jeźli pola zielone gdy się Chrystus rodzi,
Gdy powstaje kołaczom śnieg mrozem przeszkodzi.
Gdy przed pełnią Pan Jezus narodził się w świecie,
Będzie się dobrze działo, nie frasuj się dziecię.
Śnieg w św. Narodzenie gdy na sady spadnie,
Kwitnąć będą obficie i prostak to zgadnie.
Jeźli deszcz w wielki Piątek na pola się zleje,
Trwoży sobą gospodarz, który żyto sieje.

We środę po kołaczach gdy żaba zakuka,
Już nas więcej mrozami zima nie oszuka.
W tenże dzień jeźli deszczyk opłócze doliny,
Że mleka siła będzie, są takie nowiny.
Tak pan Paweł powiedział, towarzysze mili,
Prawdali to, czyli nie, oni tak mówili".

Cała ona praktyka gospodarska poprzedzona jest przemówieniem do sumienia

CZYTELNIKA:

Ponieważ nam nie wszystkim Bóg wiecznej mą-
[drości
Użyczył do poznania równej wiadomości,
Skąd nie wszyscy umiemy rachować obroty,
Niebieskie, które radość znaczą i kłopoty.
Przez które Bóg sprawuje potrzebne pogody,
Przez które daje suchość i wylewy wody.
Przez które ma obfite ziemia urodzaje,
I wszelkiemu stworzeniu żywności dodaje.
Mądrym tylko od Boga to znać samo dano,
Prostym rzeczy przytomnych trzymać się kazano,
Tych się starzy przodkowie z ochotą trzymali,
Onych za doświadczeniem pewność uznawali.
Zaczem-że się nie mylisz i ty najmniej na tem,
Używaj zawsze, zdrów bądź i łaskawym zatem.

ROZDZIAŁ CZWARTY.

O RATOWANIU OSÓB NAGŁĄ UTRATĄ ŻYCIA ZAGROŻONYCH, O SZANOWANIU SIEBIE I SWEGO STANU (ORAZ O SZCZĘŚLIWYM TERNO-LOTERZYŚCIE, O WIELKICH I ZAWIŁYCH UTAJONYCH W AMBACH I TERNACH TAJEMNICACH, KRYJĄCYCH NAUKI MORALNE) WRESZCIE O TABLICY SZCZĘŚCIA I KWADRACIE MAGICZNYM.

Szereg broszur o wiedzy praktycznej i użytecznej kontynuują: „*O Ratowaniu osób* nagłą utratą życia zagrożonych, czytał na zgromadzeniu oddziału Wołkowickiego Towarzystwa Pedagogicznego w Suchy dnia 23 października 1869 r. dr. Gawlik", „*O szanowaniu siebie i swego stanu.* Rzecz dla nauczycieli szkół ludowych. Napisał Józef Chmielewski" — („— poświęćmy, woła autor, siły nasze dla dobra kraju i przyszłości naszej, czujmy i myślmy pięknie bo:

serce czułe i umysł szczery
są dwa wieczne poczciwych ludzi charaktery" —),

„Nauczyciel dzieci początkujących. Praktyczny poradnik dla nauczycieli, ułożony podług niemieckich pedagogów, a w znacznej części podług pism F. Wiedemanna przez Alberta Gąsiorowskie-

go", „Ogólne zasady wychowania (niezbędne dla rodziców i nauczycieli)", „Rys dziejów księstwa Oświęcimskiego i Zatorskiego przez Jana Nepomucena Gątkowskiego", „O Trawach" Sławińskiego, „Karma dla bydła Nędzowskiego", „O leczeniu chorób koni, bydła, świń, owiec i psów, wykład popularny dla użytku gospodarzy", „Pożycie społeczne" Kniggego, bezimienne „Błogosławieństwo domowe" i — rarytas nad rarytasy! — przemiły druczek straganowy z r. 1863-go pod tytułem: „Już Mam! Terno! — czyli szczęśliwy Terno-loterzysta. Spuścizna roztropnego gracza w loterję, który się przez to zbogacił".

Książczyna ta zaledwie dwudziesto cztero stronnicowa jest pełna osobliwych specjałów.

Dla niewtajemniczonych należy zaznaczyć, że gra w loterję liczbową, która już przeszła do historji, roznamiętniała ludzi, żądnych przecież zawsze zmiany t. zw. losu na lepsze, oraz wytworzyła całe legjony upartych maniaków, którzy dniem i nocą (zwłaszcza nocą, jako, że sny specjalnie w tej grze odgrywały rolę!) układali kombinacje liczb, już to pojedyńczych t. zw. solo, już to podwójnych t. zw. ambo, już to wreszcie potrójnych t. zw. terno; prócz tych zasadniczych działów istniały jeszcze kombinacje subtelniejsze i bardziej złożone jak np. solo na pierwszy „ruf", ambo-solo, seco-terno i t. d.; były to już sprawy zawiłe dla wyspecjalizowanych znawców, dla graczów zawołanych, którym co po chwila śniły się

nieprawdopodobne układy liczb a które oni za wszelką cenę uprawdopodobnić się kusili.

Ogółem wygrywał stale rząd, loterja ta bowiem była własnością rządową.

Któżby zliczył te niesłychane podstępy, obliczenia, kruczki, wybiegi i fortele, którymi posługiwali się na tę grę stawiający? — Cała ta sprawa należy właściwie do zakresu mistycznej wiary w utajonych pomocników i szkodników.

Przed piekarniami i jatkami, wyszynkami wódek, a nawet przed kościołem zbierały się w przeddzień „ciągnienia" grupy zainteresowanych; dyskusje były żywe; gestykulacje zdecydowane; domniemania rozbieżne.

Wielu naturalnie miało swój system pewny i niezawodny! Tak np. sąsiad mój, stary gazda Jan Gawroński (— znasz go — ojciec Szymka —) spisywał sobie szereg numerów, które były symboliczną nazwą całego szeregu kilkurocznych snów, na poszczególnych karteluszkach, i dnia tego, w którym właśnie zamierzał swoje „terno" postawić, wychodził o złotym świcie przed chałupę i rzucał „lumera" na wiatr; te trzy, które opadły najbliżej rodzinnego progu, były „pewne"; coprawda „nie wychodziły" nigdy, lecz to wina macherek władz, które uwzięły się na Gawrońskiego.

Np. Tumulik stawiał tylko wtedy, gdy mu się śniła wielka maciora; kto inny stawiał tylko na „cesarza"; to było skądinąd rozsądne, wiemy bowiem, że cesarz śni się rzadko lub też i wcale się nie śni; materja to wielce kapryśna.

Inną zgoła drogę obrał szanowny i o dobro bliźnich swych dbały autor „Już Mam!"; powiada on: „dane tu oznaki nie opierają się ani na wróżbie gwiazd, ani na wykładzie snów, lecz na obrachowaniu matematycznem".

Tędy cię wiedli! — Więc wiedza?

Ano tak!

Posłuchajcie:

„chociaż w nowszym czasie wiele za i przeciw grze w Loteriję mówiono i radzono, przecież gra ta wielu szczęśliwymi uczyniła.

Dotychczas jednak — tylko los pomyślny kierował wygraną — była ona zatem tylko przypadkową.

Badania matematyków i innych specialistów — długie doświadczenia — przyniosło ten rezultat, iż zapomocą obrachowania można zawsze wygrać na pewno".

A dalej:

„Niechaj nikt nie myśli, żeby kto przez to chciał pospólstwo zwodzić, jakoby jednym łykiem złoty kielich fortuny aż do dna wypróżnić można, albo że można przez ostatni grosz, któryby zamiast na chléb, na loteriję był obrócony, od ubóstwa się wykupić, bynajmniej! oznaki te dane tu są szczególnie dla tych, którzy są w stanie na tę grę parę réńskich obrócić, nie nadwyrężając przy tem dotkliwie kieszeni swojéj".

Następnie przestrzega autor:

„chociaż zaprzeczyć nie można, że za nieznaczne sumy wielkie bogactwa na loterii wygrano, mu-

simy przecież wielką w tym względzie zalecić ostrożność i radzimy z początku nieznaczny na to grosz obracać, którego strata nie bardzo jest dotkliwa, bo z namiętności loteryjnéj wielu już majątek swój utraciło".

W dalszym ciągu poucza roztropny gracz, że „w loterii liczbowej jest sześć klas do obsadzenia numerów: 1. niepewne, 2. pewne wyciągnienie, 3. pewne, 4. niepewne amba, 5. ternów, 6. kwaternów".

Bardzo abrakadabrycznie, zgoła benalibejowato brzmi zdanie na str. 13-tej:

„gdybym jeszcze chciał na to 2 Złr 40 kr ofiarować, i jeszcze podług tego samego sposobu numera układać (gdzie się z poprzedzającego rządka zawsze pierwsze opuszcza), to mogę trafić parę kwaternów, około dziesięć ternów, i kilka ambów, nie rachując tych ambów i ternów, które w kwaternach są zawarte".

Po dalszych przestrogach, pouczeniach, ostrzeżeniach i zachętach wyimaginowany jest na str. 15 Trójkąt czyli Kabała; w adnotacji zapewnia nas autor, że ten trójkąt kabalistyczny „wysławiony jest w wielu pismach, i podług niego w kollektórach loterijnych robią tak zwaną Kabałę; od niektórych nazwany jest kabalistycznym szczęścia znakiem".

Następnie podana jest pilnie Tablica Pitagorasa i „krótkie opisanie, jako się kto według tablicy rządzić ma".

Jest to dość straszne! Bo proszę: „najprzód znajdziesz dzień miesiąca według biegu jego, potem dzień tygodniowy, a liczbę przy nich napisaną odłóż na stronę, weźmij zasię literę po jednéj imienia twego albo komu szczęścia szukasz, albo powstania z choroby, na którym kole przekładaj liczbę napisaną, przydaj ku pierwszej liczbie, złączając wszystko pospołu, potem od wszystkiej liczby odejmuj po 10 ilekroć możesz, ostatka szukaj w pośrodku pola, a z tąd poznasz dobre albo złe szczęście, także i śmierć, albo powstanie z choroby, a ostatek jeśli umiesz, domyślaj się sam końca".

Trudno się domyślić, w jakim związku ta smętna horoskopiczność jest z szczęśliwym Terno-loterzystą; bardziej jasne jest dalsze zestawienie dni feralnych, których jest w roku trzydzieści i trzy; samo się bowiem przez się rozumie, że jeżeli w tych dniach nogę złamać, nawet umrzeć można, to i grać niebezpieczno.

Wreszcie kładzie się nam do stóp „tablica szczęścia, gdzie wszystko się znajduje, co każda litera przez cały alfabet za numera w sobie zawiera, i jak na sny i słowa najszczęśliwsze numera na loterję stawić można".

Ten kwadrat magiczny podzielony jest „według wyrachowania kabalistycznego" przez niejakiego Anastazego Laubera.

Na końcowych trzech stronicach zestawia autor żmudnie i pracowicie stosunek stawki do wygra-

nej przy ternie w trzech numerach, ternie w czterech numerach i ternie w pięciu numerach.

Zestawienie to jest imponujące i kuszące.

Tak np. stawka 99u krajcarów wygrywa przy ternie w pięciu numerach 475 złr. 20 kr., przy ternie w czterech numerach 1188 złr., przy ternie w trzech numerach aż 4752 złr. O ile, rozumie się wogóle wygrywa.

Obliczenia te w formie graficznej przypominają logarytmy; są również niepokojące.

Naogół książeczka to bardzo interesująca tym spóźnionym odblaskiem pogłosowym kabały, magji i czarnoksięstwa; jeszcze jedna drożyna do niepracowitego t. zw. szczęścia — przez złudę wiodąca.

ROZDZIAŁ PIĄTY.

STRESZCZAJĄCY HISTORYE ARCYCZUŁE I PRZESTRASZNE O WIELU ZACNYCH NIEWIASTACH; MĘŻACH WALECZNYCH, JAKO TO: O GENOWEFIE, O MAGELONIE, HELENIE TAKŻE I O NIEPRZEPŁACONYM PIERŚCIENIU, ROBINZONIE SŁAWNYM I NIEŚMIERTELNYM, A ZWŁASZCZA O HRABINIE NA TOGGENBURGU, CNOTLIWEJ ICIE (POCZEM IDĄ ŻYWOTY ŚWIĘTEJ JADWIGI I ŚWIĘTEGO PATRYCYUSZA) PROROCTWA MICHALDY KRÓLOWEJ ZE SABY; ROZDZIAŁ KOŃCZY SIĘ ŚPIEWNIE.

Lecz do najdziwniejszych, najosobliwszych wydawnictw sławetnej „drukarni i litografii" beskidzkiej zaliczyć należy niewątpliwie te napoły duchowe, a napoły świeckie „historje", owe prawdziwie rybałtowe kroniki, moralijki czarodziejskie i czarowne, rozchwytywane przez lud skwapliwie, odczytywane przy łuczywie, a później przy lampie naftowej, rozważnie, powoli, nabożnie — śród śmiechu i łez i biadkań: „ja, ja, miboże! powiedzcie ino! a piekne tyz to jaz okropa".

Podczas tych posiadów duszyczki czyśćcowe skwierczą w palenisku pod polepą, wieczne im odpoczywanie, a Meluzyna jęczy i płacze z wichrem na wyprzodki wokoło chałupy; wiadomo — dziecek szuka!

W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego — strać się!

A chór dodaje: Amen!

Masowo drukowane i wysyłane broszurki w sukienkach zielonych, różowych, niebieskich, ceglastych, białych i żółtych rozchwytywano wlot i zaczytywano na śmierć istną, na strzępy ostateczne, do imentu.

Jeno wiecznie żywa wieść gminna odtwarza w sposobie jużto zdeformowanym, jużto — i często — istotnie twórczym owe sprawy dziwne, tajemnicze, zajmujące, fascynujące owe Historye o Genowefie najpiękniejsze i najczulsze —

Historye o Magelonie urocznej szlachetnej a pięknej córce króla z Neapolu i o Piotrze rycerzu hrabim; różne przygody, smutki i pociechy, nieszczęścia i szczęścia, przy odmianach omylnego świata reprezentujących —

Historye o Kalwarji Zebrzydowskiej —

Historye o Helenie wdzięcznej —

Historye o „życiu i przygodach Henrysia dla młodzieży polskiej" z wzruszającym tytułem rozdziału pierwszego: „dozór nad dziećmi jest to zatrudnienie anielskie"; —

Historye o „Gryzeldzie i Margrabi Walterze", tym samym co to „każe czynić przygotowania na gody małżeńskie, lubo jeszcze oblubienicy nie było";

Historye o „Icie, hrabinie na Toggenburgu; historya prawdziwa z XII-go wieku, wielce nauczająca — osobliwie dla niewinnie cierpiących" —

z drzeworytem przedstawiającym jak Henryk (— „piękny, młody mężczyzna, z dawnej szlacheckiej krwi, był w posiadaniu pięknego i pod ów czas sławnego hrabstwa Toggenburskiego; zamieszkiwał stary zamek swych przodków, który niedaleko klasztoru, zwanego Eischingen, na wysokiej skale położony, z natury i sztuką dobrze obwarowany, śmiało się opierał burzom rozchukanych wichrów i napadom nieprzyjaźnych ludzi" —) więc, jak właśnie ten Henryk, mąż szlachetnej Ity, „tęże" wyrzuca gwałtownie z baszty w przepaść.

A stało się to tak:

...„Henryk wybuchł natychmiast, miotając na nią najszkaradniejsze obelgi. „Bezwstydna, niewierna cudzołożnico!" tak do niej przemówił, „czyż zasłużyłem sobie na to u ciebie?" Te słowa jak piorun uderzyły znękaną duszę niewinnej Ity; chciała stanąć w obronie swej niewinności i sławy, lecz niemogła przyjść do słowa, ruchami ciała tylko i westchnieniami zapewniała go o swej niewinności. Lecz Henryk, cały jak szalony, obrzucał ją najhaniebniejszemi przezwiskami, nie słuchał jej smutno narzekającego głosu, nie zważał na święte przysięgi swej małżonki. Ita upadła wreszcie przed nim na kolana, z rękoma ku niebu wzniesionemi raz jeszcze zaprzysięgła swą niewinność wobec Boga, prosząc na wszystko o wysłuchanie jej uniewinnień. Wszystko było nadaremnie; Henryk stał się głuchym i nieczułym dla swej małżonki — nie wysłuchał wzruszającego błagania niewinności, któreby kamień zdołało było zmiękczyć. Namięt-

ność jego przeszła w wściekłość; rozjadły jak tygrys porywa swą małżonkę i wołając: „Oto masz zasłużoną nagrodę twych czynów haniebnych" — cisnął ją z wysokiego zamku, zbudowanego na dziesięćkroć razy wyższych skałach, w okropną przepaść; mniemając w szaleństwie swego gniewu, że tem niesprawiedliwem czynem swą sławę ocalił i zbrodnie wedle zasługi ukarał. Ani spojrzał za niewinną — rozjadły opuścił jej pokój, drzwi i okna zatrzęsły się za nim po całem zamku, i usiadł w kącie swego pokoju, dozwalając swej zaciekłej złości nacieszyć się z swego zwycięstwa. Ludzie zamkowi umykali przed nim ze strachu i każdy, jak mógł, ukrył się w kącie. Dręcząca głęboka cisza opanowała zamek, nikt się nie poważył przemówić słowa. Wszyscy rozpływali się we łzach, przekonani o niewinności hrabiny, i byli tego zdania, że hrabia to uczynił albo w zaślepieniu swej namiętności, albo też oszukany przez kogoś. Gdy zaś nikt pomiędzy niemi nie wiedział pierwszej przyczyny tych dwóch zabójstw, a mała liczba tych, którym zdarzenie z pierścieniem było wiadome, w prostoduszności swej ani pomyśleć mogła, że pierścień miałby być przyczyną śmierci hrabiny (bo wszakże każdy musiał ją mieć za nie żywą) i giermka Kuna, zapomnieli w krótce zupełnie o tem w ich oczach mniej ważnem zdarzeniu z pierścieniem, będąc świadkami okropniejszego zdarzenia, zabójstwa spełnionego na hrabinie. Dominiko mógł się teraz nacieszyć do woli z swego tryumfu. A ponieważ się wszyscy ludzie zamkowi

smucili on wewnątrz tylko mógł się radować, pasąc swe oczy zdradliwe pod oknami zamku widokiem krwawych śladów, które Kuno na skałach i krzakach po sobie zostawił. Ani mu przeszło przez myśl zapewne, że niewinność i cnota mogą jeszcze na tej ziemi odnieść zwycięztwo nad jego zbrodniami. Niedługo jednak mógł znieść widok krwi niewinnie wylanej, która na niego o pomstę do Nieba wołała. Zamyślony opuścił okna i zaczął nad tem rozmyślać, jakby najlepiej swego pana w tem mocnem przekonaniu utwierdzić, że Ita i Kuno wedle surowych zasad sprawiedliwości, jako winni zasłużyli na straszliwą karę, która ich spotkała".

Tak się to tedy gędzą dzieje szlachetnej Ity i gwałtownego Henryka. — Dziwy!...

Tymczasem w dalszym ciągu podążają żwawo:

Historye o „Nieprzepłaconym pierścieniu" —

Historye o nieśmiertelnym „Robinsonie nowym, czyli skutkach nieposłuszeństwa" — —

I wiele innych.

Wszystkie te Historye są nad wyraz cudne, czułe i wzruszające.

Z niemi łączą się „Żywoty"; więc „Żywot świętej Jadwigi" i „Żywot świętego Patrycyusza arcybiskupa i apostoła w Hibernii pisany przez Jocelinę Mnicha, Probusa Jolandczyka, Rycharda Stanichrusta i wielu innych. Żył około roku Pańskiego 458".

Na tem miejscu wspomnieć również należy o książce fascynującej gwałtownie p. t. „Proroctwo Michaldy królowej ze Sabby".

Ktoby zaś skłaniał umysł i czucie ku nowatorskim zapędom ezoterycznym, ten może sięgnąć do „Kart wróżb, na sposób Lenormand we futeraliku".

Jeśli zaś stronisz od kabalarstwa — czynisz słusznie; dla ciebie też tu są zacne opisy katedr czterech: Kijowskiej, Krakowskiej, Kujawskiej i Poznańskiej.

Krom tych uroczych książeczek wielkim pokupem, a co za tem idzie, poczytnością cieszyły się „zbiory powinszowań" na wszelkie życia okoliczności znajdujące właściwy sposób wyrażenia się kwiecistego i szumnego, „wykłady snów nocnych, czyli senniki z 360 rycinami litografowanemi do loterji zastosowane", oraz „Najnowsze krakowiaki", z których ostatni siedemsetny brzmi:

Na Wołkowskim moście
Rozmarynek roście,
Do jutra, do rana
Będzie po kolana.

Czegóż miastu, w takiej glorji krakowiackiej poezji rosnącemu więcej do szczęścia potrzeba? chyba jeszcze przypomnienia tej zwrotki:

A ty Kurta od Wołkowic,
A ja Wojtek od Warszawy,
powiedział-ci mi pies stary,

że tamte na mnie warczały,
ja też na nie wer, wer, wer,
wyjadły mi z torby ser.

Uśmiał się Mikołaj.

Bardzo to przecież zabawne:

ja też na nie wer, wer, wer,
wyjadły mi z torby ser —

Kilka razy głośno powtarzał ten dwuwiersz.

Autor zadowolony z efektu jaki wywołał zdjął okulary i rzekł:

— dobre? — co?

Oczywiście!

— — — —

Dnia tego wiatr zmienił kierunek (z zachodniego na wschodni); — podarły się chmury — wyjrzał z poza nich błękit.

Skończyła się pora deszczowa.

KSIĘGA CZWARTA

NA DOLINIE ZAWIERUCHA...

KSIĘGA CZWARTA

NA DOLINIE ZAWIERUCHA...

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

O PRZEZWYCIĘŻENIU KLATKI SCHODOWEJ, O NIEWYPRAWNEJ KUCHNI, LEGENDZIE OGNIA, OBŁĘDZIE STĄPAJĄCYM, O POKOJU NIEBIESKIM, JEGO MIESZKAŃCACH LICZNYCH NA PÓŁKACH BYTUJĄCYCH; TAJEMNICZE LITERY I ZDANIA; DZIWY.

Prócz znanych nam „najbliższych" — zjeżdżał, względnie przychodził do pana Michała na Porębę Murowaną ten i ów, ta i owa — „na godzinkę" — lecz tak tam akurat nikt nie rozmawia z zegarkiem w ręku!

Więc, żeby tak naprędce wyliczyć, —: ksiądz proboszcz z Mucharza Alojzy Caneau, kapitan Lazar Popow, porucznik Amadeus Griksa, Józef Śmiałowski, dziedzic z Polanki średniej, Tomasz Myjkowski, nauczyciel matematyki i fizyki w gimnazjum wołkowickiem i t. d. i t. d.

Gości tych przyjmował pan Michał w pokojach „na górze", o których już co-nie-co słyszeliśmy.

Teraz jednak nadeszła dopiero pora na dokładne zapoznanie się z niemi.

Po przezwyciężeniu trwożącej przez długi czas tajemnicy wąskiej a mrocznej klatki schodowej — rozwarł się przed Mikołajem bogaty świat piętrowy.

Pokoi było tam pięć; — pachniały politurą, jabłkami, słomą i książkami; ta mieszanina woni była duszna, jakby nagrzana.

Przestrzenił się tam jeszcze przedpokój i kuchnia nieużywana nigdy — dziewicza, opuszczona i smutna.

Była biedna, bez wyprawy — bo cóż tam —: jeno piec blady nie budzący się z omdlenia, w które popadł nazajutrz po urodzeniu się, — szafa w ścianie, na której półkach nigdy nic nie stało — żeby choć moździerz! — stół i ława istniejące bez przyczyny — zasobek cały.

Bezczynna (poniewoli) kuchnia — dniami i nocami, tygodniami, miesiącami, latami — patrzała z osłupiałą obojętnością jednem i jedynem okiem-oknem na dziejące się w sadzie pory roku i zmiany pogód.

Trwała tak w oknie nie wychylając się zbytnio, lecz i nie cofając się nazbyt w siebie.

Brzydła w tej samotności — dbałość o zewnętrzność swoją zredukowała do minimum.

Dziejami jej była cisza i melancholja.

Kropkami w jej chudym raptularzu były zwłoki much leżące do góry nogami na parapecie okiennym.

Pachniała heblowiną i gliniastym przewiewem pustego, ni węgli ni drzewa nie znającego paleniska.

W popielniku było miejsce na popiół, lecz któż go miał umleć — ? —

Pytał się popielnik — co to jest popiół?

Odpowiadało palenisko pytaniem — a co to jest ogień — ? —

Mówiła szafa: — ogień to legenda —

— jaka? — zapytał stół i ława —

— tęskna i żałosna — zaszeptały ściany sypko i wapniście —

Po chwili dodawały:

— jak pieśń zrodzona w niewoli.

Na tem kończyła się rozmowa trwająca kilka lat.

Ilekroć Mikołaj zajrzał do kuchni tej — cofał się szybko i zatrzaskiwał raptownie drzwi; — w przestrzeni jej bowiem czaiło się wyraźnie niebezpieczeństwo —: zaborczość czegoś bardzo wygłodniałego, stęsknionego do obłędu.

Przestrzeń taka może łacno (ostrożnie!) wyssać człowieka jak pająk muchę.

Wyemanowała też snać z siebie obłęd żywy ta izba bezcelowa — obłęd stąpający w zastrachu tam i sam — od okna do pieca, od pieca do okna —: trzaskanie ustawiczne podłogi mówiło o tem aż nazbyt wyraźnie!

Strach!

— — —

Przedpokój miał drzwi troje: — jedne do kuchni właśnie — nieważne i nieużywane, drugie do pokoju „niebieskiego", trzecie do „balkonowego."

Pokój „niebieski" znajdował się tuż przy klatce schodowej po stronie lewej.

Pokój duży o dwu oknach — lecz tego trzeciego brakowało najwymowniej.

Asymetryczność paplała o tem gadatliwie, bez przestanku:

— nierówno, nierówno, nierówno —

— gdzie okno, gdzie okno, gdzie okno —

Na takie papuzie dictum acerbum, któraś z książek waliła całą sobą w stół: stul pysk! —

Na chwilę przycichało jazgotanie.

Lecz po chwili...

Pokój nazywał się niebieski, bo był niebieski; ślicznie, jasno niebieski.

Kilko - „patronowe" malowidło wyobrażało kwadratowe pola kwiatowe połączone z sobą linjami przerywanemi: tło niebieskie, pola kwiatowe barwne (przeważał kolor żółto-pomarańczowy), linje białe.

Wzdłuż ścian stały półki różnych wymiarów, ciemne, dębowe, — a na nich książki, książki, książki i jeszcze raz książki, oraz pisma, gazety, papierzyska różnorakie.

Interesowały te szeregi ustawionych książek i te sterty nagromadzonych druków — Mikołaja — raczej powierzchownością, zewnętrznością, strukturą — chociaż już i marzenia się utajały w myślach żądne, aby dotrzeć po za okładki w głąb gęstych stronic — — lecz: nie wolno! — i takbyś nic nie zrozumiał —

— dlaczego?! —

Nie rozumiał, dlaczego miałby nie rozumieć.

—

Po prawej stronie od wejścia zabudowane były półki foljałami olbrzymiemi o grubych rozłożystych grzbietach, na których wyblakłe, nieczytelne litery i pokiereszowane złocenia pogubiły się w tle jednolicie ciemnem.

Okłady twarde, wytrwałe, ze skóry, z pod której w przedarciach kęsami drzewo wyzierało —;— więc to tak — ? — od deski do deski!

Indziej grzbiet, z jakichś tam przyczyn zatraconych w wiekach — zakląsł się przedziwną jawiąc strukturę: pagórczystą po bokach, przepaścistą środkiem.

Zwłaszcza jedna z tych ksiąg dziwaczyła się tym właśnie wzwyż wzmiankowanym procederem osobliwie; — dzięki temu dziwactwu pierwsza też została lękliwie zdjęta z półki, obejrzana i poznana — z tytułu! — (— wszystko to razem bez zrozumienia treści — nawet — tych kilku nagłówkowych słów! — Cóż za niepojęta mądrość czai się w tych kartach! — groza! — i czyż można to kiedykolwiek pojąć?, odczytać do dna?, zrozumieć jak należy?, — a jeżeli — to kiedy? za ile, ile lat? —).

— Thesauri Polono Latino Graeci — Gregorii Cnapii e societate Jesu —

Gdzie otworzysz dziwactwa, cudactwa!

— Crethmos, Gr. — Sol babia ziele —

— Inculco — wtłaczam, wpycham, natłaczam, nabijam wszy, przypominam —

— Religo — zwięzuję, przywięzuję, ściągam — i t. d. i t. d.

Czy to aby pewne, że się dobrze czyta? — nawet to nie! —

— Wszystko takie zcudaczone, odmienione, innoliterne — ! —

Obok tego tomu o zakląśniętym grzbiecie — grubił się tom z tej samej familji, herbu i zwołania jednego, klejnotem tym samym pieczętujący się:

— Thesauri polonolatinograeci Gregorii Cnapii e societate Jesu, Tomus Tertius, continens adagia polonica —

Tu już jakoś łacniej do treści się dobrać!

Np. —:

— mądrość nawiętsza każdego
znać dobrze siebie samego —
a niemasz nic trudniejszego —
— e coelo descendit...

A po tem już ani rusz!

Ani du-du!

Ani w ząb!

Więc dalej:

— rady dobrej rad pytaj i słuchaj;
chceszli bez jakiej wady:
nie poczynaj nic bez rady — —

I znów nie uczytasz ani kąska! —

Jak krowa na listopadowej miedzy papą trawki nie uszczknie — tak i ty!

Litery! — Nielitery! — Krzywaki obmierzłe, kulfony, tytle — ! —

Więc znów:

— sąd łaskawy lepszy niż krwawy —

Trzeba chyba te pierwsze linje czytać!

Tylko pierwsze!

Dalej nie warto!

Niema potrzeby!

Lecz — lecz i w tych linjach jakieś opaczne litery, podobne do tych, które ojciec pokazuje i mówi „niemieckie!" — „uważasz, niemieckie!"

A to przecież słowa polskie!!

—

Dziwy!

ROZDZIAŁ DRUGI

O ŻYWYCH KSIĄŻKACH, FOLJAŁACH ZASTĘPUJĄCYCH NOGĘ; ZŁOTEJ POZÓRZCE; NA WYZWOLENIE ZIEMI ŚWIĘTEJ: KRUCJATA NIEWINIĄTEK, ICH MĘCZEŃSTWO CHWALEBNE; CZEM STAJĄ SIĘ ZDANIA, CZEM MYŚLI A CZEM ŚNIENIE.

Dziwy — dziwy nad dziwami!

Książki żywe, wkochujące się — ukochane z dniem każdym coraz mocniej i uparciej i święciej!

Zalubienie się wielkie — na życie starczy — i więcej — dalej — ! — —

— — — — — —

Zmierzch....

W niebieskim pokoju niebiesko....

Wonno: książki, jabłka, słoma....

W kącie, odwrócony od okna, gburowaty nieco (niebardzo! — nie — ! —) fotel; — noga przednia złamana — zastępują ją skutecznie grube foljały; — nawet tak jest mocniej; właściwie zawsze powinno się tak robić; — oparcie lewe nadwyrężone — skrzypi żałośnie, gdy się o nie oprzeć: usuń się, boli, gnie-cie —

Złota pozórzka prześwieca przez zamglony sad — a taka cicha i dobra i zamyślona, że wpatrują

się w nią zachwytem źrenice — oderwać się nijak nie mogą, jeno się wtulają na dobre, jakby już nigdy i nigdzie niczego innego dojrzeć nie miały, nie chciały —

Siedzi Mikołaj zgubiony w fotelu jak miś posępny.

Na kolanach w skórę oprawna książka; ciężka; gniecie.

Podszewka okładki urocza, kwiecista, wyblakła, zamyślona.

Wysiłkiem woli przymuszone źrenice — odlepiają się od złota pozasadowego — szukają na karcie liter, łączą je — powoli — żwawiej — szybko — coraz szybcej — — a złoto prześwieca z po za każdej litery — w aureoli każde słowo — tęcza się łuczy nad każdem zdaniem — most buduje od myśli do czucia — —

Ręce złożone, jak do pacierza —

Prężą się końce palców w zacisku —

. . . . . .

NA WYZWOLENIE ZIĘMIE ŚWIĘTEY . . .

. . . . . za jakąś cudowną obłudą, albo raczey szaleństwem (które się jako zaraza jaka po Francyi y Niemczech rozszerzyło) do tego przyszło, że się młode dzieci wszelkiego urodzenia y fortuny, wbiwszy sobie w głowę, jakoby ich Bóg sam naznaczył na usługę swoję do odzyskania Grobu Świętego z rąk pogańskich: y że im jak nayprędszey do Jerozolimy na

wykonanie tak wysokich zamysłów pośpieszać roskązował: w liczbie trzydziestu tysięcy we Francyi, a więcey niżeli do dwudziestu w Niemczech zgromadziwszy, wszyscy Krzyż przyjęli.

Wiele było między niemi kleryków, a nawet y Kapłanów, którzy szaleństwo to większym daleko pochwalając głupstwem, jakoby im to Bóg roskazał uczynili się wodzami ich: y wiela innych włoczęgów udało się za niemi pilnując na okazyą jaką pożyteczną z tego nieporządku.

Y gdy tego szaleństwa zatamować było niepodobna: szli wesoło śpiewając y krzycząc oraz ze wszystkiej mocy: Panie Jezu odday nam Twoy Święty Krzyż.

Większa część Niemieckich, różnymi drogami udawszy się, mizernie po gościńcach wyginęli z nędzy, albo też od zboyców złupieni byli.

Ci zaś we Francyi, którzy się tuż mogli aż do Marsylij przybłąkać: okrutnie tam od dwoch kupców łotrów wierutnych Hugona Fera y Wilelma Porka zdradzeni są, którzy obiecawszy ich darmo aż do Palestyny przewieść, siedm okrętów niemi naładowali, z których dwa z zgubą biednych onych dziecek zatonęły; a zaś drugich, którzy byli na pięciu innych, ci zdraycy do Egiptu Saracenom sprzedali.

To prawda, że Bóg wszechmogący, któremu samemu przyzwoita jest z złego dobrze uczynić; ku swojey nawet większey chwale: odebrał ten wielki pożytek z takiego nieporządku y z tak szkaradney zdrady, że większa część tych niewinniątek, gdy

ich Poganie do odstąpienia Wiary świętey przymuszali: tak dostatecznie w wyznawaniu Chrystusa, dla którego Krzyż przyjęli byli, stanęli: że się pierwey w sztuki porąbali dali (zostając tak wszyscy Męczennikami przez szczęśliwy koniec cudowney oney y cale niezwyczayney wyprawy), aniżeliby odstąpić mieli Wiary swojey chrześciańskiey . . . . . — działo się roku Pańskiego 1213-go . . . . . .

Złoto zorzy zachodniej topi się w modrości przynocnej.

Odświetlają się litery.

Zdania już są myślami.

Myśli śnieniem.

Śnienie zachwytem.

ROZDZIAŁ TRZECI

O ŚWIETLICY, JEJ OKNACH CZAROWNYCH, PODŁODZE, LUSTRZE, WAZIE I MŁODZIEŃCU SIEDZĄCYM NIEWYGODNIE, O MEBLACH MEDAZJONOWYCH, SAMOTNEJ KANAPIE I STOLE CENTRALNYM; BUKIET MAKARTOWSKI; PIEC I BIAŁE PANIE; ICH LOS ŻAŁOSNY; WRESZCIE: OBRAZY I POEMAT, O ZAPACHU PIERWIOSNKÓW.

Obok pokoju niebieskiego była świetlica.

Pokój duży o trzech oknach; — dwóch wschodnich, trzeciem południowem.

Jeśli we wszystkich pokojach okna wyzierały raźno na piękno otaczającego dom ogrodu — to te świetlicy przynależne widziały piękno to bystrzej i radośniej.

Były duże i czyste.

Cud poprostu!

Wschodnie okna obejmowały zasięgiem dojrzenia park od modrzewia po sosnę przyrzeczną, pola, drogę, znów pola, gościniec (wierzby i topole w tyraljerce), podgórskie przywiślane wzgórza.

Okno południowe ogarniało szmat świata, aż po kościół mucharski, bielący się pośród gęstych gałęzi rozłożystej jabłoni, górę jaroszowską mie-

niącą się w barwie od granatu po różową złotość, górę podwójną, bo odbitą czyście w stawku parkowym.

Stopy góry pławiły się w mgle unoszącej się nad wartkim, szumiącym, przelewnym prądem Skawy.

Wszystko to w zmianie pór dnia i roku nastręczało się oknom z niewymowną zwycięską siłą.

Okna wgłębiały się w zachwyt — zachwyt udzielał się ludziom.

Umeblowanie świetlicy było staroświeckie — takie, jakie spotyka się w dworkach oddalonych, zdanych na konieczne (i zazdrośliwie chętne) przechowywanie tradycji, lub po plebanjach, w których proboszcz dożywa stu lat sumiennego duszpasterstwa.

Podłoga parkietowa, samodziałowa, niefabryczna, z dużym, czarnym, dębowem kwadratem wpośrodku, z mniejszemi na zbiegach desek wskos układanych „na felc".

Pomiędzy oknami na wąskiej ścianie wisiało lustro duże w złoconych ramach, z bogato rzeźbionym szczytem; — pod zwierciadłem stolik marmurowy na kręconych, żelaznych nogach (— czarnych —).

Na płycie stała waza gliniana patynowana na zblakłą zieleń; — miast uszu dwa lwie łby; — wdłuż szyi wąskiej ornament z liści dębowych;—na wybrzuszeniu płaskorzeźba przedstawiająca młodzieńca odpoczywającego w podróży — laska zakrzywiona leżąca u bosych stóp opowiada jego

dzieje do chwili, gdy właśnie tutaj na niewygonym upłazie wazy przysiąść zapragnął; — po drugiej stronie ten sam efeb, lecz już z laską w ręku — widać pójdzie w drogę dalszą — wszak już wypełnił sobą przód i tył wazy, a boki są wąskie, nie pomieści się — zresztą są tam już owe lwie łby; stróżują, nie puszczą, nie ustąpią!

Pobok ścian wypinają się medaljonowe meble obite materją pasastą (czerwień i bronz), przyblakłą, jakby przyprószoną: kanapa, dwa fotele, stołków sześć.

I jeszcze przy ścianie przeciwległej kanapa na krótkich, kwadratowych, nieco kusych nóżkach; — w żywych dyskusjach medaljonowego garnituru udziału nie brała; — niebardzo rozumiała, o co im chodzi, narzecze ich było trudne i sepleniące — zresztą była na emeryturze, odpoczywała, mówić jej się nie chciało; — czasem jękła w niej przeciągle sprężyna — „medaljony" sądziły, że choruje na żołądek — poza tem stwierdzeniem nie zajmowały się nią wcale.

W pośrodku wielkiego kwadratu rozsiadł się stół owalny na nogach zreumatyzowanych, przypominających przednie nóżki jamnika; były żółte i karykaturalnie przegięte.

Stół ten uważał siebie za symbol wieczności; trwał — a wszystko inne otaczało go sferyczną konstelacją; — był egocentrykiem nietyle z przekonań ile z przypadku: nieoględne moce wysunęły go na eksponowaną placówkę (środek świetlicy!); — niezasłużenie, zbiegiem okoliczności wypchnię-

ty na stanowisko centralne odgrywał rolę władcy; — był dumny i milczał — tem zapewniał sobie poszanowanie i posłuch; — zezwalał łaskawie na domyślanie się w nim głębi, która w gadulstwie przemówień mogła się łacno okazać płytkością i fanfaronadą; — w cichości, w zakamarkach szuflady, tęsknił do cichego wywczasu przy którejś ze ścian; — kochał kwiaty i marzył o tem, jakto ustawią go wpobliżu okna, nakryją haftowaną serwetką i ustawią na niej wazon z kwitnącą pelargonią; — ach! żywocie cichy i wonny! — — myśli te pomarszczyły jego polituro waną płytę; — z natury obdarzony tępą wyobraźnią, z wysiłkiem wielkim konstruował obraz przyszłości zacisznej, o jakiej marzył mglisto — wtedy zazwyczaj trzasnęło w nim głośno poprzeczne spoidło — wszystkie meble aż podskakiwały z nagłej alteracji; — przerażenie wzmagało w nich podziw i cześć.

W kącie pokoju jeszcze jedna rośnie waza w kształcie wydłużonej czary; w niej bukiet makartowski, olbrzymi, ułożony z traw - trzęsionek (barwionych na kolory rozmaite), z puchowych kwiatów trzciny - eulalji i z pawich piór mocno przez mole nadwyrężonych; to przykre!

Lecz są jeszcze trzy kąty!

O dwa próżne mniejsza! — Zapewne — mają i one swoją historję i niebylejaką! — wiedzą coś o tem pająki! — lecz porozumienie się z temi tajemniczemi istotami nie jest łatwe; raczej trudne!

Za najmniejszym szmerem czy dotknięciem (cienia nawet) — zmykają zwycięsko w skrytkę swej sieci — nieufne! ponure! nietowarzyskie!

Aliści kąt trzeci!

Tu mieszka piec cudaczny! — dzieło Tumulika (— będzie i o nim — cierpliwości!).

Piec! — na dwu, kształtem bliźniaczych, kolumnach ściętych, sześciograniastych, wspartych na wysokiem podmurowaniu (w którem palenisko i popielnik) — dźwigał nadbudowę ciężką z dwoma powyż białemi paniami.

Jedna z nich niosła wdzięcznie wieniec w podniesionej prawicy — druga nalewała z dzbana (wino?) do puharka zgrabnego.

Jednemu zajęciu całą duszą oddane — nie schodziły nigdy z pieca.

Później — po latach — los w postaci miotły nieostrożnej — strącił je z rodzinnego pieca.

Upadły i rozbiły się.

Były w środku puste!

Panie bezduszne!

Wyniesiono szczerby, zagarniono na łopatkę (po kilka razy — tyle było roboty z temi paniami!) i wyrzucono do tego stawka, w którym przeglądała się góra jaroszowska.

Chlupnęło — zawirowało — zamazał się obraz góry — zadrżał — zachibotał — skotłował — pomarszczył —: taki-to był ostatni pań tych istnienia dowód — żałosny!

Nic więcej — ? — nic!

Piec po ich szczerbatym zgonie dymił żałobnie!

Wymieść go!

Nie pomogło!

Więc go zburzono.

Wybudowano inny.

Dymił również.

Kąt ten był feralny jak poniektóre dni w senniku egipskim.

—

Na ścianach (blado-frez w kremowe wieńce) wisiały w złoconych szerokich ramach krajobrazy i martwe natury.

Więc:

widoki szwajcarskie z śnieżną Mont-Blanc na planie dalszym, z szałasem przykrytym deskowym dachem i kamieniami (żeby wiatr zniechęcić), z żwawym strumykiem górskim, z świerkami, kosówkami, jałowcami — no i krówkami pasącemi się na bujnej zieleni przy szałasie (a co to za zieleń! no!) —

Indziej:

szklane naczynie z jabłkami, gruszami, śliwami i winogronami; — po jednej stronie purpurowa kotara podpięta złotym sznurem (zwisa potężny kutas) — po drugiej niebo blado-błękitne, z którego sfruwa szklarka — właśnie ku tym owocom ponętnym —

Wreszcie:

piękny oleodruk; naprawdę piękny! — pogardzona niesłusznie technika oleodrukowa niejedno-

krotnie wykazuje walory artystyczne wysokiej próby! —:

śliczna postać matki w żółtej szacie - zawoju z dzieciątkiem w białej sukience z niebieską szarfą! — twarz matki nabożna, przeduchowiona — oczy dziecka duże, zafrasowane, urocze! — Opiekuńcza, dobra dłoń matczyna podtrzymuje dziecko, które w namyśle zasłuchanym lewą rękę na buzi wsparło.

Cichy, łagodny, miłościwy poemat — jak woń pierwiosnków po deszczu majowym.

„Malatur" — takich i tym podobnych było tam jeszcze w tej świetlicy obszernej — sporo.

Obrazów już takich niema na świecie!

A gdyby się gdzieś, dziwnym jakimś trafem, znalazły — byłyby czarodziejstwem dla samotnych źrenic marzycielskiego dziecka — i kamieniem odrazy dla „znawcy"; — nie jest to (oczywiście!) zagadnienie dotyczące względności zjawisk — jeno zapytanie nieszczególnej wagi: co jest prawdą — ? —

Wobec tak kłopotliwej kwestji — przejdźmy szybko do pokoju dalszego.

ROZDZIAŁ CZWARTY

O POKOJU DALSZYM, JEGO ZASOBNOŚCI ROZMAITEJ, A ZWŁASZCZA O KOTWICY KONIECZNEJ; KILKA SŁÓW O BALKONIE, O PRZYCZYNIE JEGO NIEDOSTĘPNOŚCI, GADATLIWOŚCI DRZWI I SKUTECZNYM RAD SPOSOBIE; DOWIADUJEMY SIĘ, CO ZNACZY „MAŁY BORYSŁAW."

To pokój balkonowy.

Nie obszerny, prawie kwadratowy, mroczny — bo to i okno i drzwi szklane na balkon „wychodzą" — więc je też ocienia balkonu tego strop niewysoki — jest pokojem „jadalnym" — jadalnią poprostu.

Dębowy w nim stół długi i wąski — w pośrodku stoi, wkoło stołki dębowe — siedziska ich wyplatane; — otomana obszerna przy oknie — zagłówki jej wałkowe, oparcie luźne, materacowe; — przed nią stół drugi również dębowy — mniejszy; — wreszcie kredens niewielki, oszklony górą; — bielą się na nim dwa dzbanuszki srebrne; uszka ich drewniane, czarne; — pękate kadłubki błyszczą okienkami odbitemi.

Po obu stronach kredensu kilimkowe szerzynki: honorowa straż.

Na wąskiej ściance przy drzwiach obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, bardzo sczerniały, ro-

dzinny; na wiśniowych ramach przymocowany ryngraf, złoty, polerowany; wizerunek na nim zatarty, ledwo czytelny; pod obrusem odgięty półksiężyc karabeli w skórzanej, ubogiej pochwie.

Membra disiecta rodzimej samochwałki — ? — ach, nie! — zapach najcudowniejszy wolnej ojczyzny, kotwica serdeczna, na której jako tako trzymał się okręt na wrogich fluktach.

Stoły, stołki i kredens koloru żółtego, ciemnozłotego nagrzewały ten pokój.

I tutaj to w tym balkonowym....

A właśnie!

Dlaczego balkonowym?

Otóż dlatego, że przez wzmiankowane wyżej drzwi szklane można się przedostać na balkon obszerny, wsparty na czterech słupach kwadratowych, które przedłużały się jego wysokością i ponad nim zakwitały wazami kamiennemi czterema (gniazda wichrów).

Pomiędzy słupami czerniła się siatka żelaznej balustrady, dźwięczącej głośno (niczem gong); lepiej się o nią nie opierać! — obluzowały się bowiem spojenia kraty w murze — stąd ta ich wiotka niepewność i gadulstwo.

Balkon ten w porze najpiękniejszej kwitnienia jaśminów, buldeneżów i piwonij — był niedostępny.

Sprawa prosta i jasna: oto rok rocznie na występie muru, bardzo widać sposobnym, wiły słowiki gniazdo — i wysiadywały pisklęta.

Rok w rok!

Przeto:

— nie można ich płoszyć —

Oczywiście!

A potem karmienie!

Znowu zeszło kilka tygodni.

Tak też to dopiero pod pełnię lata można było swobodnie drzwi otworzyć.

Zasiedziałe w bezczynie tak długim, że aż nieobyczajnym — skrzypiały te drzwi wprost potwornie!

Skrzypiały, piszczały, jęczały, świergoliły, piały i gdakały naprzemiany.

Słychać też było to posłowicze otwarcie na polach, na gościńcu — i dalej! — ho ho! — wiorstę, jedną, drugą — więcej!

Wtedy pośpiesznie smarowano zawiasy pęczkiem piór maczanych w nafcie.

Pomogło! Bardzo! Zupełnie! — Lecz równocześnie stawało się przejście z pokoju na balkon przesmykiem nafcianym.

— Borysław — nazywały się drzwi.

— Mały Borysław —

— Ano....

Wracajmy!

(— prostokątne naukos wstawione szybki nad „małym Borysławem" — były czerwone; narożniki żółte —).

ROZDZIAŁ PIĄTY.

O SOCZYSTEJ GRUSZCE, STRAPIENIACH I RADZIE NIEWCZESNEJ, ORAZ CO Z TEGO WYNIKŁO; SŁYSZYMY HASŁO Z ZA OKNA I JEGO ECHO WŚRÓD GWIAZD; CHYTRY WYBIEG; UDAŁO SIĘ: BĘDĄ DZIECI SPAĆ! USZY PO SOBIE.

W tym to właśnie pokoju balkonowym przyjmował pan Michał najradziej miłych gości swoich.

Tutaj pani Wilhelmina, uderzając mokrem ostrzem noża o rozpłataną, soczystą gruszkę — mawiała (— wszyscy czekali, aż kęs w ustach rozpływający się połknie —) —:

— świetne te bery pana profesora —

— dobry gatunek, niczego sobie — stwierdzał skromnie interpelowany.

— świetne! —

Rozmaite były te pogadanki, niewiele zresztą różniące się od siebie.

I tutaj też w tym pokoju balkonowym padły dnia któregoś ciężarne w skutkach swych słowa.

A było to tak: —

Rzekł pan Michał:

— coś mi nazbyt blady Mikołaj —

— a cóż on jada? — pyta pani Wilhelmina —

— co jada? — ech! co tam jada! — niewiele — apetytu ani za grosz —

Na słowo niechybnie w tem miejscu nastąpić mające: „nie ma" — wpadła pani Wilhelmina przyśpieszonem tempem:

— a kaszę? —

Tak jakoś dziwnie siedzi ta pani Wilhelmina! — na krajuszku stołka, — a nóg do siebie nie zbliża — choć chce i pragnie tego — poprawia się cięgiem; — cóż! — tusza nie pozwala; — też los!

— a kaszę? —

— nie próbowałem —

— a! — to trzeba, koniecznie trzeba! — kasze są bardzo pożywne, dla dzieci zwłaszcza, — jaglana, krakowska, częstochowska, — wszystko jedno, — hreczana wreszcie —

— spróbujemy, powiem Antoninie —

Nieoględna, zbyt pośpieszna decyzja!

I odtąd się to zaczęło!

Zaraz na drugi dzień!

Zamiast smacznej, pietruszką wonnej lub selerem, zupy „ziemniaczowej" (kilka łyżek tego jadła można zawsze, w każdym wypadku — zjeść!), zamiast zabawnych jajek: gładkiego białka (je się osobno) i sypkiego żółtka (je się również osobno) — przynosi Antonina — i na mały Mikołajowy stolik stawia — talerz kaszy! —

— Mos, jedz — powiada — jegomoś kozali — fanaberjo — ale cós —

Z niedowierzaniem popartem walnie niedochwałką Antoniny, zgóry jak najgorzej usposobiony,

uprzedzony dysgustem do ostatka — nabiera Mikołaj na łyżkę, na koniec łyżki, — tego czegoś, co zwie się „kaszą".

Próbuje — krzywi się — — mdłe, nudne, nijakie, obmierzłe.

Coś tam łyżką poorał, pobróżdził, pociapał w tej kaszy — ; — odłożył łyżkę.

Szczypta chęci jedzenia zatraciła się w mdłości nieznośnej.

Zajrzał ojciec (sumienny kontroler obiadowy) — widzi: talerz pełny —

— cóż to? — czemuż nie jesz — ? —

— dziękuję!

— proszę! — ale czemuż nie jesz — ? —

— nie mogę!

— ależ to kasza!

Milczenie!

— no! —

Cisza!

— jakże? —

Nic!

— Kasza! — rozumiesz? — pani Wilhelmina — kobieta wszak, zna się na tem — wie — czego dziecku potrzeba — — owo jedz!

— dzisiaj nie mogę!

Zeźlony jest nieco ojciec i na wnętrzu gniewny — milczy przeto — — wychodzi —

Po chwili (— już ze swego pokoju —) —:

— Mikołaj! —

— słucham! —

— chodź! —

Lękliwie chłopiec wchodzi — — czuje, że ojciec „niebardzo tego" — a to tak strasznie niemiło, strasznie! —

— widzisz, trzeba jeść kaszę, abyś na siłach się wzmógł, — chucherko z ciebie, a chciałbyś już na koniu jeździć — ha? — trzeba, trzeba jeść kaszę —

Chłopiec słucha; głowę schylił; słucha.

Ojciec (po chwili) —:

— a tego — no? — zjadłbyś co? — jakże tak — nic? — może chleb z masłem i miodem — ? —

— dobrze, zjem!

Chleb! Masło! Miód; — to się nazywa prawdziwie „pysz"!

Tyle też i tego dobrego.

Starsi są uparci.

Nazajutrz znów ta kasza!

Trzebaby zjeść; ojca nie martwić!

A tu ani rusz! — w ustach rośnie jak guma!

Zmartwienie prawdziwe!

Zgryz!

Kasza sobie — łyżka sobie — Mikołaj sobie — myśli sobie — — nic się kupy nie trzyma!

Aż tu — jak na zawołanie — Toruś pod oknem szczeknął!

Miał, widać, jakiś interes nagły i niecierpliwy do chłopca.

Po interesie — zwyczajnie — do okna: hau — hau!

Znane hasło!

(— zarwały się wspominki przedjutrznianej godziny — z mroków dalekich szczekanie się niesie — — na krawędzi świata, na skalnym występie — u stóp bezmierne, wieczne, czarne morze — stoi pies — szczeka — łeb przekręca — nasłuchuje — — od prostopadłej ściany nocy głos się odbija — echem od gwiazd do gwiazd się przerzuca — — — napróżno odwołuje się mu Mikołaj — głos z ziemi niknie w gąszczu tysiąca innych głosów wołających — w gąszczu wielojęzycznym, stugwarowym — — z wołań tych szum się czyni spieniony, rozkrzyczany, ogłuszający — — cóż tam jeden głos znaczy w tym chaosie! — —)

(— czemuż, psie kochany — nie zaszczekasz teraz czasem przy zawiłych deklinacjach, konjugacjach trudnych — ? — lżejby jakoś było — ej, Toruś! —)

Wtedy — zaszczekał pod oknem.

— czekaj, czekaj Torek —

Podbiegł Mikołaj do okna i raz jeszcze psu przykazał: — czekaj! —

Wraca — talerz z kaszą niesie ku oknu — upewnia się —:

— jesteś? —

I — chlust! — cała kasza za oknem!

Pies radośnie merda ogonem i jęzorem zamiata skwapliwie, sumiennie zmywa obluzgane warzą kamienie.

Już!

Ani śladu!

Ani słychu-dychu!

Dobre złego początki! — a jak się tatuś zapyta — ? — co wtedy — ? — skłamać? — — aż się zarumienił Mikołaj, sam przed sobą zawstydzony!

Tym razem uszło jakoś.

Jeno Antonina rzekła —:

— bedom dziecka spać, bo na talerzu nic nie łostało —

— Chyba Torusiowe dzieci — zaśmiało się w Mikołaju —

No i nic! — uszy po sobie!

Przez dni kilka trwał ten chytry proceder kaszano-psi.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

O TEM, ŻE DOTĄD DZBAN WODĘ NOSI, DOPÓKI SIĘ UCHO NIE URWIE; NIESZCZĘSNE KRATY. GNIEW; KTO ZOSTAŁ ZWYMYŚLANY? CZY MOŻNA UTYĆ Z POKARMU, KTÓREGO SIĘ NIE ZJADŁO?

Aż tu dnia jednego o południu — zwyczajnie — porą obiadową — wyzdradziło się wszystko dokładnie.

Sto razy się uda — sto pierwszy nie! — wiadomo!

Były w tem oknie (jak i we wszystkich na parterze — kraty!)

Otóż to!

Niezgrabność przekorna i zawsze czujna sprawiła, że przy wylewaniu kaszy za okno (— a pies już czekał o znanej godzinie — mądry pies! —) — zawadził talerz o kratę; — część kaszy ostała na parapecie, a conieco i po podłodze się rozprysnęło zdradliwie.

Jak-na-tuż — wszedł ojciec!

Boże Jedyny!

Ręce za siebie założył — patrzy z ponad okularów — penetruje — sumuje — — wszystko zrozumiał!

Już mu też i dziwno było, że chłopiec tak tę kaszę zjada, codziennie zjada, dokumentnie zjada — no! — coś w tem, musi, jest —

A! — więc tak?!

Podszedł ku oknu.

Pies ogonem żwawo i z ukontentowaniem merda — oczyma łypie ku oknu, w czarnym łbie łyskają białka jak u murzyna — — a kaszę pilnie zlizuje —

— więc — ty? — no?! — jakże — ? — codziennie cię tak Torek wyręcza — ? —

Mikołaj milczy.

— no? —

Zaszeptał: — tak! —

— codziennie? —

— tak! —

Zdejmuje ojciec okulary! — krew mu do głowy uderza! — sapie! — czerwony jak burak —

Jezu ty Marja! — Co to będzie! —

Trzęsą się ojcu ręce, jeno te okulary migają pod światło —

Patrzy groźnie — zmarszczka pionowa nad nosem pogłębia się — aż od tego patrzenia ciarki idą po skórze —

Nigdy jeszcze Mikołaj w takim gniewie ojca nie widział.

Jezu ty Marja!

Chce już coś rzec — usprawiedliwić — wargi szepczą cichuteńko:

— tatusiu —

Odwraca się pan Michał — raz! —

Znów ku Mikołajowi zwrócony —
Podchodzi —
Bliżej —
Jeszcze krok —
Skuliła się świadomość w chłopcu — tylko już jakaś mgła przed oczami.
Ręka z okularami podnosi się —
Zawisła nad Mikołajem —
Ojciec mówi — krzyczy — —
Coraz głośniej —:
— żeby tę Wilhelminę! — z jej kaszą! — tak! — z jej kaszą! — kasza!! — Zgłupieć można!
Wychodzi śpiesznie.
Toruś zaszczekał radośnie i prośliwie —:
„mało"! —
Już też o kaszy nie było więcej mowy.
Chłopiec oczywiście nikomu o tem zajściu ani nie trunął.
Lecz pani Wilhelminie (— na przyszłą niedzielę —) zdało się, że się iście „poprawił".
— To z kaszy; o ileż lepiej wygląda!
— Kto? — pyta pan Michał —
— ano Mikołaj; — kasze są bardzo zdrowe, bardzo pożywne, bardzo —
— oczywiście —
— a dlaczego pan profesor pytał: kto?
— bo myślałem, że Toruś —
— też! — skądże? —
— Tak jakoś — — głupstwo!
I pani Wilhelminie też się wydało, że to głupstwo, głupstwo wierutne.

ROZDZIAŁ SIÓDMY.

O ZACNYM KSIĘDZU JAKÓBIE CANEAU, O RADOSNYCH ODWIEDZINACH, GOŚCINNEJ KRZĄTANINIE, ORAZ O PRZEDZIWNEJ PRZYGODZIE MEDALJONU PEWNEGO, KTÓRY Z WOŁKOWIC PRZEZ MUCHARZ DO SUCHEJ POWĘDROWAŁ I JAKA Z TEGO OBRAZA WYNIKNĘŁA.

W dni powszednie, bywało, nawiedzali znajomi pana Michała.

Tak też w tym pokoju balkonowym posiady swe mieli.

Pośród rozmaitych gości, których twarze, ruchy i słowa zagubiły się w naporze wydarzeń — pamięta się Mikołajowi wysoka zażywna postać „księdza proboszcza".

Nazywał się „ksiądz Caneau" (czytaj Kano), ksiądz Jakób Caneau.

W pobliskim kościele mucharskim gazdował.

Wszyscy go oczywiście znali i Antonina też i Jasiek.

On też znał wszystkich.

Po sąsiedzku mówiło się: u Kanego, do Kanego, Kanowe kazanie —

Był „polskiej wiary", na beamtów zadzierzyście pomstował, z kazalnicy o Polsce mówił, a w

gniewy oratorskie popadłszy (przy każdej sposobności) ręce po Skargowemu nad głowę podnosił i wielkim głosem wołał: — przyjdzie ten czas, niedaleka już jest godzina, a Najświętsza Panienka, Polski królowa wdzięczna, zetrze trzy jadowite łby wężowe! — Módlcie się i unikajcie becyrków — zaraza tam straszna na was czyha! — Módlmy się o wytrwanie i cierpliwość, bo o to najtrudniej — żebyście bracia wiedzieli, jak mnie ponosi! — Ale trza zacisnąć zęby — do czasu. A jak wybije godzina właściwa — sam was skrzyknę, pierwszy pójdę i zawołam: bij, kto w Boga wierzy! — I zrobimy garus i gulasz jak cholera!

(— tak to „cholera" z kazalnicy wrzasnął, że wszyscy na kolana padli, a baby ślozom upust dawszy, jęczały i piszczały straszliwie —)

Nierad się z parafji ruszał — tyle sobie czynności tam znaleźć umiał, że i dnia i nocy nie starczyło.

Rzadko też i do pana Michała, przyjaciela serdecznego, przyjeżdżał.

Dwa, trzy razy na rok.

Nie więcej.

Tedy zajeżdżał w powoziku zielonym „na resorach", zaprzężonym w gniade beskidzkie koniki małe, wytrwałe, mocne; — uprząż na nich krakowska.

Zdaleka już, z gościńca dźwięczały blaszane krążki jak dzwonki, ciach, ciach, ciach, dzeń, dzeń, dzeń —

Ksiądz Caneau jedzie!

Przed gankiem „kuczer" z bata zawija i strzela jak z „pistolca".

Wychodzi, było, pan Michał, przed bramę — gościa zacnego przywitać.

(— a ten właśnie przyjazd, o którym mowa ninie, pamięta Mikołaj dokładnie; — dział się jakoś w latach późniejszych — pod dziewiąty rok życia; — a pora była późno jesienna, przygrudniowa, wietrzna, rozjęczana, bezśnieżna —)

Całują się z dubeltówki.

— pochwalony Jezus Chrystus —

— na wieki wieków amen —

— Wiedeński czas psiamać —

— wiedeński — ? —

— jakoż? nie poimajesz? — mówi się: psi czas — wiatr, zimno —

— chodź, zagrzej się —

— to, to, to — ciało i duszę ogrzać —

Krzyknął pan Michał:

— Jasiek! — konie do stajni, furman do czeladni, — duchem! —

Weszli w bramę.

— cóż tam słychać, mój stary — ? — ha?

— ano szczęśliwie słychać, boś przyjechał; odwiedzasz samotnika — pięknie to —

— ha! ha! — borsuku!

Znów się całują.

A potem już w pogwarce po schodach idą.

Rozdział się ksiądz Jakób z kożucha, burki, burnusa — aż zmalał, tyle tego miał na sobie! —

— a! — cieplutko u ciebie — ogienek zacznie płonie — dobra nasza! —

Siadają.

Pokrzątuje się pan Michał; z kredensu talerzyki, noże, widelce, kieliszki (największe) dobywa — — kiełbasę suszoną, chleb, cebulę, ser; — a wino? — wino „chłodzi się" pomiędzy drzwiami balkonowemi; sporo tam tych butelek!

Pogwarzają, pogryzają, popijają.

Ksiądz Caneau raz po razu czuprynę gęstą (ledwo, ledwo szpakowatą — a tu siódmy krzyżyk na karku!) czerwoną chustką forsownie zagania.

— Mówią: — a co? — a jak? —

A dzisiaj? — gdy już conieco przetrącili „na ząb" i „na widelec", — przepłókał ksiądz Jakób gardło i ciągnie swój wywód:

— ależ mój drogi Michasiu miałem-ci ja przykrość nie przykrość — ale zawsze — —

Jak ci wiadomo sprowadził się do Wołkowic jeden taki rzeźbiarz — tego ten, w kamieniu, w gipsie, w drzewie — rozumiesz — —

Ołtarz miał w Wołkowicach zdziałać — —

No dobrze — —

Któregoś dnia po południu przychodzi-że on do mnie aż na Mucharz, uważasz, aż na Mucharz!, a pod pachą coś tam dyguje — nie przypuszczałbyś co — —

W gazetach to było — —

Rozwija — —

Jedna gazeta, druga, trzecia, czwarta — —

Na pięć tygodniby tego czytania starczyło, jeszczeby zostało — —

Mówię ja tedy do niego:

— ta co pan tyle tych gazet — ? —

A on:

— zawsze tak lepiej ostrożnie! —

No pewnie! — —

Wyjmuje to, co tam w tych gazetach, panie, było — a wiesz co było? — nie wiesz! — płaskorzeź-ba! — płaskorzeźba, rozumiesz, gipsowa; — ciężkie to jak odmieńcy — wielkości, jakby ci powiedzieć — koła od taczek — trochę mniej, trochę więcej — —

Odwinął i powiada:

— przyniosłem księdzu dobrodziejowi — —

A co to, pytam, reprezentuje — że to jak wiesz niedowidzę krztynę —

— To — powiada — plakieta pośmiertna poety Asnyka — —

— a mnie to naco? — człowieku — —

— bo to, mówi, pono i mucharski ołtarz reparacji wymaga — chciałem, mówi, żebyśmy się zapoznali bliżej; to tak, mówi, na próbkę — powiesi sobie ksiądz dobrodziej w salonie —

— ja?!! — pasja mnie szewska wzięła! — ołtarz ołtarzem, ale co mi po znajomości, no i *to*, uważasz, *to!* — kropię więc do tego narwańca:

— a co mnie, panie, po umrzykach? — czy to ja mam muzeum czy co? — u mnie, panie, ściany delikatne (istotnie są delikatne), ciężaru takiego na nich wieszać nie chcę i nie będę — rzeczywiście,

powtarzam, mam ściany delikatne — i do czego to podobne, żeby rzeźby umarłych imaginujące wieszać w salonie? — —

Ale, ani mu mów! — Uparta sztuka, o ten ołtarz mu widać chodziło, powiada: to ozdobi salon, to jest ręczna robota, artystyczna!

— Djabli mi do tego! — ani się znam, ani co — obraza Boska tylko z takiej donacji — —

Ja swoje — on swoje — —

Ja dwa słowa — on cztery — — no to ja osiem — dwadzieścia — sto! — Chcesz mnie przegadać — niedoczekanie twoje, Austryjaku jeden! — —

Bronię się jak lew, ale cóż?! — wiesz, miękki jestem — cóż było robić — ustąpiłem — —

Wziąłem! Podziękował — ja niby też, ale tak zdaleka — —

Odszedł — —

Biorę-ci ten gips — a na stole mi go szelma położył, zaraz białe plamy wyszły, szczęście, że nie porysowało płyty! — już z tego, serce moje, widzisz, coby to było, gdybym to, nie daj Boże, powiesił! — — Biorę więc ten gips — — zawinąłem w porządku w te gazety— bo je też zostawił — przynajmniej tyle! — — medytuję co z tym fantem zrobić! — —

Uważ, co wykombinowałem! — przyznaj — pomysł dobry — —

Jedyny! —

— prosit! — napomina pan Michał —

— owszem! — ale posłuchaj! — —

Myślę sobie tak: rzecz taka to a taka nadaje się przecież do jakiegoś, panie, lokalu, a nie do domu prywatnego — —

A mam, jak wiesz, znajomego cukiernika w Suchej, Wawrytko się mianuje, do którego, ile tylko razy w Suchej jestem, wstępuję sobie na kawę i rogalik — —

Jak raz mi się na pamięć nadarzył — Łaska Boska — —

Jakoś tak za kilka dni akurat mam interes do Suchej — więc jadę — i prosto z taradajki zanoszę tę rzeźbę Wawrytce (ciężka jak odmieńcy!) i powiadam mu: — ma pan tu sklep i cukiernię, ludzie do pana przychodzą — powieś se pan to, będzie tu temu pasowało —

Wymawiał się, ale krótko! — jak nie huknę na niego — bo mnie też już czarna krew zalać chciała — tyle wożę to wożę — ciaćkam się z tem jak z jajkiem, żeby się nie rozbiło — więc co? — może turgać zpowrotem do domu?! — jak też w tej alteracji nie huknę: — wieszaj! — — tak się też i zgodził — nawet podziękował; — człowiek grzeczny — —

Interesów miałem kupę, bo to jak wiesz mało się z domu ruszam — więc przenocowałem w Suchej; — nazajutrz idę do Wawrytki — aż ci tu od rana uciechę mam! — bo to sobie już tam szykownie wisi pomiędzy jedną szafą a drugą — nawprost drzwi — nawet mi się wtedy podobało! — wcale, wiesz, ładnie wyglądało pomiędzy flaszkami, bu-

telkami, karafkami, kloszami (nawiasem mówiąc zacny ser szwajcarski ma ten Wawrytko ino że drogi) — —

Ale to jeszcze nie koniec! — uważ, co się stąd wyświęci! — —

Zaniosło ci tego sakramenckiego rzeźbiarza aż do Suchej! — Trzy mile z Wołkowic do Suchej! — nie! — on tam musi nos wścibić — dla takiego to i dziesięć mil — guzik! — Oczywiście do cukierni zaszedł — a jakże! — Zobaczył tam to dzieło swoje — i, uważasz, zamiast się ucieszyć, że to sobie tam jak na wystawie — to on się obraża na mnie! — że tą powiada nie rzeźbi dla karczem — i jeszcze poety do tego! — Słyszane rzeczy?! — dlaczego, pytam — dlaczego?! — no nie zgryz?! — —

Nasrożony jest ksiądz Caneau — bardzo nasrożony!

Srogim też gestem po kielich sięga — cmoka, smakuje — cały naraz przechyla — aż w grdyce zagrało!

Wszystko z tego zirytowania!

Stawia kielich na stole — szkło przycupło od strachu, strzymało oddech — życie na włosku zawisło — o chłopski włos, a byłoby po nim! — zapiszczał kieliszek z przerażenia nagłego. — —

Ale ksiądz Caneau nie zważa na takie drobiazgi!

Zpodełba patrzy — coraz niżej głowę schyla — a w pana Michała strasznym wzrokiem mierzy — — aż-ci tu nagle — ha, ha, ha, śmiechem się zaniesie!

Wstrząsa nim ten śmiech jak febra gwałtowna —

— ha — ha — ha — ha —

Już też i pan Michał wtóruje

— ha — ha — ha — ha —

Mikołaj poduszką twarz zasłania — — jak mysz na pudle! — zapomnieli o nim — gdyby się spostrzegli — no! —

A oni tam śmieją się do rozpuku — łzy im po twarzy płyną — po kolanach się klepią —

— ha — ha — ha — ha —

ROZDZIAŁ ÓSMY

O TEM JAK KSIĄDZ JAKÓB CANEAU I PAN MICHAŁ RACZĄ SIĘ WINEM I RYMAMI, JAK TO „CI, KTÓRZY JASNOŚĆ ŻEGNAJĄ ZNIKNIONĄ" POWINNI WIERZYĆ W „BRZASK NOWYCH WIOSEN LUB NOWYCH STULECI"; POKÓJ W CZERWONEJ OMGLE.

Ucichli wreszcie spoceni i zasapani srogo.

Siorpnął pan Michał hauścik na orzeźwienie i mówi:

— ale widzisz Kubusiu dobrodzieju — z tem wszystkiem Asnyk to wielki poeta —

— oczywiście —

— wielki —

— a ino —

— znasz Kubuś — „choć krzyżowany przez odstępców roty" — ? —

— coś tak, ale nie całkiem — powiedz jak umiesz, — no, sameś kawał poety — a mnie to się głowy nie trzyma —

— e, co ja tam za poeta! —

— hoho! — no a te wierszyki rozmaite do śpiewu — to nic? —

— dajmy spokój, — posłuchaj — —

— owo uważnie posłucham, — sam tam też jeszcze baczę: „quem legis ut noris accipe posteritas", albo: „maecenas, atavis edite regibus, o et praesidium, et dulce decus meum" — ale to Rzymianinowie; — posłucham tedy polskich rymów; — wal!

— więc słuchaj —:

(— odchrząknął pan Michał —)
(— poprawił się na krześle —)
(— łokcie na stole wsparł —)
(— palce zaplótł mocno —) —:

Choć krzyżowany przez odstępców roty,
W sercu Ludzkości umiera na nowo,
I z szczytu swojej niebieskiej Golgoty
Na chwilę w otchłań zapada grobową, —

A świat, straciwszy promień prawdy złoty,
Drogę zbawienia i żywota słowo,
Krzyk rozpaczliwy podnosi sieroty,
Patrząc na mękę pokoleń dziejową:

On spełnia dalej odkupienia dzieło,
I to co w krwawej bezprawia powodzi
Pod znakiem jego walcząc, zatonęło,

Wraz z nim w postaci doskonalszej wschodzi...
I, zanim grobu łono się zamknęło,
W sercu Ludzkości Bóg się znowu rodzi.

(— chwila ciszy —)

(— pogłosy skanzji drżą jeszcze w powietrzu —)

(— cichutko, bez stuku, wychyla ksiądz Jakób kielich wina — długo i ostrożnie odstawia kieliszek żeby aby bez hałasu —) —:

— piekne, piekne — ani słowa —

— ha! — cudne! — albo to....

— które zaś? —

— Zaczyna się: „ci, którzy jasność żegnają zniknioną" —

— ponure jakieś — co? —

— e nie! — poeta jest zawsze wierzący — takci to już jest, — a wiara musi być zawsze radosna jak i miłość —

— a co — to i ten też umisz — ? —

— cośniecoś —

— sto djab... to jest — sakra! — jaką ty masz pamięć morową —

— odczytuję sobie rankami, to się i trzyma pamięci —

— o czwartej — ha? — znam cię borsuku! —

— dziś o trzeciej brateńku —

— kos z ciebie! — szpak!

— dworujesz sobie — a to na starość snu niema, a choroba mi leżeć też nie daje — więc cóż? — rozważam sobie, modlę się, czytam —;— ale co tam o tem! — posłuchaj —

— wal! — — ale niedługie toto?

— sonet —

— pytam, czy niedługie —

— sonet ma zawsze jednaką miarę —

— aha! — ja się tam nie znam na tem— rżnij Walenty, Bóg się rodzi —!—

Jednostajnie a melodyjnie mówi pan Michał —:

Ci, którzy jasność żegnają zniknioną,
Gdy burza całe zniweczyła żniwo —
Nad spustoszoną rozpaczając niwą,
Myślą, że wszystko ciemności pochłoną.

Dalszych rozkwitów mnożąc siłę żywą:
Tymczasem pod tą ciemności osłoną,
Pod dobroczynną martwości pokrywą
Tysiącem kiełków drży już ziemi łono.

Ręką natury rozrzuconych skrzętną;
W spowiciu nocy, w zimowej zamieci,
Bijące wewnątrz nie ustaje tętno;

I życie w głębi walką wre namiętną,
By się wydobyć kiedy je oświeci
Brzask nowych wiosen, lub nowych stuleci.

— Ładne-piekne — mądra bestja! — „brzask nowych wiosen, lub nowych stuleci" — Będzie! — będzie — zawsze to mówię! (— podnosi kielich —) — śmierć becyrkom! (— sciszenie, poufnie —) — mówię ci Michale — jak się to wszystko ruszy — naród już wie! — już rozumi — (— gniewnie! —) — przy tobie, panie, stać nie chcemy! (— raptownie —) — nie chcemy, psiakrew! — — kto klnie? ja? — na siebie ten grzech biorę, — odpuść mi Pa-

nie — ale mnie już jasna cholera bierze — jak Boga kocham — nie wytrzymam! — (— krzyczy! —) — śmierć becyrkom —

Odpowiada spokojnie pan Michał —:

— prosit! — ale, widzisz Kubuś, co do tego wiersza to tam jeszcze nawet inaczej i dalej — — bo to duch tam nad otchłanią kołuje — dużo widzi — wysoko lata — — głęboki wądół pod nim —

— racja! — jak ty mówisz — to racja! — daj bracie pyska! — pijmy!

Całują się poprzez stół — unoszą się, żeby kieliszków i butelki nie strącić.

Umęczeni wysiłkiem opadają na krzesła, aż tam coś w oparciu trzasło —

— twoje! —

— najlepszego! —

Zadzwoniły kieliszki.

Mówi ksiądz Jakób Caneau z głębokiem przekonaniem —:

— aliści — mimo wszystko — ten rzeźbiarz to hycel! — bo zważ ino te ściany u mnie delikatne — ha? —

— ano, jak delikatne — to pewnie —

Zegar kurantowy wybija jedenastą.

— jak to czas leci —

Świeca się do połowy wypaliła — okapuje broda na lichtarz —

Co po chwila pan Michał dorzuca sośnicy do pieca — a drzwiczki ostawia otwarte —;— zadymia się pokój — cały w czerwonej omgle — —

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

O CHYTRYM ŚWIADKU, ROZMOWACH Z SOBĄ, ŚPIEWIE PRZY PIECU, O CZTERECH ZWROTKACH CZUŁEJ PIEŚNI, WYJŚCIU KSIĘDZA JAKÓBA CANEAU; BEZMIAR OKRYĆ; POWROTNA DROGA; MIKOŁAJ JEST JUŻ W ŁÓŻKU!

Mikołaj — niepostrzeżony, chytry świadek — ciekawski i rozbawieniec — wpełzł (jako się zaznaczyło) cichcem na olbrzymią kanapę — zakrył się poduchami (malowane, dziergane, kanwowe) — — nogi podkurczył pod siebie — ciepło — — uszy po sobie, ani mru-mru — śpi niby.

Czasem, chwilami — naprawdę sen go morzy — zdrzemie się — usypia — —

Głos gwałtowniejszy — stuk kieliszków — szurgnięcie stołkiem — — budzi się — łowi słów kilka z rozgwaru — —

A tam już przy stole kompan kompanowi w zdanie wpada — równocześnie — z krzykiem —

Nic sobie z tego nie robią! — — tak czy owak każdy jeno siebie rozumie, sobie mówi, siebie słucha —

Gmatwa się cała ta sprawa w łepetynie chłopięcej —;— groch z kapustą!

Zasypia — budzi się — ciepło — przytulnie —

Aż tu i wyraziścieją poprzez dymy i odblaski czerwone idące z otwartych drzwiczek piecowych — wyraziścieją słowa:

— no — tego, Michał, ty już wiesz —

— wiem — wiem —

— no to jazda! — Bas masz, jak sto djab... to jest — sakra — śpiewaj —

Jakoś tak się stało, że pan Michał już przy piecu stoi — o gzyms łokciem wsparty —

Ksiądz proboszcz poddaje:

— na dolinie zawierucha...

Słodko mityguje pan Michał:

— przestań, złociuśki, pomylisz mi melodję —

Trzepnął się ksiądz Caneau po wargach, a niby gniewnie buczy:

— ano to sobie zaczynaj sam kiedyś taki mądry —

Pan Michał nabiera w płuca powietrza jak przed nurkowaniem.

Śpiewa — —

Stłumiono z początku, nieśmiało —

Na dolinie zawierucha
mokrym śniegiem dmie,
na kominku ogień bucha,
ktoś wspomina mnie —

Lecz już przy drugiej zwrotce animusz wzrasta —

Przy kominku z lulką stoję
w kłęby puszczam dym —
i marzenia wszystkie moje
lecą razem z nim —

Głęboko dosięga dna trzeciej zwrotki — roztęskniają się myśli —

Niechaj lecą jak leciały
chwile młodych lat,
co ze sobą wszystko zwiały —
i młodości kwiat —

Przy czwartej drżą szyby i serca —

On bez celu, ja bez celu,
jak z tej lulki dym —
trzech nas tylko to niewielu —
lećmyż razem z nim —

Wstał ksiądz proboszcz mucharski — troszkę się niby zatoczył — odrobinę —

Zebrał się w sobie —

Kielich nalał po czub (— i po za czub! — moczy się szklana nóżka w bajorku winnym) —

Podnosi kielich wysoko —

Basuje melodji —:

— hu — hu — hu — hu — hu —

Wypija!

Namyśla się — postukuje kielichem takt —

— et! — warknął; — ręką machnął —

Właśnie pan Michał wyciąga w tem przyspieszającem miejscu:

Trzech nas tylko, to niewielu —

gdy oto, ksiądz Jakób Caneau ku drzwiom w tupocie wielkim twardych buciorów idzie —

Nie żegna się —

Przed siebie prosto patrzy —

O nic się nie troszczy —

Jakby przed tem śpiewaniem uciekał —

Kończy pan Michał:

lećmyż razem z nim

cały czerwony od wysiłku i żaru walącego na komnatę z paleniska (a wino to nic?) — spostrzega —

— gdzież ksiądz — ? —

Niema już księdza w pokoju —

Więc rusza pan Michał żwawo — do drzwi — do przedpokoju —

A tam już z okna ksiądz proboszcz woła:

— Franek! — zajeżdżaj — duchem —

(— z tego okna świetnie do czeladni głos wpada — jak z procy —)

— cóż to Kubusiu — już jedziesz —

— już? — ładne już! —

— no cóż takiego? —

— przewietrzyć łeb — zresztą dwunasta — nie wolno! —

Wdziewa na siebie bondy, palta, burnusy — a z każdą przyodziewą rośnie i olbrzymieje —

A tam już turkot na podwórzu — żwir chrzęści — —

Po chwili trzask z bata (jak z pistolca) — zabrzęczały szory krakowskie — stop! —

— Bywaj! — wyciąga się z iluś tam rękawów proboszczowskich olbrzymia pajda łapy czerwonej.

Ściskają się, całują — nie tyle siebie — ile powietrze — aurę przyjazną! — bo jakże! — tak to odzienie księżowskie oddala — zbliżać się nie pozwoli —

— aleś zaopatrzony — myślałby kto, na Sybir jedziesz —

— gdybym był po drugiej stronie — dawnobym na Sybir pojechał —

(— i dodaje —)

— uf! — zasiedziałem się! —

Przed schodami przystaje:

— jakto idzie? — raz tylko zagwiżdż, sam początek — — aha! —

na dolinie zawierucha
mokrym śniegiem dmie —

Fałszuje przeraźliwie w wysokich tonach, a niskie spadają jak puste orzechy na rozbity garnek —

— ty strasznie śpiewasz — dziwi się przyjaźnie pan Michał —

— furda! śpiewam, ot co! — gdybym był śpiewakiem, tobym do opery wstąpił, panie dobrodzieju —

Zeszli z hałasem i dudnieniem po schodach — Już są u drzwi wchodowych.

Otwierają razem, na cztery ręce.

— Pochwalony Jezus Chrystus —

— Na wieki wieków amen —.

Gramoli się ksiądz dobrodziej do powozu, a huczy, a sapie, a stęka — bo do czego to podobne, żeby tyle tych okryć —

— Dobranoc! — wal Michale do domu, zimno setne.

Istotnie zawiewało mrozem i nocą.

— Wio, Franek —

Zazberczały mosiądze po krakowsku —

Przyśpiewuje się im fałszywie:

na kominku ogień bucha —

coraz dalej — ciszej — — już most — zmilkło doreszty —.

A tam w domu tymczasem — wymyka się Mikołaj z pokoju balkonowego do łóżka — cichcem — prędko —

Zdążył!!

— — —

Zamykanie bramy z klucza rozgłośne, — że to aż echo w sieni przedrzeźnia sklepieniem dudniąco.

—

Ojciec wchodzi do pokoju cicho — cichuteńko — żeby syna nie zbudzić —

— Kiedy on się, ten smyk — położył? — bo to jakoś był z nami i nie był — ? — był czy nie był — ? — w każdym razie jest w łóżku — śpi — ! —

Więc cicho — cichuteńko —

A już najciszej — całkiem już w myśli nuci sobie pan Michał Srebrempisany:

— Ktoś wspomina mnie —.

I jeszcze raz — i jeszcze raz — po setny raz:

— Ktoś wspomina mnie...

[illegible]

KSIĘGA PIĄTA

DZIEŃ WAJGELJOWY

KSIĘGA PIĄTA

DZIEŃ WAJDELLOWY

ROZDZIAŁ PIERWSZY

O INNYCH GOŚCIACH PANA MICHAŁOWYCH; SKĄD TYLE MUNDURÓW? MANEWRY JESIENNE; MARSZE, ĆWICZENIA I T. D. PRZYPOMINA SIĘ AFISZ „WNĘTRZA"; CHĘTKA NIEWCZESNA: TYMKO PADURRA I ZGROMIENIE; ZGODA.

Prócz księdza dobrodzieja proboszcza mucharskiego Jakóba Caneau — częstymi gośćmi pana Michałowemi byli —: porucznik Amadeusz Griksa, Tyrolczyk z pochodzenia, Serb kapitan Lazar Popow i dziarski, żywy, postawny, żołnierski nawskroś porucznik Juljusz Bijak, Polak, podkreślający polskość swą zawsze i wszędzie (— doszedł tenże pan Juljusz później do dużych bo generalskich godności, a wszystko dzięki rzetelnej pilności, wiedzy i sprawności — nie posiadał przecież czterech zasadniczych zalet: szlachectwa (Ritter lub Edler von), patrjotyzmu wiedeńskiego (an der schönen blauen Donau), lizoństwa i bufonady — dzięki którym jedynie można było piąć się po szczeblach „awansu" w państwie jego apostolskiej mości k. u. k. —).

Skądże tylu oficerów znalazło się w tem kole porębiańskiem — ? —

Bóg to raczy wiedzieć!

Tak się złożyło; — bo też to i poprawdzie pan Michał militarystą nie był (nie jest nim i nie będzie Polak nigdy!) — przeciwnie! — marzyciel zacny: w zgodę narodów wierzył, w miłość i współżycie radosne.

Walka odporna? — oczywiście!

Lecz „potem" wszystko się ułoży — w sprawiedliwości wyrównają się krzywdy.

A o tym militaryzmie...:

— kiedyś, w czas złotej jesieni, w porze cichych, chłodnych dni — odbywali żołnierze ćwiczenia na ścierniskach porębiańskich —: kleine Herbstmanoever —

(— jest operetka tej nazwy; — tamto było też operetką; — mniejsza z tem! —)

Otóż to przed oknami dworku przebiegali żołnierze z pochrzęstem tornistrów płaskich rudą skórą powleczonych — tam i zpowrotem — gromadami — samotnie — no, różnie.

Niektórzy mieli białą chustą przewiązane „ciaka" —: nieprzyjaciele!

Na dalszych łanach i rżyskach ćwiczyły szyki.

Co po chwila słychać było ochrypły wrzask: habt-acht! — ruht! — habt-acht! — wider! — laufschritt! — dopelreihen rechts (lub links) um! — herstellt! — rast.

A po chwili (— żołnierz w sztucznej rozsypce — baczy pilnie! — bo znów stanie się coś — niezawodnie!): vergaterunk!

Oficer czy podoficer stoi, rękę podnosi — za nim gromadzą się żołnierze, rekruty, świńskie

ucha, einjerygi, kryple sakramenckie — cała ta hołotna biedota zahukana, ogłupiała, bierna.

I znów na nowo: — habt acht! — a potem — gewergryfy — — szeregi, dwójki, czwórki wybijające „eincla".

Eins-zwei, eins-zwei, eins-zwei — — lewa-prawa, lewa-prawa; — wreszcie już tylko: — lewa! — lewa! — lewa! —

A już gwoli mnemotechnicznemu zapamiętaniu — wierszyk:

sieczka, siano, słoma, g...
maszerujcie chłopcy równo!
— eins-zwei — — eins-zwei — —
Manekiny! Okrztonie! Ofermy!

Na koniec — korona wielkich umiejętności —: angryf!! — direkcjon — gradaus na to drzewo — tam! — pędzą — biegną — padają — strzelają — — trupy ostają — — rwetes — gwałt — — ogłuszające hurra! hurra! hurra! —

Der Berg, albo der Mejerhof, albo coś w tym rodzaju — zdobyte! Vivat!!

Mikołaj patrzał przez okno — czoło do szyby przycisnął — że się aż takie spłaszczenie wykroiło na czole, jak to u owej dziewczynki, którą Wyspiański narysował na afiszu „Wnętrza" Maeterlincka.

Nic tam chłopiec z tej obłędnej nędzy przymusowej żołnierki nie pojmuje — skądże?! — — więc się mu to i podoba; — owszem — taka dobra zabawa jak każda inna, może nawet i lepsza —?—

Patrzy — myśli — i powiada —:

— Tatusiu chcę być żołnierzem —

Pan Michał czytał właśnie „Ukrainky z nutoju" Tymka Padurry, zwrotki z „Romana z Koszyry" —:

Nicz buła temna, witer z nyw szërokych
Z łyśtiam w dołyny kotyw czorni chmari,
A misiać czasem z pid nebes wysokych
Liczyw nad Bohom sëdiaszczi Tatary.

. . . . . .
. . . . . .

Tak to buwało pered dawni lita
Koły narod maw Gedymïna kwity;
Maw wtohdi mużiw, muži cześt'u świta,
A Polszcza sławni i roskiszni dity!

. . . . . .

— więc tak w pierwszej chwili nie zrozumiał, co tam chłopiec pobąkuje — pyta tedy:

— co mówisz? —

(— a umyślnie się tak zaczytuje, bo straszliwie go źli i wzburza ta komedjancka uganiaczka austrjacka —)

— co mówisz? —

— chciałbym być żołnierzem —:

— głupiś! —

Dlaczego? — nigdy tak nie mówi — — nawet tak potrosze nie wolno tego słowa używać — — gdy kiedyś Mikołaj Antoninie — niewiedno przy jakiej tam już okazji powiedział: głupia jesteś — ojciec go zwymyślał i przez cały dzień do niego nie mówił.

Więc czemuż dziś — ? —

Zmarkocił się chłopiec.

Dlaczego? — cięgiem „duka" — ; — wraz też odpowiedź nadchodzi —:

(— gniewność minęła —)

— żołnierzem? — jakim żołnierzem? — szwabskim? — tego jeszcze potrzeba! — Niemiec Niemcem — oczywista człowiek — ale ta ich żołnierka — zło całe — lecz cóż ty tam o tem możesz wiedzieć! — pewnie, — pewnie — — więc sobie tylko zapamiętaj, że to wstrętne, podłe, złe, okropne — — i cóż? — ten mundurek głupi — et, — co innego, jeśli mus, potrzeba — no! — — weźno się do nauki.

Jakoś się ta mała kontrowersja na zgodzie rychłej skończyła.

A zaczynało być groźnie!

Bóg raczy wiedzieć, skąd na człowieka niesnaska spadnie.

Lecz w pamięci chłopięcej ostało tyle, ile akurat potrzeba — — zresztą cała ta chętka była kilkominutowa — — szkoda o tem nawet mówić.

ROZDZIAŁ DRUGI

JESZCZE O AMADEUSZU GRIKSIE I LAZARZE POPOWIE, O ICH ZAMIŁOWANIU DO MUZYKI I DO KWIATÓW; ICH PATRJOTYZM; NACO KOMU KWIATY POTRZEBNE; PRZEZ PŁOTY I ROWY; NACIESZCIE SIĘ.

Z tymi oficerami — — skąd się to wzięło — ? — to — współ-życie — no!, może za dużo — ale w każdym razie to „bywanie" — ? —

Poprostu wzięło się i już.

Choć coś tam i musiało być na rzeczy — oczywiście!

Niezawodnie było!

Amadeusz Griksa i Lazar Popow byli przyjaciółmi „od serca".

Griksa był mały, pękaty, rumiany, jasnowłosy; Popow wysoki, chudy, oliwkowy, kruczowłosy.

Byli patrjotami gorliwymi — jeden tyrolskim, drugi serbskim.

Namiętnie kochali muzykę i śpiew, a może więcej śpiew niż muzykę? — trudno to już dzisiaj rozstrzygnąć — trudno i nie potrzeba! —

Otóż to!

Ilekroć przyszli do Poręby dwaj panowie oficerowie — wartko sklejało się trio! —

Jeden drugiego uczył i przekonywał — a potem zgodnie sobie wtórowali; — śpiewki, dumki, jodlery — cejnieco — raz ten, raz tamten miał dyrekcję — głos mieli wszyscy wraz.

Więc — to!

I drugie jeszcze: kwiaty!

Bywa — chodzą z gospodarzem po ogrodzie — przy każdym krzewie przystają, obzierają, dotykają liści, kory, gałęzi; — medytują, uwagi czynią — idą dalej! — — znów przystają —

— bo to w Tyrolu uważacie panowie...

— ech! — w Serbji na zboczach, mój Boże, w Serbji panowie....

— tutaj to samo, tak jest — wtrącał przekonywająco pan Michał...

Zgodzili się.

A z tej zgody przyjaźń rosła na podobieństwo wajgelji, magnolji, wiązu — lub zgoła tulipanowca, przy którego wymienieniu należy zawsze dodać: liriodendron tulipifera.

No? — a porucznik Bijak — ? —

Ach! — toż to już swojacka dusza, więc: kurdesz, kurdesz nad kurdeszami!

— psiamać, Austrję i tak djabli wezmą —

— pierwej czy później —

(— tamci dwaj milkli; no, a gdyby — ? — jakże Tyrol — ? — a Serbja — ? — sakra!! —)

Polak — to żywy pesymizm, dwóch Polaków to optymizm okazowy! —

Przychodzili:

— Griksa i Popow zawsze razem —

— Bijak zawsze sam —

Po obiedzie.

Wieczorem wracali.

Griksa i Popow chadzali pieszo — pod ręce się trzymali —

Griksa „jodłował" —

Popow milczał —

Griksa — rumiany, spocony — czapa na tył głowy spadająca —

Popow — czarny, suchy — czapa daszkiem dotykała nosa —

Bijak zawsze konno! — przesadzał rowy i płoty — naprzełaj!

— Polak to koniarz, kawalerzysta et caetera — zgoda!

Pan Michał był im rad, z serca rad! — lecz kwiaty dawał niechętnie bardzo niechętnie! —

A molestowali!

Griksa i Popow: eine Blume, eine einzige, stutzermässig — ja wohl!

Bijak: chyba jedną różę, a czerwoną! — tak ot — hm! — rzucić w okno z konia — pac! — w same piersi — śmieją się oczka czarne u krasawicy et caetera —

Masz, masz jeden, drugi, trzeci —

Cóż-tam!

Naciesz się serce człowiecze!

— — — — — —

Griksa i Popow nie cieszyli się zbytnio względami Mikołaja — mówili tylko po niemiecku i mieli

paskudny zwyczaj szczypania chłopca w policzki palcami: wskazującym i serdecznym; — to boli! — przytem zawsze jedno i to samo: — na, wie gehts, Bubi! —

Natomiast pomiędzy Bijakiem a Mikołajem zakwitła przyjaźń podobna do tej róży, co to trafiała w piersi et caetera.

ROZDZIAŁ TRZECI

O NOWYCH OSOBACH WKRACZAJĄCYCH W KRĄG PORĘBIAŃSKI, O DZIEWCZYNCE MRUŻĄCEJ DZIWACZNIE OCZY, O JEJ RĘCE ZIMNEJ I WILGOTNEJ; PIERWSZA ROZMOWA PANI GRÖSSL Z PANEM MICHAŁEM; DZIECI IDĄ DO OGRODU.

Aż tu któregoś dnia zdarzyło się, że do parku porębiańskiego weszła cale piękna dama z córeczką siedmio-ośmio letnią.

Pani komisarzowa Grösslowa z panną Olgą.

Mikołaj właśnie co dopiero ukończył „naukę" — jeszcze mu się świeżo olbrzymi koń drewniany przez głowę jak przez mur trojański przeciskał — — płoszył tę myśl uprzykrzoną obserwacją czerwonych liści dębowych (quercus rubrum) — przeświecających pod słońce, jak żywe wino rubinowe —

— gdy oto stanęła przed nim dama w jedwabnej sukni czarnej, ślącej — a pobok niej wyrosła mała płonka —

I pyta pani czarna:

— ojciec twój w domu? — wszakże jesteś Mikołaj — ? —

Zmieszał się chłopiec — niezgrabnie bluzinę obciągnął — zarumienił się — spojrzał na dziew-

czynkę, która dziwacznie mrużyła powieki (białe rzęsy!) — — szurgnął bosemi nogami (lato przecież) — i odrzekł:

— jestem Mikołaj Srebrempisany (— przełknął ślinkę —) tatuś mój, proszę, jest w domu —

— przywitajcie się; to córka moja Olga — podaj rękę chłopczykowi Olgo —

Olga wyciąga rękę — ale tak jakoś, że łokieć do ciała przylepiony — pod prostym kątem przedramię pręży —

Mikołaj dotknął jej palców — były zimne i wilgotne —

— a gdzież to się idzie do twojego tatusia—?—

— tutaj proszę —

Idzie Mikołaj przodem; prowadzi; rad, że nie musi mówić z dziewczynką.

Onieśmiela go ta miejska panna z niebieską kokardą w rudych włosach —.

Wprowadził gości przez sień pod drzwi ojcowe.

Zapukał.

— antre —

— tatusiu goście przyszli.

Więc zwyczajnie — wchodzą — ojciec naprzeciw — kilka kroków — przywitanie —.

Mówi pani:

— słyszałam, że tu taki cudny ogród u pana profesora — a ja miłośniczką jestem kwiatów — pozwoliłam sobie przyjść — — śmiałość moją racz wybaczyć panie profesorze — poparło ją to, że mąż mój jest uczniem, to znaczy — był uczniem....

— moim? —

— ano tak —

— Grössel — Grössel — — ach tak! — oczywiście! — w Tarnowie? — wiem, wiem, przypominam sobie doskonale — prawo sobie obrał? —

— tak, tak — komisarzem jest; — od kilku tygodni jesteśmy w Wołkowicach, to znaczy — ja jestem, bo mąż mój zaraz musiał wyjechać —

— a to córeczka?

— tak —

— jedynaczka?

— tak

— jak mój chłoptaś —

— Olgo — przywitaj się z panem profesorem; — tak — a teraz idź się pobawić z chłopczykiem. — Mikołaj? — prawda? — idźcie się pobawić do ogrodu —

(dalej już do pana Michała)

— w mieście tak się ładnie zieleni, nawet w małym — mury i mury — a ona taka wątła —

— idź Mik z panienką — pokaż jej kwiaty, krzewy —.

Wyszły dzieci —.

Mikołaj przystanął pod balkonem — nieśmiały i bezradny —

Olga poprawiała kokardę.

Stawała na palcach i opadała na pięty.

Mrużyła oczy — spojrzała na Mikołaja:

— no, gdzież te kwiaty?

— Kwiaty? — zdziwił się: — wszędzie —

— nie widzę —

— chodź... nie wiedział jak powiedzieć: panno Olgo —?, czy samo Olgo — ? — wreszcie zdecydował omówić tę kłopotliwość:

— chodźmy! —

ROZDZIAŁ CZWARTY

O WIDZENIU JAKBY PRZEZ SPOCONĄ SZYBĘ. O ŚWIETLE NA BUCIKACH I WAJGELJI; TROJAKA MANJERA TEGO KRZEWU; DAMA BEZ GŁÓWKI; RÓŻOWY DESZCZ KWIATÓW OSYPUJE DZIECI.

Poszli w głąb ogrodu.

— O! — tu masz wajgelję —

— gdzie? —

Zdziwił się! —

Więc już teraz rozwłóczył te dwa krótkie słowa —:

— no — tu —

— nie widzę —

— jakto? —

— krótki mam wzrok —

— co ty mówisz —

— ty? — niech ci będzie ty — tak, krótki mam wzrok, krótkowzroczna jestem, do czytania używam okularów —

— tak jak mój tatuś — — a jak ty krótko widzisz?

— tak! — podsunęła dłoń płaską przed sam nosek —

— a dalej? —

— jak przez spoconą szybę —

—

Stali tego dnia czerwcowego w pełnem świetle popołudniowem.

Było parno.

Po deszczu wczorajszym zieleń nabrała soczystości; — pnie i gałęzie gładkie i polerowne.

Słońce lśniło na liściach — odbijało się od gładkich powierzchni — a z wylśnień tych tworzyła się w atmosferze omgła zielenista.

Buciczki Olgi (— zauważył —) połyskiwały również — najsilniej na koniuszkach: jarzyły się dwa płomyki.

Ponad bucikami do półłydek chudych krasiły się barwne skarpetki.

Nogi gołe ponad kolana.

Granatowa cienka sukienka — odstająca, jak abażur; — bluzeczka biała z niebieską kokardą pod szyją; niebieska też kokarda w rudych włosach — z boku prawego zmotylona.

Rękawki po łokieć spiczasty — ręce dość duże — wąskie — długie —;— na palcu pierścionek (— zdziwił się! —) z czerwonem oczkiem.

Przechyliła się nad trawnikiem (żeby trzewiczków nie zmoczyć — trawa bywa mokra) — podniosła się na palcach — uchwyciła gałązkę krzewu — przyciągnęła konar — — kwiaty pod oczy, blisko — nachyla — przygląda się im, główkę przekręca jak piesek, gdy nasłuchuje skąd głos idzie —

Ręką zrobiła ruch, jakby chciała kwiat zerwać.

Zafrasował się Mikołaj i szybko przestrzegł:

— nie zrywaj — nie można —

— przecież nato są kwiaty —

— nie, — tak, — ale widzisz —

Zawstydził się bardzo:

— poco — niech sobie żyje — popatrz — tyle tu kwiatów opadłych — aż różowo pod krzewem —

— tak? — pozbieraj — pokaż —

Uklęknął i począł zbierać kwiaty do czapki.

—

Wajgelja — Weigelia dervillea Jussieu (od nazwiska botanika francuskiego A. L. de Jussieu; ur. w r. 1748-ym w Lionie; um. w r. 1836-ym w Paryżu) — jest to krzew uroczy!

Kwitnie z końcem maja i początkiem czerwca.

Trojakiej jest manjery: różowy, purpurowy i biały; poniektóre krzewy zakwitają po raz drugi w sierpniu.

Kształt kwiatu gęsto obrastającego wiotkie i długie gałązki — jest osobliwie piękny: wydłużona i wąska u narostu, a w miarę długości rozszerzająca się pokaźnie czarka, kieliszek raczej strzępiasty i wygięty krajem — przypomina — jeśli go właśnie tą rozszerzoną stroną (więc na głowie niejako) postawimy: damę w nadobnej sukience spływającej od szyi aż po stopy; jeno główki brak.

Przybliżywszy do noska kwiat podany jej przez Mikołaja — zauważyła Olga zaraz tę strojność przydatną.

Teraz podobał się jej bardzo — istotnie — bardzo —:

— ach! wiesz co — zabawimy się świetnie — nazbieraj tylko dużo tych kwiatów — zatrzęś drzewem — może jeszcze coś spadnie —

— delikatnie! nie tak mocno!

Za późno to wyrzekł Mikołaj — bo dziewczynka (— dziewczynisko! —) zatrzęsła krzewem napastliwie i gwałtownie — opadł różowy deszcz kwiatów na trawnik, na włosy rude i niebieską kokardę — pokrył woniejącym gradem plecki klęczącego chłopca.

Schyliła się — pomagała zbierać.

Bezmała pełną czapeczkę uciułali.

ROZDZIAŁ PIĄTY

O STOLE KAMIENNYM I PROCESJI BOŻEGO CIAŁA; KOGO MOŻNA BARDZIEJ KOCHAĆ? JAK MOŻNA PRZEMIENIĆ KWIATY W LUDZI; PROCESJA; DZWONY KOŚCIELNE I DZWONKI RĘCZNE; ŚPIEW KWIATÓW; DZIEŃ WAJGELJOWY.

Pod rozłożystym świerkiem, w bliskości młynówki stał stół kamienny (płyta popielatozielona) — przed nim drewniana ławka.

Tam to wtedy usiedli: Olga i Mikołaj.

— będzie procesja —

— dobrze — będzie procesja —

Widział kiedyś procesję Bożego Ciała.

Baldachim — ksiądz w złotościach — z słoneczną monstrancją — dzwony kościelne — małe dzwonki ręczne przed Sakramentem Przenajświętszym — dziewczynki białe sypiące kwiaty — tłumy ludzi — nad niemi, jak widma żywe: chorągwie cechowe — i pochód nieruchomy, płynący na powietrzu: feretronów, obrazów, postaci świętych: — Chrystus z barankiem, Matka Boska w welonie i wieńcu polnych kwiatów na głowie, święty Antoni Padewski, święty Franciszek z Asyżu, święty młodzieniaszek Stanisław Kostka, święta Zyta i t. d.

SPIS ROZDZIAŁÓW

DRUGIEJ CZĘŚCI
ŻYWOTA MIKOŁAJA SREBREMPISANEGO

Str.

Księga pierwsza

SIELANKA

Rozdział pierwszy

zdradzający w kilku słowach wiek Mikołaja Srebrempisanego, poczem asystujemy posiadom i pogwarom pana Michała z wójtem porębiańskim Janem Kowalczykiem, co to jeszcze w sukmanie czarnej chadzał. 1

Rozdział drugi

o tem, jak to język w pisaniu pomaga, o tabliczce łupkowej i rysiku dwubarwnym, o linjach, połączkach, samogłoskach, elementarzu, obrazach, wichrze i słowie magicznem, uśmierzającem wiatr 4

Rozdział trzeci

o czytaniu, w którem kozy, rozmowa i rozmyślania przeplatają się raźno, o przyganie ojcowej i pochwale przepowiednej wójta, oraz o tem, jak to o jednej i tej samej rzeczy dwa rozbieżne zdania bywają. Chodźmy do ogrodu! 10

Rozdział czwarty

mówiący nieco o rodzinie Komendów, osobliwie o panu Vlastimilu i pani Annie, o ich niechęci do pana Michała, o różnych gatunkach mięsa, wreszcie o rozmowach rodziców z synem, prowadzonych pod koniec miesiąca i o żałosnych ich skutkach . . 16

Rozdział piąty

o gościach niedzielnych i o Mikołajowym do nich stosunku, o kosie i zielonym ulu, o wprawianiu się w umiejętność nową i osobliwą, której pierwszym powiernikiem staje się pies 22

Str.

Rozdział szósty

o pisaniu listów, wykoncypowaniu ich i korekcie umiejętnej, poczem zapoznajemy się z treścią pięciu listów oraz ich dalszą historją 26

Rozdział siódmy

o zdumiewającym fragmencie niesłychanie ciekawej historji, o połykaniu ognia celem ochłodzenia się, oraz o przytaknięciu 30

Rozdział ósmy

o mundurze, vel uniformie wuja Wacława, o modzie à la Napoleon III, o koszarach, które były światem naodwrót, o drabinie Jakóbowej i innej; Galicja, Lodomerja, stronnictwa niematakźlistów i niematakdobrzystów i t. d. 32

Rozdział dziewiąty

o dopraszaniu się „na barana", odmowie i zgodzie, oraz o białych chmurach płynących ponad czubami drzew 38

Rozdział dziesiąty

o jeździe szalonej i o tem, co z tego wynikło: wypadek straszny i żałosny; płacz i wrzask poprzedza przebudzenie się gwiazd 41

Rozdział jedenasty

o rozmowie pana Michała z panią Wilhelminą, przerwanej przesuwającym się pod oknem cieniem, o przymusowej samotności i zgryźliwości, pobudzającej do rozważań smętnych oraz do czynnych stwierdzeń, że na frasunek dobry trunek 46

Rozdział dwunasty

o zniknięciu we mgle złocistej, budzącym płaczu i gwałtownym krzyku, o wyjaśnieniu sytuacji, godzącem winie, kotku, dzieweczkach białych, muślinowych firankach, oraz o tem, jak się smutek przeraził. 50

Księga druga
RYCERZ BŁĘDNY I RYCERZ KRZYŻOWY

Str.

Rozdział pierwszy

o tajemnicy, zachwycie i zaciekawieniu wyrastającem z kart pierwszych ksiąg, o ich dobrem przymierzu i wielkiej nowinie, o słowach najwyższych i o ich treści mokrej od łez 61

Rozdział drugi

o dziejach błędnego rycerza, przygodach barwnych i niezrozumiałych: kukły, owce, wiatraki, o wyczerpujących snach książki oraz o zadośćuczynieniu . 66

Rozdział trzeci

o przyjacielu serdecznym, o dwóch imionach człowieka, o naukach i przykazaniach cudotwórcy z Manszy, o pasowaniu na giermka w służbie Boga i człowieka, oraz o rodzicach i rodzeństwie czynu; mówimy Mikołajowi: dzieńdobry 70

Rozdział czwarty

o różach podeptanych; złym bliźnim, żałości, o utraconym spokoju, ścianie nieochronionej, czadzie dogasających zórz, oraz o wilgnych śladach kaczych nóg 74

Rozdział piąty

o obopólnem zbudzeniu się, śnie Rosynanta, gotowości bojowej rycerza błędnego, który z pod dębu przesiada się na fotel, skąd dyszkur pouczający prowadzi, o sytuacji groźnej, która wynikła z zapytań, oraz o potrząśnieniu za ramię 79

Rozdział szósty

o odejściu Donkiszota, strapieniach i opustoszeniu, o cieniu błędnego rycerza i słowie raz pierwszy dosłyszanem, o pokoju uniesionym przez chmury, krzyżowym liście i oczach ludzkich modrych i nagrzanych jak niebo sierpniowe 87

Str.

Rozdział siódmy

o trójbarwnej chorągwi szumiącej nad namiotem rycerza błędnego, o rozmowie z świętą Genowefą idącą miedzą wieczorną, na której posnęły stokrotki, o Piątaczku i kolorze właściwym miłości, oraz o słupie światła rosnącym wzwyż jak palma 93

Rozdział ósmy

o ostatnim rycerzu krzyżowym, o gnieździe bocianiem, głosie - wiewiórce kąśliwej, o poczwórnym okrzyku, modlitwie Pańskiej ujętej w litanję, oraz o wizji białego miasta, nad którem lśni złoty krzyż. 98

Rozdział dziewiąty

o dniach wypełnionych, ponownem odczytywaniu tytułów i penetracji rycin okładkowych, przyczem napotykamy słowa tajemnicze, o odłożeniu ich wytłumaczenia na dzień jutrzejszy; tymczasem zakwitają czarne maki 104

Księga trzecia

SZLAKIEM STRAGANÓW

Rozdział pierwszy

o nadziei ugrzęzłej w błocie, rejteradzie z mokrych pól i gór ociekających, o przytułkach suchych i bezpiecznych, o oknach z mgieł, przestrzeni szemrzącej i skrzypie gęsiego pióra. Co z tego wynikło? — Wybieramy się w podróż pomiędzy stragany. Uwaga! Słuchajmy 109

Rozdział drugi

o drukarzach Woltynach w ogólności, a w szczególności o Łukaszu Woltynie, jako do Wołkowic przybył i krzątliwie około książek zabiegał, o służbach bożych, drogach do szczęścia, przewodnikach dusz, początkach życia niebieskiego na ziemi, a oso-

Str.

bliwie o snopku miry, żywym różańcu, głosie synogarlicy, przeraźliwem echu i zodjaku czyli drodze do wieczności 113

Rozdział trzeci

o niepomijaniu dziedzin doczesnych, o nauce czytania, prawidłach wychowania domowego, praktyce gospodarskiej i prognostykach czułym gospodarzom wielce potrzebnych poczem rymowane wdzięcznie przypowieści się kładą o własnościach każdego miesiąca, o ordynansie roboty, wieszczbie wiejskiej 119

Rozdział czwarty

o ratowaniu osób nagłą utratą życia zagrożonych, o szanowaniu siebie i swego stanu oraz o szczęśliwym terno-loterzyście, o wielkich i zawiłych utajonych w ambach i ternach tajemnicach, kryjących nauki moralne, wreszcie o tablicy szczęścia i kwadracie magicznym 126

Rozdział piąty

streszczający historje arcyczułe i przestraszne o wielu zacnych niewiastach, mężach walecznych, jako to: o Genowefie, o Magelonie, Helenie, także i o nieprzepłaconym pierścieniu, Robinzonie sławnym i nieśmiertelnym, a zwłaszcza o hrabinie na Toggenburgu, cnotliwej Icie, poczem idą żywoty świętej Jadwigi i świętego Patrycjusza, proroctwa Michaldy królowej ze Saby; rozdział kończy się śpiewnie 133

Księga czwarta

NA DOLINIE ZAWIERUCHA

Rozdział pierwszy

o przezwyciężeniu klatki schodowej, o niewyprawnej kuchni, legendzie ognia, obłędzie stąpającym, o pokoju niebieskim, jego mieszkańcach licznych na półkach bytujących; tajemnicze litery i zdania, dziwy. 143

Str.

Rozdział drugi

o żywych książkach, foljałach zastępujących nogę; złotej pozórzce; na wyzwolenie Ziemi Świętej: krucjata niewiniątek, ich męczeństwo chwalebne; czem stają się zdania, czem myśli a czem śnienie . . 150

Rozdział trzeci

o świetlicy, jej oknach czarownych, podłodze, lustrze, wazie i młodzieńcu siedzącym niewygodnie, o meblach medaljonowych, samotnej kanapie i stole centralnym, bukiet makartowski; piec i białe panie; ich los żałosny, wreszcie: obrazy i poemat o zapachu pierwiosnków 154

Rozdział czwarty

o pokoju dalszym, jego zasobności rozmaitej, a zwłaszcza o kotwicy koniecznej; kilka słów o balkonie, o przyczynie jego niedostępności, gadatliwości drzwi i skutecznym rad sposobie, dowiadujemy się co znaczy „Mały Borysław" 161

Rozdział piąty

o soczystej gruszce, strapieniach i radzie niewczesnej, oraz co z tego wynikło; słyszymy hasło z za okna i jego echo wśród gwiazd; chytry wybieg; udało się: będą dzieci spać! Uszy po sobie 164

Rozdział szósty

o tem, że dotąd dzban wodę nosi, dopóki się ucho nie urwie; nieszczęsne kraty, gniew; kto został zwymyślany? Czy można utyć z pokarmu, którego się nie zjadło? 170

Rozdział siódmy

o zacnym księdzu Jakóbie Caneau, o radosnych odwiedzinach, gościnnej krzątaninie, oraz o przedziwnej przygodzie medaljonu pewnego, który z Wołkowic przez Mucharz do Suchej powędrował i jaka z tego obraza wyniknęła 173

Str.

Rozdział ósmy

o tem jak ksiądz Jakób Caneau i pan Michał raczą się winem i rymami, jak to „Ci, którzy jasność żegnają zniknioną" powinni wierzyć w „brzask nowych wiosen lub nowych stuleci"; pokój w czerwonej omgle 182

Rozdział dziewiąty

o chytrym świadku, rozmowach z sobą, śpiewie przy piecu, o czterech zwrotkach czułej pieśni, wyjściu księdza Jakóba Caneau; bezmiar okryć; powrotna droga; Mikołaj jest już w łóżku . . . 187

Księga piąta

DZIEŃ WAJGELJOWY

Rozdział pierwszy

o innych gościach pana Michałowych, skąd tyle mundurów? Manewry jesienne; marsz, ćwiczenia i t. d. Przypomina się afisz „Wnętrza"; chętka niewczesna: Tymko Padurra i zgromadzenie; zgoda 197

Rozdział drugi

jeszcze o Amadeuszu Griksie i Łazarze Popowie, o ich zamiłowaniu do muzyki i do kwiatów; ich patrjotyzm; naco komu kwiaty potrzebne; przez płoty i rowy; nacieszcie się 202

Rozdział trzeci

o nowych osobach, wkraczających w krąg porębiański, o dziewczynce mrużącej dziwacznie oczy, o jej ręce zimnej i wilgotnej; pierwsza rozmowa pani Grössl z panem Michałem; dzieci idą do ogrodu 206

Str.

Rozdział czwarty

o widzeniu jakby przez spoconą szybę, o świetle na bucikach i wajgelji; trojaka manjera tego krzewu; damy bez główki; różowy deszcz kwiatów osypuje dzieci 210

Rozdział piąty

o stole kamiennym i procesji Bożego Ciała; kogo można bardziej kochać? jak można przemienić kwiaty w ludzi; procesja; dzwony kościelne i dzwonki ręczne; śpiew kwiatów; dzień wajgeljowy . . 214

Księga szósta

NA ZEGARZE KWIATOWYM GODZINA PRZYLASZCZKI

Rozdział pierwszy

o częstych odwiedzinach pani komisarzowej; zaintrygowanie: zegarem kwiatowym; prelekcja i wyszczególnienie roślin, wedle których każdy snadnie czas odczytać może 221

Rozdział drugi

o łódce żaglowej; nie klei się zabawa! Hejże na drabinę! Mikołaj popisuje się zręcznością i siłą zdumiewającą; druga wspinaczka z dużem obciążeniem; za ciężko! żałosne skutki nadmiernego wysiłku . 228

Rozdział trzeci

o boleściwej markotności i o szukaniu pomocy; Antonina naprawia wór i odczynia uroki; jedyny sposób na przepłoszenie bólu: zataczanie szybkich kół wokół twarzy; pomaga! 235

Str.

Rozdział czwarty

o ogrodach północnych Józefa Strumiłły; zachwyty i chęci; emblematyczne znaczenie roślin i kwiatów; historyczny zarys języka kwiatów: czasy dzikości, Grecja, Wschód, Indje, Francja, Polska . . . 237

Rozdział piąty

o dziejach kwiatowych przekładanych masłem i zapijanych kawą; rejestr długi nazw i ich znaczeń; prośba spóźniona znacznie; doskonała pamięć Olgi 244

Księga siódma

KIEDY GOŚCIE PRZYJADĄ?

Rozdział pierwszy

o łodzi i podróżach, sierpniowym listopadzie, nieopatrznem kwitnieniu i liściach widmach; inflacja, dewaluacja, bankructwo, życie z kapitału, życie nad stan! wreszcie: o wieczorach chłodnych i szronie szczerzącym zęby 257

Rozdział drugi

o wspaniałym sprzęcie wodnym, odwracaniu osi świata, oraz o zgodzie przyjaznej; statek wyrusza! Przeszkody; moment kulminacyjny; dobicie do portu; dalsza podróż 261

Rozdział trzeci

o podróżach, rafach ominiętych, strefach krytycznych; zło czyha na człowieka; straszny wypadek; Mikołaj biegnie na pomoc; ratunek; biegną w cwał do domu; nagły tupot dziecięcych nóg 265

Rozdział czwarty

o wyłuskaniu prawdy, strachu i płaczu, o sercu, które dzwoni jak wieża, oraz o skuteczności kwiatu lipowego; Olga śpi jak suseł; Mikołaja trapią morzyska; góry piaskowe; stonoga; torfowisko; sny czekają swej kolei 270

Str.

Rozdział piąty

o poranku dnia następnego; słowa Olgi; wąż kurzu; więc to ostatni raz Olga była w Porębie Murowanej? Dlaczego? Raz jeden pyta o to Mikołaj, potem już nigdy 274

Księga ósma

Z POD MŁYŃSKICH KAMIENI

Rozdział pierwszy

o zimie raptownej i mrozie siarczystym; Mikołaj pisze bardzo długi list; smutek i tęsknota; czyta dużo; wrażliwość; powierzchnie przedmiotów; suchość rąk, kolan i gardła, o zgłosce: k. . . . 279

Rozdział drugi

o papierach kolorowych, szkłach barwnych i piórach sójkowych; kolorowe myśli, czucia, słowa i litery; głosy-pogłosy zbliska i zdala: łzy radosne, przestrzeń pełna drzwi opasuje Mikołaja wstęgą grającej bieli 284

Rozdział trzeci

o pierścieniu saturnowym, o kwiatach niewidocznych, o woniach istotnych i urojonych, oraz o młynarzu ubielonym mąką; wyłom w murze; notowania skrupulatne; rozmaite gatunki ziarn i przemiału . . 288

Rozdział czwarty

o lękach, trwogach i strachach, o „cornym" i mazi, oraz o skutecznym rad sposobie; świat widzialny i niewidzialny; sień i piwnica; droga zarosła trawą trwa w przestrzeni na zawsze 292

Rozdział piąty

podający krótką historję domu porębiańskiego; dowiadujemy się cośniecoś o ankrach i, co ważniejsze, o izbie, w której straszy zjawa Markusa Libermana; dukat belgijski i inne drobiazgi 296

Str.

Rozdział szósty

o drugiem zjawisku nadprzyrodzonem, o zegarach, tykających w ścianach, oraz o tem jakie z tego snuto wróżby; jak je wita Antonina? co o tem myśli pan Michał? ściana uprzywilejowana . . 303

Rozdział siódmy

o trzeciem zjawisku najgroźniejszem; sięgamy w głąb historji, dowiadujemy się o strasznym czynie byłego dziedzica Poręby Murowanej Augusta Skorupki Padlewskiego, o trzykroć na domu zjawionym obrazie; zła wróżba; sobowtór 306

Rozdział ósmy

o nowym krajobrazie ducha Mikołajowego, o modlitwach pierwszych i mylnych zapatrywaniach na słowo „poncki"; walki dwu sił; postać klęcząca wtopiona w świt; ukojenie; o ukochaniu największem; oczy za które trzeba się modlić 316

UTWORY EMILA ZEGADŁOWICZA:

DROGĄ ŻYCIA — poezje; 1908
NAD RZEKĄ — poemat; 1910
POWRÓT — poezje i poematy; 1911
IMAGINES — poezje; 1918
ODEJŚCIE RALFA MOORA — poemat; 1919
WIATR WIOSENNY — ballady; 1920
„ „ — wydanie drugie; 1927
NOC ŚWIĘTOJAŃSKA — ballady wtóre; 1921
„ „ — wydanie drugie; 1927
U DNIA, KTÓREGO NIE ZNAM, STOJĘ BRAM — poemat; 1921
KOLĘDZIOŁKI BESKIDZKIE — poezje; 1923
ZIELONE ŚWIĘTA — poezje; 1923
POWSINOGI BESKIDZKIE — ballady; 1923
„ „ — wydanie drugie; 1925
„ „ — wydanie trzecie; 1927
BALLADA O WOWRZE — 1924
„ „ „ — wydanie drugie; 1928
PRZYJDŹ KRÓLESTWO TWOJE — poemat; 1924
WIELKA NOWINA — ballady; 1924
„ „ — wydanie drugie; 1927
NOC ŚWIĘTEGO JANA EWANGELISTY — misterjum balladowe; 1924
KANTYCZKA ROSISTA — poemat; 1924
NAWIEDZENI — misterjum balladowe; 1924
LAMPKA OLIWNA — tragedja; 1924
GODY PASTERSKIE — ballady; 1924
„ „ — wydanie drugie; 1927

A tu — z tych kwiatów — ? — cóż ona wymyśli — ta dziewczynka z głową rudą, płonącą pomiędzy kokardami? — ta krótkowzroczna, mrużąca ślepka (coś w niej jest pogardliwego!) dziewczynka.

Przyjrzał się jej dokładniej.

Wydała mu się bardzo ładna — „mógłbym ją tak kochać jak tatusia" — przemknęło mu przez myśl — „skądże znowu!" karcił siebie — „jak tatusia? — tak nikogo kochać nie można" —

Olga spojrzała nagle na niego i zapytała:

— o czem ty myślisz — ? —

— ja? — nic — tak tylko —

— więc baw się —

— dobrze —

Zgrabnie wyjmowała z kieliszków słupek dużą główką pałczaty i wkładała go w wąski koniec kwiatu — tak, że tworzył główkę na strojnym korpusie.

— Widzisz — jacy ludzie —

Istotnie!

Bardzo to zgrabnie i udatnie wymyśliła i wykonała.

Tak tedy narobili tych ludzików kwietnych sporo.

Potem ustawili ich w szereg — jeden — drugi — dziesiąty —

Czapka Mikołajowa, na skraju stołu ułożona sprytnie, była kościołem —

Tłumy wychodziły z niego —

Z traw ułożyli przemyślnie baldachim i feretrony —

Ksiądz miał główkę z jaskru — świecił jak słońce pod listkiem lipowym —

Liść lipowy drżał nad nim jak serce zielone —

Było ze wszech miar cudnie!

— a teraz dzwony —

— muszą być dzwony —

— ty będziesz kościelnym —

— dobrze —

Więc poważnieje Mikołaj.

Sprawa bardzo serjo!

Odpowiedzialna sprawa!

Wydyma policzki — wysuwa wargi — rytmicznie dzwoni basem:

— bim-bam — bim-bam — bim-bam —

Pochylają się chorągwie — z bramy kościelnej wychodzą na rynek kamienny, zielony —

Sypie się ludu chmara!

Już i ksiądz z Przenajświętszym Sakramentem!

Więc też już i Olga — za tę asystę najbliższą cienkim głosikiem, całkiem srebrzystym — dzwoni:

— din-di-lin — din-di-lin — din-di-lin —

Procesja idzie naokoło rynku wpoprzek całego stołu — w dzwonieniach zasłuchana i rozmodlona do głębi —

A tu z wieży wysokiej i z przed baldachimu — dzwony zanoszą się w kołysaniu:

— bim-bam — bim-bam — bim-bam —

a te drugie, małe, ręczne, srebrne, prędkie — dogadują cienko:

— din-di-lin — din-di-lin — din-di-lin —
Chór-wtór — brzęk-pobrzęk —
Huk-bas — dźwięk-jęk-strzęk —
Raz wraz — prędko-cienko-gwarnie —

A potem wszystkie kwiaty zaśpiewały na cały głos:

Serdeczna Matko, opiekunko ludzi —
niech Cię płacz sierot do litości wzbudzi —

Tak to dzień pierwszego spotkania się Mikołaja z Olgą był słoneczny, wajgeljowy, rozdzwoniony i śpiewny.

— tiin-di-lin — dia-di-lin — dia-di-lin —
Chór-wtór — brzęk-pobrzęk —
Huk-bas — dźwięk-jęk-strzęk —
Raz wraz — prędko-cienko-gwarnie —
A potem wszystkie kwiaty zaśpiewały na cały głos:

Serdeczna Matko, opiekunko ludzi —
niech Cię płacz sierot do litości wzbudzi —

Tak to dzień pierwszego spotkania się Mikołaja z Olgą był słoneczny, wajgeljowy, rozdzwoniony i śpiewny.

KSIĘGA SZÓSTA

NA ZEGARZE KWIATOWYM GODZINA PRZYLASZCZKI...

KSIĘGA SZÓSTA

NA ZEGARZE KWIATOWYM GODZINA PRZYLASZCZKI...

ROZDZIAŁ PIERWSZY

O CZĘSTYCH ODWIEDZINACH PANI KOMISARZOWEJ; ZAINTRYGOWANIE: ZEGAREM KWIATOWYM; PRELEKCJA I WYSZCZEGÓLNIENIE ROŚLIN, WEDLE KTÓRYCH KAŻDY SNADNIE CZAS ODCZYTAĆ MOŻE.

Odtąd już często pani komisarzowa Grösslowa z córeczką Olgą zachodziła do Poręby Murowanej.

Pan Michał polubił ją bardzo.

Rozmawiali o ogrodach, krzewach, drzewach, kwiatach — rzadko o czem innem.

Pani Grösslowa była zapaloną ogrodniczką.

Nie brakło więc nigdy tematu — owszem, było go poddostatkiem.

Tak też któregoś dnia przyszła z wiadomością gwałtowną —:

— ach, mam coś nowego dla pana profesora —

— no, cóż takiego? —

— ano, niech pan zgadnie —

— skądże —

— a właśnie! —

— no? —

— ni mniej, ni więcej — tylko o zegarach kwiatowych —

— o zegarach kwiatowych — ? —
— tak, o zegarach kwiatowych —
— a cóż to jest — ? —
— ano, proszę posłuchać!

Odwinęła z powijaków (zielony papier) książkę....

(— dzieci poszły swoim zwyczajem do ogrodu)

(— pan Michał i pani Grössel siedzieli na balkonie —)

....otworzyła w miejscu zaznaczonem pożółkłem źdźbłem trawy — poprawiła się w wygodnem krześle — założyła szkła („cwiker") w złotej oprawie (zwisa cienki, drżący za każdym ruchem łańcuszek złoty), i zaczęła —:

— uwaga! — proszę posłuchać —
— ależ! — zamieniam się w ucho olbrzymie —
— doskonale! — tak właśnie trzeba —
— więc! — rzecz o zegarach kwiatowych —
— zegarach! —
— kwiatowych! —
— właśnie!

— Otóż: ....gdy rośliny zbliżają się do swej doskonałości i wegetacja najsilniej w nich działa, wtedy następuje czas kwitnienia, który się nazywa radością roślin, Flos est plantarum gaudium....

....Każdy niemal miesiąc w roku zdobią inne kwiaty, i tak: kiedy mroźny styczeń i luty więżą nas w mieszkaniu, wówczas Ciemiernik, Helleborus niger, z pod śniegu już rozwija swe biało-błyszczące kwiaty, a w marcu podług stanu powietrza,

pokazuje nam swój kielich Śnieguła, Galanthus nivalis....

....Kwiecień jest bogatszy w kwiaty, bo w tym miesiącu Przylaszczka, Anemone hepatica, Wilcze łyko, Daphne mesereum i t. d., a nawet Fiołek, Viola odorata, gdy ranna wiosna, swój wonny ofiaruje kwiatek....

...W maju Pierwiosnki, Primula veris, Łyszczaki, Primula auricula, różne kwiaty cebulkowe, Bzy i t. d. zaczynają zdobić ogrody w tym miesiącu; drzewa owocowe, spirei i inne krzewy okazują się w całej świetności....

....Następne letnie miesiące obficie dostarczają kwiatów z całą okazałością: aż nakoniec Zimowit, Colchicum autumnale, żegna się z jesienią, i tylko Astry długotrwałe, perennes, lub Podbiał wonny Tussilago fragrans, jeszcze przypominają kończące się przyjemności ogrodowe....

....Niemniej różne są pory kwitnienia, to jest, czas w którym kwiaty otwarte stoją; Antheris; takie naprzemian zamykania i otwierania się z wpływu słońca; co się nazywa Flores solares....

...Niektóre, jak Flores meteorici, stosują się do stanu pogody; inne, Flores tropici, do długości i krótkości dnia, a nakoniec, Flores aequinoctiales, otwierają się lub zamykają w pewnych godzinach i dają zasadę zegarom kwiatowym, Horologium florae....

....Podług twierdzenia botaników, to stulanie się korony kwiatów ma służyć dla ochrony naczyń

płciowych od wpływu obcych istot, i dlatego wiele z nich nie mogąc znieść mocnych promieni słonecznych, wcześniej się zamykają....

....Rodzaje Konwolwulów, Ipomeów, szczególniej to dowodzą, gdyż tylko do godziny jedenastej zrana są otwarte....

....Mezembryantemy otwierają się około południa i dlatego Południkami są nazwane....

....Inne, jak naprzykład gatunki Mirabilisów otwierają się dopiero ku wieczorowi i kwitną przez noc całą; wnosić stąd należy, iż ich delikatne części promieni słonecznych znieść nie mogą....

....Te to przymioty kwiatów, oraz własności otwierania się i zamykania o pewnych godzinach, dały pomysł ułożenia z nich zegara kwiatowego....

....Ktoby więc życzył mieć takowy, niechaj zgromadzi podług tabeli niżej wyrażonej wszystkie rośliny, lub niektóre z nich w miejscu jednem — będą mu oznaczać czas i do regulowania zegarków posłużyć mu mogą....

ZEGAR KWIATOWY.

	Otwierają się z rana		Zamykają się po południu	
	Godzina	Minuta	Godzina	Minuta
Tragopogon luteum, Kozibrod żółty	3	4	9	10
Leontodon serotinum, Brodawnik późny	3	0	12	1

	Otwierają się z rana		Zamykają się po południu	
	Godzina	Minuta	Godzina	Minuta
Crepis tectorum, Pępawa pospolita	4	0	11	0
Picris echioides, Gorycz żmijówka	4	4	12	0
Crepis alpina, Pępawa alpejska	4	5	12	0
Cichorium lintybus, Podróżnik	4	5	8	9
Hemerocallis fulva, Liljowiec rudy	5	0	7	0
Papaver nudicaule, Mak łodygonogi	5	0	7	0
Sonchus laevis, Mleczaj gładki	5	0	7	8
Sonchus alpinus, Mleczaj alpejski	5	0	12	0
Sonchus agrestis, Mlecz polny	5	0	11	0
Convolvulus arvensis, Wilec powójka	5	6	4	5
Hieratium rubrum, Jastrzębiec czerwony . . .	5-6	0	4	0
Lapsana communis, Łoczyga pospolita . . .	5	6	10	0
Leontodon taraxacum, Brodawnik mleczny . . .	6-7	6	8	9

	Otwierają się z rana		Zamykają się po południu	
	Godzina	Minuta	Godzina	Minuta
Crepis rubra, Pępawa czerwona	7	0	1	0
Nymphaea alba, Grzybień biały	7	0	5	0
Anthericum album, Pajęcznica biała	7	0	4	0
Lactuca sativa, sałata ogrodowa	7	0	10	0
Tagetes erecta, Szarańcza	7	0	3	4
Anagallis arvensis, Kurzyślad	7	8	2	3
Hiratium pilosella, Jastrzębiec kosmaczek . . .	8	0	2	0
Mesembryanthemum barbatum, Południk . . .	8	0	2	0
Dianthus prolifer, Goździk główkowy	8	0	1	0
Calendula arvensis, Nogiet polny	9	0	3	0
Arenaria rubra, Piaskowe ziele	9	10	2	3
Portulaca oleracea, Kurza noga	9	10	11	12
Malva caroliniana, Ślaz karoliński	9	10	12	1

	Otwierają się z rana		Zamykają się po południu	
	Godzina	Minuta	Godzina	Minuta
Stellaria media, Gwiazdownica	9	10	9	10
Mesembryanthemum cristalinum, Południk lokowaty	10	0	4	0

ROZDZIAŁ DRUGI

O ŁÓDCE ŻAGLOWEJ; NIE KLEI SIĘ ZABAWA! HEJŻE NA DRABINĘ! MIKOŁAJ POPISUJE SIĘ ZRĘCZNOŚCIĄ I SIŁĄ ZDUMIEWAJĄCĄ; DRUGA WSPINACZKA Z DUŻEM OBCIĄŻENIEM; ZA CIĘŻKO! ŻAŁOSNE SKUTKI NADMIERNEGO WYSIŁKU.

Olga przyniosła Mikołajowi w prezencie śliczną łódkę żaglową.

(— z balkonu sypały się donośnie nazwy roślin i cyfry godzin —)

Pobiegli więc nad stawek i tam ostrożnie i przezornie spuścili statek na wody głębokie.

Łódka — wodna dama — połączona była z lądem stałym sznurkiem, który przychodził z rąk do rąk.

Raz chłopiec pociągał: — łódka pruła żwawo toń wodną.

Drugi raz dziewczynka holowała statek do przystani.

Lecz zabawa dnia tego wlokła się leniwie — brak było usposobienia podróżniczego.

Po krótkiej naradzie — przywiązali łódź do leszczyny nadbrzeżnej i pobiegli (spisek!) ku stodole.

Tamto po jakiejś, widać, wiosennej naprawie dachu — stała, oparta o strzechę, drabina wysoka.

Oddawna wiedział o niej Mikołaj!

W chwilach wolnych i ochotnych rozmaite a przemyślne wyprawiał na niej „sztuki".

Najważniejsza z tych „sztuk", której doskonała umiejętność wzbijała go w dumę słuszną i zasłużoną była tego rodzaju:

— wiadomo, na drabinę wychodzi się po szczeblach; — zwyczajnie, stawia się nogę na jednym — ręką chwyta się za wyższy (wedle wzrostu i możności zasięgu ręki) — podciąga się drugą nogę — no i tak dalej aż do skutku; — sprawa to zwyczajna; prawie każdy to potrafi.

Lecz wyjść — i to aż pod dach!! — po *drugiej stronie* drabiny — to dopiero sztuka!

Ręce chwytają się od spodu szczebli — nogi to samo — właściwie cztery ręce — nóg wtedy niema! — całe ciało zwisa niczem wór!

Na to trzeba siły, wprawy, śmiałości i zręczności nielada!

Kunszt ten (— naukowo możnaby go nazwać: drabinowo-drugo-stronny), należy przyznać, posiadał Mikołaj w pełni, opanował wytrawnie i niechybnie.

Z nietajonym zachwytem, zdumieniem i podziwem przypatrywała się Olga ewolucjom jego i elukubracjom.

Klaskała w dłonie z radości!

Wykrzykiwała: — jeszcze! jeszcze!

Więc piął się Mikołaj, dumny i rad, że się to towarzyszce podoba, a nawet imponuje — coraz wyżej.

Zgrzany i zdyszany dotarł aż pod sam dach; — a dach stodołowy był wysoki!

Tam odpoczywał chwilę w tej pozycji zwisającej.

Ręce go bolały i w głowie nieco szumiało, — lecz spokojnie, powolnym i grubym głosem zauważył tam — z pod okapu —:

— lubię tak! — bardzo lubię! — cały dzień mógłbym tak wisieć —

— jak leniwiec —

— kto? —

Starał się ją znaleźć wzrokiem — nieboraczkę — na ziemi stojącą!

— no leniwiec! — nie znasz? —

— ach, prawda!

Przypomniał sobie to zwierzę z jakiejś książki ojcowej; istotnie! — jest w tej pozycji niejakie podobieństwo.

Postarał się też zaraz uprawomocnić porównanie korzystnie dla siebie —:

— wiesz przecie, że to bardzo, strasznie silne zwierzę! —

Nie odpowiedziała Olga, — bo tymczasem sposobem zwyczajnym „po ludzku" wyszła na drabinę i przystanęła twarzą w twarz przed Mikołajem —:

— witaj, jak się masz —

— dzieńdobry pani — jestem w domu — proszę — pogadajmy —

— ano dobrze, pomówmy —

Zanim się spostrzegł — poczęła go łaskotać w nos dużem źdźbłem trawy, które sobie już z złośliwą przemyślnością na tę podróż zabrała —;— miała to być, oczywiście, kara za wywyższanie się! (— nie zdawała sobie zresztą z tego sprawy —)

Łachotało strasznie, „kręciło" w nosie potwornie — a tu ani rusz podrapać się!

Cóż było robić? — Zlazł przeto prędko — tyle jedynie, że w drodze powrotnej zdołał ją uszczypnąć w nogę —; dobre i to!

Tymczasem Olga zsunęła się również z drabiny na ziemię.

— wielka mi sztuka! — pochełpiał Mikołaj — wielka mi sztuka tak jak człowiek na drabinę wyłazić — i dopiero łechtać! — sprobuj tak jak ja! —

Udała że nie słyszy; — a dla tem skuteczniejszego uśpienia uwagi chłopca — uznało w niej za potrzebne (to „coś": instynkt) „podbić mu bębenka" —:

— istotnie jesteś bardzo silny i zgrabny —

— ćwiczę się, to stąd — patrz! — jaki mam muskuł! —

Zgiął rękę — palce zacisnął w pięść — naprężył się —:

— spróbuj! — dotknij jaki twardy! —

Musnęła palcami (zimne i wilgotne) ramię — coś-nie-coś się tam muskuł wzgórzył — mało-niewiele —

— jej! — zdziwiła się.

Rozparło go:

— jabym i ciebie wyniósł na drabinę tym sposobem —

— mnie? — nie wierzę!

— zobaczymy!

Wytłumaczył jej, jak się ma uwiesić na nim — gdy już będzie na niejakiej wysokości —;— wszystko dokumentnie wyłuszczył.

Dobrze!

Tak po raz drugi począł wspinaczkę leniwcowym procederem.

Był już na szczeblu czwartym; zawołał:

— teraz —

Olga objęła go rękoma za piersi, a nogami zahaczyła się na kolanach chłopięcych.

Było bardzo ciężko!

Bardzo!

Lecz ambicja!!

Nic!

Gramolił się wzwyż!

Najgorsze, że piersi naciskane zbytnio nie mogły powietrza dosyta zachwycić.

Otwartemi ustami łapał dech, jak ryba z wody wyjęta.

Ba! nawet drzewo stwierdzało na swój sposób, że za ciężko, stanowczo za ciężko!

Poskrzypiwały szczeble: któż widział! któż tak widział!!

Dziewczynka, jak dziewczynka, cóż ona tam wie!

Niby-to i dobre serduszko ma, owszem, ale się ta dobroć zatraca w tem o sobie tylko myśleniu.

Nawet ją bawi ta wspinaczka.

Doskonała zabawa!

Pokrzykuje: — świetnie! świetnie!

Już tak tem dwuciałem siłą się pod nawis strzechy, — gdy nagle Mikołaj uczuł ból dojmujący w okolicy opony brzusznej.

Omal nie puścił szczebla!

Tak mu dojęło dotkliwie!

Wydechnął jękliwie:

— schodzimy —

— już? —

Nie odpowiedział.

Prędko, jak najprędzej czworaczył się nadół.

Wreszcie!

Nogi dotknęły ziemi.

Odwinęła się z niego.

Ulga!

Lecz ból nie ustawał.

Aż się gdzieś ku krzyżom gnieździł i wyostrzał!

Przysiadł na trawie.

— co ci jest? — pobladłeś —

— nic; boli trochę —

— skaleczyłeś się? —

— nie —

— no to co? —

— tu mnie boli — wskazał na piersi i brzuch.

— oj! —

— odpocznę — — przejdzie —.

Istotnie pobladł bardzo.

Zsiniaczyły się na skroniach żyły, te, co to na „niedobre chowanie się" wskazywać ponoć mają.

Zwinął się w sobie.

Dłonie przyciskał kurczowo do miejsca bolącego.

Olga zmartwiła się mocno.

ROZDZIAŁ TRZECI

O BOLEŚCIWEJ MARKOTNOŚCI I O SZUKANIU POMOCY; ANTONINA NAPRAWIA WÓR I ODCZYNIA UROKI; JEDYNY SPOSÓB NA PRZEPŁOSZENIE BÓLU: ZATACZANIE SZYBKICH KÓŁ WOKÓŁ TWARZY; POMAGA!

Milczeli przykucnięci obok siebie.

— to przeze mnie, to wszystko przeze mnie — rzekła Olga i łzy jej do oczu nadpłynęły obfite.

— skądże! — — chodźmy do kuchni — napiję się wody —

Poszli!

W kuchni zastali Antoninę.

Naprawiała wór; szpagatem skrupulatnie zaszywała pęknięcia na szwach, a zestrzępione dziury łatała dużemi skrawami płótna.

Szwy, które wyprowadzała ninie zgrubiałemi palcami dużą zakrzywioną iglicą, były rozstawne jak pocztowe konie.

Szykowała ten worek dla pasterza Wojtka Moskwika.

Wiadomo — przyda się ten zgrzebny habit na deszczowe paszenie — „poco mo moknonć" — „mokry ziąb odbiero rozum".

Właśnie weszły dzieci.

— cóz zaś kcecie — zazrzędziła — i uśmiechnęła się przyjaźnie zmarszczkami rozbiegłemi.

— kce sie wody napić — pogwaruje Mikołaj.

Zęby z bólu zaciska.

— to se weś — hań jes kwaterka blasano, a woda, wiadomo, w becce —

— jakosi mnie, wiecie, boli —.

Użala się i w pomoc pewną wierzy.

— ka? —

— hawoj —

— w dołku? —

— no! —

— pewnie cie kto urzek — ckoj — zarosinek spenetrujemy —

Odłożyła worek — wbiła przezornie igłę w wór, żeby się nie wysmuknęła — jak już raz taka spadnie, choćby i wielgaśna — „to ślus" — szukaj wiatra w polu; możesz do jutra szukać, albo i do pojutrza —

Podeszła w stronę pieca — nabrała wody do garnka i rzuciła w nią węgiel z polepy i zuchelek chleba.

Patrzy — pilnie patrzy —

Co też wypłynie?

Jak węgiel to babski urok!

Jak chleb — chłopski!

A wedle tego potem zabieg trza uczynić odpowiedni.

Patrzy tedy.

Jakoś nic.

Chleb i węgiel leżą na dnie; — jeno się woda przymąciła.

Czekała jeszcze chwilę; — potem wychlustnęła wszystko pod blachę na palenisko (gotowała kawę podwieczorkową dla gości) —

— cheba nie urok —

Dzieci przypatrywały się gorliwie temu czarnoksięstwu niewinnemu.

— nic niewiadomo! — to ci poradze — na wselki sposób skutecny lek — przezegnoj się — tak — a tymczasem lewom ręką warciutko — jak ino mozes noprędzej — zatocoj kółecka dokoła tworzy — a zacynoj od lewej strony — bez coło — wele prawego ucha — ku brodzie — zasiok pod lewe ucho — ku skroni; — warciutko ze dwaścia razy — zacynoj — pomoze — bedzies widzioł —

Wysłuchał Mikołaj.

Zapamiętał.

— no, w imię Boże — zacynoj —

Przeżegnał się.

Lewą rękę przy skroni ustawia — zatoczył nią wokół twarzy koło raz — drugi — trzeci —

— warcij — warcij! — przyganiała gorliwie Antonina.

Więc też migała ręka jak nakręcona!

Antonina liczyła —:

— roz, dwa, trzy — — juz zwyz dwaścia!

— no cóz? — ulzyło ci? —

— lepi mi —

— nie boli — ? —

— nie! —

— zawdy zelzy —

Olga — na wszelki wypadek — czyniła to samo co i Mikołaj.

Tak się pod okiem ponikwiańskiej staruchy leczyły małe derwiszki.

Ból, oczywiście, ustąpił.

Ustąpił — wtedy! — bo później ożywał — przez lata — —

Coś tam we wnętrznościach było widocznie w nieporządku!

ROZDZIAŁ CZWARTY

O OGRODACH PÓŁNOCNYCH JÓZEFA STRUMIŁŁY; ZACHWYTY I CHĘCI; EMBLEMATYCZNE ZNACZENIE ROŚLIN I KWIATÓW; HISTORYCZNY ZARYS JĘZYKA KWIATÓW: CZASY DZIKOŚCI, GRECJA, WSCHÓD, INDJE, FRANCJA, POLSKA.

— a to zabawne istotnie! — rzekł pan Michał — wysłuchawszy uważnie tej sprawy całej o zegarach kwiatowych traktującej.

— nie mówiłam — ? — jak mi tylko ta książka wpadła w ręce, zaraz sobie pomyślałam: muszę to przeczytać profesorowi —

— a cóż to za książka — ? — wolno się zapytać? —

— ależ owszem! — to jest...

Przestronicowała książkę aż po kartę tytułową.

— to jest... o! —: „Ogrody północne przez Józefa Strumiłłę, radzcę honorowego cesarskich Towarzystw, wiejskiego gospodarstwa, tudzież miłośników ogrodnictwa rzeczywistego członka i kawalera" — Wilno — u Rafałowicza —

— słyszałem o tej książce; bardzo ma być zacna; — nie wiedziałam jednakowoż, że tam w niej i figle się mieszczą —

— i jakie jeszcze! — a o mowie kwiatów profesor słyszał — ? —

— a któż-by też nie słyszał! — oczywiście — przecież kiedyś tam...

— liściki — butonierki — ? —

— oczywiście! —

— ach! więc musimy to przeczytać! —

— dobrze, ale wpierw kawy się napijmy —

— kawa kawą — nie!, zróbmy tak — wstęp przeczytam teraz, — a wyliczenie roślinek podczas podwieczorku — dobrze — ? —

— uj! — zacięta pani na te dziwa —

— dworujesz sobie waćpan ze mnie —

— nie ośmieliłbym się! —

— więc czytam! —

— Wola Boska — ! —

Udaje pan Michał ofiarę, zahukanie, rezygnację — w istocie rad słucha.

Dźwięcznym, spokojnym głosem czyta pani Grössel —:

....Emblematyczne znaczenie roślin, kwiatów i kolorów, za pośrednictwem których w nieobecności można rozmawiać....

....We wszystkich wiekach i we wszystkich niemal językach, tak człowiek dziki jak ucywilizowany, do słowa kwiatu łączył wyobrażenie lubości, okrasy i niewinności....

....kwiatami wszystkie narody stroiły świątynie....

...kwiatami uścielano drogi przed wielkimi mężami...

....płeć piękna od kwiatów nabierała ozdoby....

....kwiatami zakochany ujmował swą kochankę, — a chcąc obszerniej wyobrazić swoje uczucia, znalazł potrzebę nadać im szczegółowe znaczenia....

....W powszechności ofiara bukietu z rozmaitych kwiatów była i dziś jest — wiązaniem imienin, hołdem i dowodem szacunku...

....Język kwiatowy w najodleglejszej starożytności już był znajomy tam, gdzie mowa ustna albo nie wystarczała, albo użytą być nie mogła....

....U Greków kochanek wieńcami i kwiatami stroił drzwi swej lubej; — wieniec niesplatany oznaczał namiętną miłość, — a dziewica okazywała wzajemność wiązaniem z nich bukietów...

...Jeżeli miłość ślubem została stwierdzoną, wówczas bukiet, który służył za oświadczenie, aż do grobu był zachowany, jeżeli zaś miłość była nieszczęśliwą, wtedy bukiet rozrywano i bogom ofiarowano....

....To upodobanie Greków w kwiatach doszło do tego stopnia, iż układanie bukietów stało się u nich osobną nauką, jak o tem Pliniusz wspomina....

...Na Wschodzie, gdzie zazdrość i zwyczaj płeć piękną w zamknięciu trzyma, tam duch wynalazczy piękności serajowych do najwyższego stopnia wykształcił język kwiatowy, a bukiet, w którym kolory, dobór kwiatów, ich ułożenie — najgłębsze uczucia serca i myśli tłumaczy, nazywają: pozdrowienie (Salem)....

....W Indjach i dotąd utrzymują, iż uczucia prawdziwej miłości są za święte, aby pospolitym językiem tłumaczyć się godziło, i dlatego stosownem ułożeniem kwiatów i kolorów je wyrażają...

....Dziewice w Indjach posiadają nie do naśladowania biegłość rozmowy ze swymi ulubionymi za pomocą kwiatów i owoców....

...Wojny krzyżowe i pielgrzymki do Ziemi Świętej przyniosły ten język kwiatów ze Wschodu do Europy....

....We Francji, w czasach rycerskich — szczególniej używano kolorów do wyrażenia uczuć i namiętności, a ozdoby sukni, szarf i ze wstążek służyły u nich za jedyny lubo nie obszerny język porozumienia się....

....Dziś ten niedostatek kwiatami dopełniono, mając wzgląd na własności roślin....

....W naszej północy, chociaż przyrodzenie nie dało nam drzew oliwnych i figowych, chociaż Wertumnus, Ceres i Pomona nie tak hojnie obdarzyły nasze okolice jak Tygru i Sekwany kraje, gdzie pola usłane najwonniejszemi roślinami najprzyjemniejszem balsamicznem tchnieniem powietrze napełniają: jednak i na naszych ojczystych łąkach oraz w ogrodach dosyć znajdziemy kwiatów i roślin, do wyrażenia uczuć i myśli....

....Jeśli bowiem naszym polom zbywa na kwiatach, które na Wschodzie język gwałtownej namiętności wyrażać są zdolne, nie braknie nam na

takich, któremi do rozumu i wykształconego nauką serca naszych piękności przemawiać możemy....

....W tym celu, w Ogrodach Północnych umieszczam słownik niektórych kwiatów i roślin, oraz ich emblematyczne znaczenie, spodziewając się przez to uczynić przysługę i rozrywkę naszym pięknym czytelniczkom, a ta zabawa z kwiatami niech służy za nagrodę prac około ich pielęgnowania podjętych....

ROZDZIAŁ PIĄTY

O DZIEJACH KWIATOWYCH PRZEKŁADANYCH MASŁEM I ZAPIJANYCH KAWĄ; REJESTR DŁUGI NAZW I ICH ZNACZEŃ; PROŚBA SPÓŹNIONA ZNACZNIE; DOSKONAŁA PAMIĘĆ OLGI.

— pielęgnowania podjętych....

Wtem właśnie wniosła Antonina juzynę: kawa w porcelanowej „maszynce", dzbanuszek z mlekiem („niezbieranem"), cztery filiżanki, chleb biały „miastowy" i czarny, razowy, „naski", kopkę masła z wyżłobionemi w niem łyżką półksiężycami.

Już też i za nią dzieci weszły: Olga zaniepokojona, Mikołaj jeszcze blady.

— cóż tam — grzecznie się bawicie — ? —

— grzecznie —

— no, pamiętajcie! —

Rzekła tak pani Grösslowa, — a wyręczając gospodarza, że to ta czynność niewieście przystoi — poczęła nalewać kawę —

Zaaferowana dziejami kwiatów wytrząsała w głośnem myśleniu uwagi i myśli — równocześnie przeplatając je zdaniami, które bieżąca chwila niosła —

— później musimy sobie przeczytać indeks tej mowy kwiatowej — — aromatyczna kawa — nadzwyczajnie — — gdzie ją pan profesor kupuje? — — tam dużo takich ciekawych historyj — — naprzykład o różnych sposobach zakładania ogrodów — — ciemną, czy mleczną? — — tego się już nie spotyka — — co za masełko — — ten podział jego kapitalny — — pewno własne, nieprawdaż — ? — — więc ogród melancholiczny, zatrważający, bogaty czyli strojny — — ja tam razowy, takiego w mieście nie dostanie — — albo taki, w którym woda jest przedmiotem głównym — — proszę cukier — — wreszcie pasterski i gospodarski — — dzieciom też — ? —

Doszedł i pan Michał do głosu —:

— parę kropli, dla koloru —

— no, niechże będzie — to już i Oluni, ale tylko dlatego, że to jesteśmy u profesora, — bo w domu! — proszę; — już —

Usiadła.

Książkę rozkłada na kolanach (taka zacietrzewiona) — (no, serwus!, pomyślał pan Michał dobrotliwie) —

— dzieci siadajcie i jedzcie — a cicho ani mrumru —

— lecz niechże sobie pani ukraje chleba i posmaruje masłem — całkiem pani zapomina o sobie —

— owszem wezmę — wpierw dzieciom—

Kraje, smaruje.

— o, to dla pana, — macie dzieci —

Ugryzła spory kęs — przepiła kawą — skrzywiła się — gorzka! — zamieszała — łyknęła — poprawiła smak —.

I tak pomiędzy jednym łykiem a drugim, żując i połykając — czytała już zapalczywie (łacińskie nazwy opuszczała); — co po chwila spozierała na słuchającego pana Michała; słychać było jej wzrok: a co?

Okruchy chleba padały na książkę.

Dzieci zachowywały się cicho, grzecznie i układnie — jedynie nogami wyprawiały harce, lecz, że stół przykryty był suto zwisającą serwetą — więc widać tego nie było.

Zamachnąwszy silnie nogą — kopnęła Olga Mikołaja w kolano.

Nie rzekł nic, lecz pomyślał: poczekaj ty!

Zrozumiała i pokazała mu koniuszek języka.

A tu już szło ekspresowym trybem wyliczanie nazw roślin i kwiatów, drzew, barw i znaczenie ich tajemne:

Tojad — znaczy chytrość;

Adonis — obłuda;

Kąkolnica — jestem bez pretensji;

Aloesy — są znakiem boleści;

Malwa — znaczy: myśl o sobie (egoizm);

Amarantów wszystkie gatunki — znaczą nieśmiertelność, wieczność, stałość;

Anemon vel Zawilec — wyobraża boleść serca, smutek i wytrwałość;

Przylaszczka wiosenna — znamionuje pierwszą miłość;

Farbownik — oznacza kłamstwo;
Rumian — troskliwość;
Wyźlin — zarozumiałość;
Orliki — wyrażają skromność;
Łopian, Łopuch — natrętność;
Bylica — szczęście;
Boże drzewko — zdrowie, czerstwość;
Astry — wdzięki późne;
Gwiazdosz długotrwały — myśl skryta;
Pokrzyk — wstręt, odraza (antypatja);
Stokrocie — cierpliwość, stała miłość; podzielam twoje uczucia;
Berberys — miłość bez wzajemności;
Bukwica — nadspodziewana przysługa (siurpryza);
Stokłosa, Dyrsa — nudzisz mnie;
Kaktusy — dziwactwo (kaprysy);
Dzwonki — unikanie wzroku;
Dzwonki piramidalne — znaczą stałość, stateczność;
Dzwonki Wenery — pochlebstwo;
Kala, Czerwień — wykwintność;
Nogietki pospolite — niespokojność, zazdrość, podejrzenie, rozpacz;
Nogiet deszczowy — niezdrowie, słabość, cierpienie;
Oset — surowość;
Goździki w ogólności — oznaczają szacunek;
Dziewięćsił — niezgrabność;
Przewiercień — węzeł miłości;
(Celossia to samo co Amarantus);

Chaber piżmowy — przyjemność;

Bławatki — niewinne uczucie;

Lewkonja — talenta, godność, dostojność;

Lewkonja czerwona — piękność trwała; połączona w bukiecie z jaśminem lub tuberozą i heljotropem, znaczy: jesteś przyjemną i piękną; ja cię kocham, bądź mi wzajemną;

Lak, Fiołki żółte — płomienie miłości, wierność;

Pomarańcza — podarunek miłości;

Czystek — trwałość uczucia;

Pchlida — nieprzyjemność;

Morszenki — płochość, lekkość;

Powój niebieski — zalotność;

Powojów inne gatunki — są godłem przywiązania;

Konwalja — powabność, naiwność;

Pluskiewnik dwufarbny — dwuznaczność;

Korona cesarska — wspaniałość;

Klarkja nadobna — niewinna piękność;

Powój motyli — podejście, zdrada, oszukanie;

Głóg — znaczy ostrość, przymówka;

Pępawa — nadzieja zawiedziona;

Szafran — miłość ludzkości (filantropja);

Cyprys — żałoba, boleść, smutek;

Bielim — udawanie;

Wilcze Łyko — chęć podobania się (kokieterja);

Ostróżki — wdzięki naturalne;

Goździk czerwony — miłość żywa i ciepła; ofiarowany razem z heljotropem i rezedą znaczą:

twoje przymioty przewyższają twoje wdzięki; ja cię kocham miłością żywą i czystą;

Goździki kartuzyjskie — aby nigdy twoja świeżość nie zwiędła;

Goździki pierzaste — dowcip, wesołość;

Dyptan — wewnętrzna wartość;

Naparstnica — tęsknota lub bojaźń;

Goryczka — przykrość, nieznośność;

Georginje — odmiana, zmienność, niestałość, niestateczność;

Geranjum pachnący, bodziszek — spokojny umysł;

Geranjum ponsowy, czapli nosek — głupstwo;

Bluszcz — godło stałej przyjaźni;

Sparceta — czułość;

Ciemiernik — nienawiść, ja cię nienawidzę;

Heljotrop — miłość nagła, ja cię kocham;

Słonecznik — wyniosłość, fałszywe bogactwo;

Liljowiec — poddanie się;

Wieczornik — milczenie;

Jastrzębiec — uczoność, nauka;

Hortensja — piękność zmienna; jesteś zimna;

Świętojańskie ziele — ostrożność;

Hiacynt — uczucie szczęśliwe;

Jaśmin biały — wzajemność;

Jaśmin żółty — zazdrość;

Ubiorek — obojętność;

Balsamina — miłość ognista, niecierpliwość;

Kosaciec — nietrwałość;

Jałowiec — znaczy schronienie, pomoc;

Laur — triumf, zwycięstwo;

Lawenda — nieufność;
Groszek pachnący — miłe zaniedbanie;
Lilja biała — czystość, niewinność;
Lilja żółta — trzpiotalstwo;
Lilja tygrysowa — wyrozumiałość;
Krwawnica — pretensja;
Wiciokrzew — im dłużej, tem lepiej;
Firletka, gaszta — paląca się miłość;
Szanta pospolita — pobudka;
Maruna — uprzejmość;
Mięta — jest godłem cnoty;
Melisa zwyczajna — nieśmiałość;
Melisa cytrynowa — trzeźwość;
Czułek — wstydliwość;
Dziwaczek — miłość własna;
Mirt — jest obrazem miłości;
Niezabudka, niezapominajka, ptasie oczko — pamiętaj o mnie;
Narcyz biały — jestem piękna i wiem o tem;
Narcyz żółty — serce zranione;
Oleander — piękność niebezpieczna;
Bazylika — łagodność;
Oliwne drzewo — gałązka oliwna jest symbolem zgody i pokoju;
Majoran — uroczystość wesela (hymen), ja cię żądam mieć za towarzysza lub towarzyszkę;
Proso — jesień, dojrzałość;
Mak — sen, lenistwo, powaby nietrwałe;
Maczek ranunkułowy — pocieszenie;
Męczenica — cicha cnota, która znamionuje szlachetną niewiastę;

Mech — zima, zgrzybiałość;

Palma — mądrość, szczodrobliwość, zwycięstwo;

Piwonja — byłam piękna i tego zapomnieć nie mogę;

Jodła — gościnność;

Sosna — pijaństwo;

Modrzew — zuchwałość;

Tuberoza — bądź mi wzajemną, lub wzajemnym;

Pierwiosnka, kluczyki — wiosna, młodość i pierwsze uczucie;

Łyszczak — lubość;

Granat — piękność bez przyjemności;

Jabłoń, kwiat lub owoc — znaczy: oddaję sprawiedliwość twojej doskonałości;

Gruszka, kwiat lub owoc — oznacza: zrób mi nadzieję;

Dąb — moc, siła, potęga;

Jaskier, ranunkuł — przesada, pretensja (afektacja);

Rezeda — przyjaźń prawdziwa, szczęśliwość domowa;

Akacja biała — oznacza miłość platoniczną;

Akacja żółta — powiedz, kiedy cię znowu zobaczę?;

Rozmaryn — godło ślubu; twoja obecność mię ożywia;

Róża — piękność (róża także jest wyobrażeniem młodości, niewinności i rozkoszy);

Róża miesięczna — nie wiem żem piękna;

Róża biała — niewinna piękność; jestem godny ciebie; róża biała uschła, znaczy: wolę umrzeć niżeli stracić niewinność;

Róża dzika — unikam miłości;

Róża kolczasta — to samo co głogi;

Róża żółta — serce pełne miłości;

Marzana — obmowa;

Ruta — wstrzemięźliwość, trzeźwość;

Szałwia — zemsta;

Łomikamień — tęsknota;

Skabjoza, dryakiew — wszystko straciłam; stan wdowi;

Tarczyca — naturalny pociąg (sympatja);

Mleczaj — plotki;

Jarzębina — jest emblematem roztropności;

Żywokost — flegmatyczność;

Bez — wiosna, młodość, pierwsza miłość;

Aksamitki — bez pretensji;

Szarańcza — gorliwość, ja cię bronić będę;

Wrotycz — przenikliwość;

Ożanka — obudzenie;

Lipa — miłość małżeńska;

Melilot — rozłączenie;

Nasturcja — wytrzymałość, cierpliwość;

Pszenica, kłos pszenicy — znaczy: lato, obfitość;

Perz czołgający się — podłość, nikczemność;

Tulipan — duma, piękność ciała;

Podbiał — oddadzą ci sprawiedliwość;

Pokrzywa — srogość, złośliwość, uszczypliwość;

Borówka, czernica — oczernienie;

Kozłek zwyczajny — wymowa; męska piękność;

Kozłek czerwony — płochość, łatwość;

Koszyszko zwyczajne — pojednanie się;

Przetacznik — mądre użycie chwili;

Dziewanna — dobroć;

Kalina włoska, buldeneż — ja cię uwielbiam;

Barwinek — prostota;

Fiołek — jest godłem skromności;

Brat z Siostrą — miłość braterska, zgoda (harmonja), albo: myślę o tobie;

Wolkamerja — zakaz, zaprzeczenie, odmówienie (rekuza);

Nieśmiertelniki — oznaczają: stałość, wierność, wdzięczność;

Cynja — dowidzenia się;

— — —

Pani Grössel recytowała z przejęciem.

Pan Michał słuchał.

Dzieci zajadały żwawo.

— cynja: dowidzenia się — — odsapnęła; — strząsnęła z książki okruchy.

Mówi pan Michał —:

— gdyby tak co do czego — należałoby mieć inwentarz tych symboli wynotowany zawsze przy sobie —

— można się napamięć nauczyć —

— tak, tak — lecz tego setnie dużo —

Mikołaja od czasu do czasu „pikło" po owym zbytniem obciążeniu na drabinie; rzadko jednak i niedotkliwie.

— — —

Gdy po podwieczorku wyszli do ogrodu — rzekła Olga —:

— wiesz, mam prośbę do ciebie —

— już! — powiedz —

— daj mi przylaszczkę —

— teraz już niema, na wiosnę tylko, skądże ja ci wezmę przylaszczki — a naco ci — ? —

— tak sobie; — zasuszyłabym — —

Olga miała pamięć lepszą niż Mikołaj! — a prócz pamięci....

Oczywiście!!

KSIĘGA SIÓDMA

KIEDY GOŚCIE PRZYJADĄ?...

ROZDZIAŁ PIERWSZY

O ŁODZI I PODRÓŻACH, SIERPNIOWYM LISTOPADZIE, NIEOPATRZNEM KWITNIENIU I LIŚCIACH-WIDMACH; INFLACJA, DEWALUACJA, BANKRUCTWO; ŻYCIE Z KAPITAŁU, ŻYCIE NAD STAN! WRESZCIE: O WIECZORACH CHŁODNYCH I SZRONIE SZCZERZĄCYM ZĘBY.

Z tą łódką — jak wiadomo — zabawa była nieco ułomna, nijaka, nieciekawa.

Przecież to wprost z tej łodzi przerzuciła się drabina na dach stodoły.

Zabawka pływająca zbyt nakłaniała formą i przestrzenią do jednowymiarowego kierunku zainteresowania.

To — łódź!

Lecz podróże? — podróże kusiły dzieci nadal jak we dnie tak i w nocy.

Jeno inaczej, odmienniej!

—

Razu pewnego — a było to już w listopadzie — przyszła pani Grösslowa z Olgą do pp. Srebrempisanych.

Dziwny to był listopad tego roku!

Ciepły jak lato, jak sierpień!

Przez cały miesiąc ten, sławny z plut ustawicznych, zalewów płytkich a rozległych, szarug nieprzerwanych, mgieł okołtunionych — naprzekór wszelkim prawidłom właśnie — słońce przygrzewało z siłą osobliwą!

Drzewa co poniektóre, te zwłaszcza o samopoczuciu przytłumionem a instynkcie samozachowawczym pomiernym — zakwitały ponownie; liście na nich przetarte, wyświechtane, a nawet tam i sam podarte i postrzępione zbyt długiem użytkowaniem — były milczące, niepozorne i jakoby umarłe — liście-widma — tak jest! — lecz fakt faktem, że — *były!*

Nazwa: list-opad — odnosiła się najwidoczniej do zeszłorocznego miesiąca.

Rzekło się: zakwitały ponownie! — oczywiście mowa tu przedewszystkiem o kasztanach! —: noszą przecież dobre a łatwowierne serce swe na szerokiej zielonej dłoni!

Lecz zdarzały się mylne obliczenia kalendarzowe i innym drzewom — nawet owocowym, które z natury i usposobienia są przezorne i skrupulatnie obliczające netta, brutta, salda i manca — prawie po buchalteryjnemu.

Niejedna jabłoń, co młodsza zwłaszcza i niedoświadczeńsza, — poczęła (tym durem słonecznym obłąkana) — prowadzić (w listopadzie!!) podwójną buchalterję! —

Oczywiście — jak zwykle (inflacja!) — nie wyszło im to na dobre — tym drzewom zdezorjentowanym i zdemoralizowanym.

Nastąpiła (nastąpić musiała niechybnie!) dewaluacja — straciły cały zapas kwiatów; — zagranicę uciec nie można było; — więc ogłaszały bankructwo na miejscu.

We własnym sadzie prało się brudy sadowe!

Mściła się sztuczność zawsze pochopna do tendencji materjalistycznej — naprzekór prawom przyrodzonym, które doskonale obchodzą się bez bankowych transakcyj.

A już po górkach i lasach liściastych było zgoła zcudaczenie!

Nagie pnie, nagie gałęzie bezlistne — wiatr wierchowy pracę swą wykonał już w październiku! — ścioła na stokach gór miedziana — — a poszycie zieleniejące, świeżo zleszczynione, zbrzezinione, zborówczone i kwitnącem wrzosowiskiem wonne i parne.

A doliny!

Wody w rzekach niskie, rybami zalatujące i mułem jak w posuchy pod psią gwiazdą poczęte — — bajora wyschnięte — nawet te u stóp zboczy: wieczyste niemal i nieustępliwe — a jeśli niewidoczne to jeno schytrzone i przyczajone pod bujną zielenią szuwaru, szczawiu i kosaćca — lecz jeno postaw krok — zapadniesz się po kolana! — a dziś! — suchą nogą przejść możesz bez lęku! — wraz z wodą ukrył się głęboko podstęp panoszący się tutaj zgoła wilczodolnie!

Pośród tego pomylonego — bo to zarazem przywiosennego i przyzimowego — krajobrazu —:

kwietne drzewa, trawa przypalona i sianiejąca na pniu — no i słońce, słońce grzejące, płonące, niezmrużone, nieopatrzne, sierpniowe słońce!

—

Niemniej — wieczory były chłodne i dożywa przejmujące; — skośne promienie nie dogrzewały jednak do tyła, aby sobie ziemia z kapitału dnia procent ciepła odłożyć mogła na zmierzchnią (czarną) godzinę; — nie starczyło! — żyło się wtedy tylko z kapitału! żyło nad stan!

Przeto też po czerwonym zachodzie słońca — chłody wychodziły wszystkiemi szparami jak głodne, gniewne kraby.

W miarę narastania nocnych godzin — ziąb wzmagał się, statkował, krystalizował w poglądach; — — nic też dziwnego że rankiem siny szron szczerzył martwe zęby do słońca.

ROZDZIAŁ DRUGI

O WSPANIAŁYM SPRZĘCIE WODNYM, ODWRACANIU OSI ŚWIATA, ORAZ O ZGODZIE PRZYJAZNEJ; STATEK WYRUSZA! PRZESZKODY; MOMENT KULMINACYJNY; DOBICIE DO PORTU; DALSZA PODRÓŻ.

Taki to był listopad i listopada tego popołudnie, w którem Mikołaj i Olga rozpoczęli wielką podróż na stawie w porębiańskim parku.

Sposoby jej, drogi, cele, zamiary i zasięgi były pokrótce tego rodzaju:

— spore pudło odkryte we wozowni i wymoszczone kopisto sianem (transport) stało się za zrządzeniem losów nieodgadłych jachtem, okrętem — jednem słowem wielkim, wspaniałym sprzętem wodnym, który odbijany żerdziami od brzegu — posuwał się poważnie i chybotliwie we wskazanym wolą kierunku.

(— może, może i było w tej drodze okrętowej nieco przypadkowości — skrzętnie ją jednak wyzyskiwano i pożytecznie a honorowo interpretowano —)

Przystani było kilka.

Władcami ich, jako też lądów do nich przynależnych — była po jednej stronie oceanu Olga, po drugiej Mikołaj.

Równocześnie byli, oczywiście, sternikami, załogą, pasażerami i kapitanami statku — naprzemiany — wedle tego, czy okręt odpływał z portów europejskich czy amerykańskich.

Czasem zamylały się dowody posiadania i prawa własności — wtedy zapanowywało chwilowe prowizorjum (neutralność bez sprzeczek).

Czyż to znowuż tak trudno kierować osią świata wedle woli i potrzeby?

To fraszka!

Pomocną w takich wypadkach stawała się ambicja (niepośledniego gatunku motor twórczy) i wyrozumiałość (będąca często synonimem zwycięstwa).

A w tym poszczególnym właśnie opisywanym wypadku?

Po prostu! —:

odwracało się w chwili krytycznej, gdy spór i niejednomyślność poglądów a stąd wypływające niesnaski i nienawistności wisiały na włosku — odwracało się oś świata, zmieniało strony świata, przesuwało części świata.

Zgodna minuta, no, powiedzmy dwie! — wystarcza! — a już tam, gdzie przedtem była Ameryka jest Europa, gdzie Afryka — Australja — lub vice versa —.

Nie lepiejżto — aniżeli dopuszczać do choćby najmniejszej niezgody, najdrobniejszego nieporozumienia, które niszczy spokój i gubi rezultaty wysiłków?

czemże są części świata, czemże ziemia cała wobec miłości?

Niczem!

Doprawdy! — upieranie się — przy czem? — przy nazwaniu?! — to drobiazgowość i małoduszność — na pewno!

W takiem pojmowaniu biegu spraw, w takiej świadomej zgodzie — podróże darzyły się szczęśliwie!

— uważaj! — jak zagwiżdżę — znaczy się: odjazd —!—

— a dokąd? — odkrzykiwał głos bliźni po drugiej stronie oceanu —

— do Afryki!

— jechać!

Uderzenie żerdzią o wodę przy pudle!

Plusk!

Zachybotały się fale.

Zakotłowała szklista powierzchnia bezmiernych wód!

Statek wyruszył w drogę daleką!

Darz Bóg!

— uwaga!

Okręt zawadził o wystający korzeń kaliny.

— rafa! — rafa! —

— wyspy koralowe! —

Plusk! — plusk!

Korzeń przychylony pod wodę.

Statek zwolniony z uwięzi kalinowej-koralowej — nienaruszony, nieuszkodzony idzie dalej!

Już jest w pośrodku oceanu.

Punkt kulminacyjny!

Moment największego napięcia!

Tu już żerdź nie poradzi — za krótka!

Własnej, nie istniejącej kapitańskiej inteligencji okręt zawierzyć musi.

Na swój wyłącznie zdany spryt.

Rozważnie shuśtawiona woda — popycha — acz zwolna — wytrwale — dokładnie — skutecznie pudło ku wybrzeżu — ku przystani —

A tam już sojusznik czeka, sprzymierzeniec wierny, pomocnik przyjazny.

Zahacza się drugobrzeżna żerdź o kraniec burtu — przyciąga ku sobie ładowny statek —.

Jedna część drogi skończona.

Wyładowanie — — bagaż nowy — —

— uwaga!

— odjazd!

— dokąd?

— do Ameryki —

— jazda!!

ROZDZIAŁ TRZECI

O PODRÓŻACH, RAFACH OMINIĘTYCH, STREFACH KRYTYCZNYCH; ZŁO CZYHA NA CZŁOWIEKA; STRASZNY WYPADEK; MIKOŁAJ BIEGNIE NA POMOC; RATUNEK; BIEGNĄ WCWAŁ DO DOMU; NAGŁY TUPOT DZIECIĘCYCH NÓG.

Zmierzch już zaczął zapadać.

Wczesny — bo listopadowy.

Chłód wydłużony niósł się nieprzerwanym, niskim wiewem z pod cienistego podgórza.

Trzeba przerwać podróże, wyprawy i odkrycie — trzeba! — cóż robić —

Raz jeszcze! —

Jeden — jedyny! —

Statek i jego bogactwo były właśnie Olgi własnością.

Okręt opuścił port — dobre dwa tygodnie temu —

Pierwszy etap podróży szczęśliwie przebyty — Bogu dzięki!

Niebezpieczny korzeń kalinowy — koralowa rafa — ominięte —

Lecz teraz!

Właśnie w tej strefie krytycznej — pustej i martwej tak bliźniaczo podobnej do tej, jaka znaj-

duje się w przestrzeni równego przyciągania ziemi i księżyca — co bardzo utrudnia podróż, skądinąd łatwą, na srebrny glob — właśnie w tej strefie krytycznej martwych wód, gdzie ani z tej, ani z tamtej strony żerdzią dotrzeć nie można — statek zwolnił biegu — przystanął — a nawet począł się lękliwie cofać.

Przechyla się przeto jej kapitańska mość Olga pani Oceanji — przechyla się i zbyt ciężką żerdzią (— jak na jej wątłe, niewieście, zgoła panieńskie ręce —) tłucze mozolnie w tonie wód —

Burzę ty wołasz, burzę ty budzisz — o pani Oceanji — kapitańska mości — Olgo!

Burzę ty wołasz!

Jeszcze jeden — znaczny wysiłek —!—

Zakołysał się okręt — fala z pod żerdzi wzburzona pcha go ku brzegom — —

— Aż i tu klęska budzi się z uśpienia — —

— Zło zewsząd czyha na człowieka — —

Nazbyt słabo stopami w ziemię wparta — a zbyt przechylona — straciła Olga równowagę — zachwiała się — wpadła w staw!

Na brzegu przeciwległym stojący (a w mroku już znacznym) Mikołaj — krzyknął przeraźliwie — odrzucił żerdź — pobiegł na ratunek —

Woda była w miejscu tem wprawdzie niegłęboka, lecz dno było mulaste; — odwieczny szlam podniósł powierzchnię dna; — upadek był tem niebezpieczniejszy!

Na szczęście — żerdź, która wypadła z rąk Olgi, wsparła się jednym końcem o brzeg, a drugim o dno.

W ten sposób utworzyła się skośna — jakoby — barjera.

Dziewczynka chwyciła się jej kurczowo.

Woda sięgała po piersi.

Grząski muł zapadał się pod stopami — wrażenie — jakby zimne, oślizgłe łapy objęły nogi — ciągnęły wdół —

Przerażenie!

Olga straciła panowanie nad sobą — ruchy jej były nieobliczalne i błędne; — to pogarszało sytuację.

Żerdź zanurzała się coraz głębiej.

Z nią — Olga.

Woda podchodziła ku szyi.

Muł po kolana.

— ratuj — ratuj —

— Olgo!

Mikołaj był już przy niej.

Uklęknął na brzegu — wsparł się na śliskim spadzistym drągu — zawisł nad wodą — rękę wyciąga — jeszcze trochę — — jeszcze — ręka dosięgła — już dłoń jej schwycił — —

Powoli, z trudem, z wysiłkiem — posuwał się na kolanach wstecz — — podciąga się za nim dziewczynka — z mułu wykopuje — sił ostatkiem —

Jeno cichem skamlaniem błaga:

— ratuj — ratuj — ratuj —

Drży jak osika — zielona jak topielec —

Wreszcie!

Wreszcie — po chwili — jakże strasznie długiej! — podciągnął chłopiec Olgę pod brzeg —.

Czepiając się skostniałemi, dygocącemi rączkami traw, korzeni, gałęzi — wygramoliła się na ląd —

— Jezus Marja — coś ty zrobiła — Olgo! —

Wyglądała strasznie!

Ociekała wodą.

Sukienka oblepiła się szczelnie wokół chudego ciałka.

Nogi zamulone powyżej kolan.

Roztrzęsiona — półprzytomna —

Rozpłakała się — zaniosła szlochaniem —

Wciąż powtarzała to samo:

— ratuj — ratuj — ratuj —.

Głos jej był podobny do szczenięcego żwakania.

Wzmagał się mroczny ziąb.

Szedł dołem — czołgał się ziemią — kąsał podstępnie —.

— Ona się rozchoruje — przemknęło Mikołajowi przez myśl —.

Teraz dopiero — po wysiłku — naszła go trwoga — lęk zjeżył mu włosy —.

Objął ją mokrą, omuloną, bezsilną.

— prędko — prędko — biegnijmy do domu — jak najprędzej —

Dom!

Jakże daleki w tej chwili.

— ratuj — ratuj — — nie mogę —

— musisz! —
Przekonał ją! zmusił!
Puścili się wcwał.
— — —

Właśnie zaświecał ojciec lampę — jeszcze umbra leżała na stole — gdy nagły tupot czworga dziecięcych nóg zadudnił w sieni.

Przerażone śmiertelnie, znękane, wybladłe dzieci wpadły do pokoju.

Mikołaj zapiszczał:
— nieszczęście! —
Olga objęła matkę — przechyliła się wtył —
zemdlała — —

ROZDZIAŁ CZWARTY

O WYŁUSKANIU PRAWDY, STRACHU I PŁACZU, O SERCU, KTÓRE DZWONI JAK WIEŻA, ORAZ O SKUTECZNOŚCI KWIATU LIPOWEGO; OLGA ŚPI JAK SUSEŁ; MIKOŁAJA TRAPIĄ MORZYSKA; GÓRY PIASKOWE; STONOGA; TORFOWISKO; SNY CZEKAJĄ SWEJ KOLEI.

Był też to rwetes, był!

Prędko wyłuskano z krzykliwych i zalęknionych półzdań prawdę istotną!

Strach i płacz!

Mikołajowi kazano iść do swego pokoju.

Zapomniano mu dać lampy.

Tracono głowę w tem nagłem przerażeniu.

Siedział w ćmie.

Nadsłuchiwał bicia serca.

Dzwoniło jak wieża na procesji.

Załamane słowa dolatywały przez niedomknięte drzwi — biegły brzękliwie po smudze światła — zamierały w mroku, ślepły i głuchły.

Matka zdjęła z Olgi ubranko i koszulę.

Chude trzęsące ciałko tarła ręcznikiem do wysechu, do czerwoności.

Szatki rozwiesił pan Michał przy piecu; niech się choć wiela-tela obsuszą.

Wpakowano dziewczynę do łóżka.

Herbatą gorącą pojono.

Pan Michał dreptał po pokoju zafrasowany wielce.

Uspokajał matkę stroskaną:

— niech się pani nie martwi — nic jej nie będzie, nic — — stawek blisko — krótko to trwało — przeziębić się nie może — — choćby — to tam katar i już —

— a możeby rumu do herbaty? —

— niech Bóg broni! — wina raczej, a już najlepiej kwiat lipowy, wie pani, z miodem i żółtkiem — to wywołuje poty — najlepiej tak —

— lecz skądże go wziąć teraz? —

— ależ mam, mam —

Wydobył z szafy setną torbę tego zapachu lipcowego.

Spitrasili społem tęgi wywar na maszynce spirytusowej.

Z miodem i żółtkiem — smaczne!

Dwie filiżanki wlano w Olgę — piła chętnie (najlepsza to ta wierzchnia piana!).

—

Noc tę spędziła pani Grössel w Porębie Murowanej.

Bogu dzięki — jest gdzie!

O jeździe w takim wypadku — ani myśleć!

Olga po winie, po kwiecie lipowym spała jak suseł.

Obudziła się rześka i zdrowa.

—

Mikołaja gnębiły morzyska niespokojne i męczące.

Co po chwila budził się i znów zapadał w półsen jak w sak.

Z nocy wyrastały góry piaskowe, suche, sypkie, przez które musiał przechodzić.

Piasek usuwał się z pod nóg.

Przebrnął przez pomniejsze wzgórza.

Stanął u stóp wysokiej góry...

A góra to ruchoma cała....

Jakby tysiące łap pod sobą miała — łap niewidocznych, mocnych, upartych, złych....

Już to nie góra!...

Nie góra — stonoga olbrzymia!...

Stoi na niej Mikołaj — na śliskiej, ślimaczej powierzchni obrzydliwej skorupy....

Stonoga posuwa się szybko wdół po spadzistości, po krawędzi nocy....

Wlewo i wprawo przepaść wieczna.

Coraz szybcej stonoży się cielsko ku jakiejś czarnej wodzie....

Jeszcze chwila....

Już nad brzegiem spadzistym przystanęła....

Cofa się...

Rozpęd bierze....

Skok!!.....

Uderzyły pod nawałą wielkiego cielska fale wgórę...

Wyrosły jak drzewa — rozłożyście — sycząco — groźnie....

Załamują się pnie wodne....

Opadają....

Zalewają Mikołaja....

Ciągną wdół — tłoczą — cisną....

Stonoga jest już kępą rozmokłej ziemi — spłachciem torfowiska....

Grzęzną nogi — zapada się ciało — po kolana — po biodra — po piersi....

Tchu!!

Ktoś zdyszanem skamlaniem jęczy —:

— ratuj — ratuj — ratuj —

Krzyknął! — zbudził się — — przerażony — — ciemno, że oko wykol....

W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego....

Któryś z dalszych snów czekający swej kolei dośnił: Amen.

ROZDZIAŁ PIĄTY

O PORANKU DNIA NASTĘPNEGO; SŁOWA OLGI; WĄŻ KURZU; WIĘC TO OSTATNI RAZ OLGA BYŁA W PORĘBIE MUROWANEJ? DLACZEGO? RAZ JEDEN PYTA O TO MIKOŁAJ, POTEM JUŻ NIGDY.

Panią Grösslową i Olgę zastał już przy śniadaniu.

Gdy Mikołaj pierwszy krok postawił w pokoju ojcowym — rzekł pan Michał napomliwie —:

— jeśli ty mi choć raz jeszcze pójdziesz z Olgą nad staw! — to — — skaranie Boskie! — et — po śnadaniu musicie mi pokazać, jak to się stało właściwie —

Matka dodała —:

— na minutę was z oka spuścić nie można; — nieszczęście gotowe —

Olga milcząca dotychczas — nagle — jakby zerwała głos do lotu — zrumieniła się i prawie krzyknęła:

— gdyby nie Mikołaj — to — —

Spojrzał na nią chłopiec — spojrzał — zawstydził się i rzekł nieśmiało —:

— ja? — przecież nic —

A ona przekornie, czupurnie a stanowczo zaprzecza:

— ty! —

— — —

Ojciec był rad z syna!

— — —

Po śniadaniu panie wyjechały do Wołkowic.

Przedpołudnie było gorące, tępe i zapylone.

(— ten listopad! —)

Gruby skłębiony wąż kurzu biegł za powozem — kąsał koła i szprychy.

— — —

Dlaczego — z jakich przyczyn wzmogła się choroba oczu Olgi — ? —

Czy kąpiel listopadowa wpłynęła ujemnie na jej — tak bardzo — osłabiony wzrok?

Czy przerażenie?

A może ani kąpiel, ani przerażenie, lecz zgoła coś innego — ? —

Niewiadomo!

Dość, że był to ostatni pobyt Olgi w Porębie Murowanej.

Od czerwca do listopada — więc sześć miesięcy.

Półroku pod jej wezwaniem.

Miesiące rude, krótkowzroczne i gwałtowne w ruchach.

Przeszły — minęły — nie było ich.

Zobaczyli się jeszcze — Olga z Mikołajem — raz jeden jeszcze lecz już nie w Porębie — i nie w świetle — nie! — w pokoju ciemnym, przy zasłoniętych oknach —.

Tymczasem mijały dni niewyraźne i bardzo nijakie.

W ciągu pierwszych tygodni osamotnienia zapytywał Mikołaj ojca —:

— Kiedy do nas przyjdą — ? —

— kto — ? —

— goście —

— kto niby — ? —

— pani... pan Griksa i Popow

— a! — oni — — przecież byli w przeszłym tygodniu —

— tak? — a mnie się wydaje, że już tak dawno nie byli — —

— — —

Więc — nie pytał już nigdy, kiedy goście przyjdą...

KSIĘGA ÓSMA

Z POD MŁYŃSKICH KAMIENI

ROZDZIAŁ PIERWSZY

O ZIMIE RAPTOWNEJ I MROZIE SIARCZYSTYM; MIKOŁAJ PISZE BARDZO DŁUGI LIST; SMUTEK I TĘSKNOTA; CZYTA DUŻO; WRAŻLIWOŚĆ; POWIERZCHNIE PRZEDMIOTÓW; SUCHOŚĆ RĄK, KOLAN I GARDŁA; O ZGŁOSCE: K.

Po odmieńcowym listopadzie zwaliła się zima raptowna.

Kilka dni zbielonej zawiei, jakby kto pierzynę wielgaśną rozpruł i białe pióra wytrząsał nad ziemią — a tu już śnieg po pas — ale to śnieg!

Drzewa rozdwoiły się — były białe i czarne; — czerń podkreślała nasypaną linję bieli.

Krajobraz z kompozycji barwnych plam przesunął się ku rysunkowej konstrukcji graficznej.

Było niemniej cudownie, choć cale odmiennie — jak na innej planecie.

Sosny rozkładały bezradnie łapy olbrzymie w rękawicach grubych — gałęzie przychyliły się znacznie ku ziemi: słuchają, jakto tam pulsują soki w korzeniach — jedyna pora na podsłuchy i baśnie — bo potem, od wiosny jest o czem myśleć — wtedy trza się ku słońcu podnosić i róść — żwawo, aby ani jeden dzień zmarnowany, ani jeden!!

Dniem i nocą sypało przez wiele dni tem pierzem wiotkiem.

Któregoś popołudnia ustało.

A już pod wieczór siniaty tego dnia mróz siarczysty zluzował pracę chmur.

Ani nosa za próg wyścibić — gil pewny!

Zresztą nie było i poco za drzwi wychodzić.

Mikołaj po całych dniach ślęczał nad biurkiem (tak się teraz nazywał ów mały stolik — odznaczenie, oczywiście, godność!): odbywał lekcje — czytał dużo — pisał listy do „lubych gości" do Wołkowic — — i jeden jeszcze list długi, bardzo długi do.....

Pisał go codziennie —

Nocami — które były dłuższe niż potrzeba snu — obmyślał zdania i zwroty —

Była w nim wypowiedziana historja lata rozległa i słoneczna — dzieje jesieni złote i przymglone — aż po feralną mokrą zamuloną przygodę żałosną.

Treścią zdań stawało się ciche, prawie niewypowiedziane stwierdzenie: tak mi smutno!

Tak smutno!

Nie chcę się z tobą bawić — nie! — chcę, żebyś usiadła na podnóżku przy oknie — a jabym ci czytał z książek rozmaitych — samabyś je sobie wybierała — czytałbym tak długo, ażby zmierzch położył rękę na stronicach, ażby zgarnął litery w garść ze stronic szarych i pustych — a potem moglibyśmy nic nie mówić....

Tak tedy pisał.

Poza tem czytał, co pod rękę padło.

A że od jakiegoś czasu (— czy to temu rok? — czy dwa? — tak się jakoś zatraca przestrzeń godzin i dni! —) opanował niezgorzej język niemiecki....

(— ojciec kładł specjalny nacisk na znajomość tego języka; — przyczyny, które przytaczał na dowód konieczności tej wiedzy — poco ty chłopca tak wcześnie dręczysz tą szwabizną — mawiała pani Zofja — — określał dość niezrozumiale: trzeba, powiada było, znać zawartość arsenału przeciwnika, wśród którego się żyje, trzeba koniecznie! — odczytywać napisy umieszczone pod eksponatami (co to jest) trzeba ekspedite — no, i plany odcyfrowywać —)

....więc zakres książek rozszerzył się niebywale!

Bibljoteka ojca zasobna była w książki niemieckie!

A bajki! — bajki! — bajek zatrzęsienie rozrzutne!

Ciekawe — śliczne — zachwycające!

Choćby ta pierwsza doczytana na pamięć: das Märchen von Gockel, Hinkel und Gackeleia?! — a inne— —

Nic też dziwnego, że wszystkie zabawy poszły w kąt najodleglejszy.

Rozbudzona wyobraźnia żądała żeru ustawicznego.

Podniecony apetyt wymagał strawy sutej i zawiesistej.

Głód ciągły — niedosyt wieczny.

— — —

Równocześnie z tą niepohamowaną, chłonną gorączką czytania wyrodziła się u chłopca ruchliwa pobudliwość i czujność niepokojąca.

Wzmogła się wrażliwość na dźwięki, barwy, zapachy i powierzchnie przedmiotów.

Ręka mimowoli cofała się przed wszelką szorstkością zwłaszcza suchą.

Dotyk gazet, bibuły, kamieni niegładkich, poniektórych gatunków sukna — sprawiał mu przykrość i wywoływał długotrwałe dreszcze.

Unikał więc tych przedmiotów niemiłych i dokucznych.

Krąg możliwości dotykowych zwężył się znacznie.

Doszło do tego, że suche dłonie niepokoiły go — mył przeto często ręce i wycierał niedokładnie, aby nalot wilgoci na nich pozostał.

Przy czytaniu nie chcąc się odrywać od książki — ślinił palce.

Wyobrażenie suchych kolan dręczyło go niepomiernie — pocierał je ukradkiem wilgotną dłonią.

Później zaczęła mu dokuczać domniemana suchość w gardle; — niepowstrzymana chętka zmuszała go do wymawiania zgłoski k — — to niweczyło obmierzłe poczucie suchości.

Aż do umęczenia powtarzał przez cały dzień: k — k — k — k —

Natręctwa te nie pozwalały mu szybko zasnąć.

Wstydził się tych nieskontrolowanych przywar — a nie umiał się im oprzeć w żaden sposób.

Ręce ślinił pokryjomu; — k — wymawiał cicho, jak najciszej, tak, żeby ojciec nie zasłyszał.

Ratunkiem w tej opresji były przedmioty gładkie — one jedyne posiadały siłę leczniczą.

ROZDZIAŁ DRUGI

O PAPIERACH KOLOROWYCH, SZKŁACH BARWNYCH I PIÓRACH SÓJKOWYCH; KOLOROWE MYŚLI, CZUCIA, SŁOWA I LITERY; GŁOSY - POGŁOSY ZBLISKA I ZDALA; ŁZY RADOSNE; PRZESTRZEŃ PEŁNA DRZWI OPASUJE MIKOŁAJA WSTĘGĄ GRAJĄCEJ BIELI.

W tym czasie szuflady biurka Mikołajowego pełne były skrawków kolorowego papieru i okruchów barwnych szkieł.

Kilka piórek sójkowych o przeczystych błękitnych plamkach przechowywał w przegródce z osobliwym pietyzmem i pieczołowitością.

Barwy przemawiały do niego swoistym, odrębnym, wyraźnym językiem.

Były smutne i wesołe, zadumane i uśmiechnięte, zasępione, ponure, żywe, śmiertelne: wszelkie!

Godzinami mógł się wpatrywać w szyby drzwi szklanych wiodących na balkon, które jak nam wiadomo, w górnych prostokątach były czerwone i żółte —: nowe światy wyłaniały się z po za tych szyb.

Spojrzenie na „świat" przez kolorowe szkła (— choćby z rozbitych flaszek —) — bawiło go, trwożyło, niepokoiło!

Tak już tedy z godziny na godzinę natężenie poczucia barwy wzrastało — przemieniło się patrzenie prawie że nagle i niespodzianie.

Ściany, meble, obrazy, książki, ubrania, przedmioty, pola, łąki, wody, drzewa, niebo i kwiaty — łączyły się i spokrewniały, sprzeczały i kłóciły, milczały i hałasowały wedle stanu barwy, wedle godności koloru swego.

Refleksem zauważonych cudów nasycały się myśli i czucia, słowa i litery: są już, są — myśli białe i czucia niebieskie, słowa pomarańczowe i litery zielone!

Wiążą się zdania wedle prawideł gam barwnych — rozpadają się na słowa samoistnie farbione koniecznością, że to właśnie takie są, a nie inne!

Niema rzeczy ani spraw bezbarwnych —

Ludzie chodzą wtopieni w świetlistą lub mroczną tonację — wedle myśli swych, woli i uczynków.

Są ludzie tęczowi, ludzie biali, ludzie czarni — wszelacy!

Niepojęte, urocze życie barw! — dni! noce!

Kolorów wymowo Boża! — wschody! zachody!

— — —

A dźwięki!

Nie o muzyce tu już mowa, która była zachwytem zawsze, czcią i miłowaniem wielkiem.

Lecz dźwięki same! —: szelest papieru, brzęk muchy, zadzwonienie szklanki, tykot zegaru, skrzyp

podłogi, głosy ludzkie zdala idące, nocne naszczekiwania psów, turkot wozów na gościńcu — wszystko to budziło go i jakby równocześnie grążyło w sen —: przywidywały się obrazy, opowieści, baśnie niewyczytane nigdzie i nigdy niezasłyszane.

Natomiast otaczająca go wiecznie żywa mowa ziemi —: poszumy drzew, szelest i poszust deszczu, śpiewy i świegoty ptaków, świsty, pojęki, wizgi i wycia wiatrów, burz, nawałnic, zawiei, trzask i huk piorunów, kumkania żab, skazki świerszczowe — wszystko to płoszyło myśli, wypierało je z mózgu jak pisklęta z gniazda — — ostawała jakaś pustka błoga — cisza — zamilk i radość bezbrzeżna, radość niepojęta — tak wielka, że aż z bólem graniczącą, a wypowiadająca się łzami, łkaniem i zasłonięciem twarzy dygocącemi dłońmi.

Tak to zewsząd — zbliska i zdala — rozwierała się przestrzeń niewidziana dotychczas, pomijana nieuwagą.

Zdało się Mikołajowi, iż stanął wpośrodku przestrzeni wielkiej jakoby sali okrągłej o niezliczonej ilości drzwi.

I najpierw mrok wielki —.

A potem światło zgóry płynące —

A potem wiew niewiadomo skąd idący — czyliż z tem światłem? —

Aż oto bezszelestnie otwierają się drzwi jedne, a potem drugie, już trzecie i czwarte i piąte, dziesiąte, setne, tysiączne —: a w każdym wykroju odrzwiowym jawi się inna barwa, melodja inna — w nieskończoność!

Do niezliczonych drzwi — niezliczona ilość wiedzie dróg wyłożonych taflami kamiennemi —

Którąż z tych dróg obrać?

Tę — ? — a może tamtą? — nie! — tę!

Zanim postanowił nieodwołalnie — przestrzeń cała poczyna się obracać, powoli najpierw, coraz szybcej, zawrotniej — aż oto już opasuje go wstęga grającej bieli — — —

Zapadł w sen bez zwidzeń.

Kto śni na jawie tego omija sen nocny.

ROZDZIAŁ TRZECI

O PIERŚCIENIU SATURNOWYM, O KWIATACH NIEWIDOCZNYCH, O WONIACH ISTOTNYCH I UROJONYCH, ORAZ O MŁYNARZU UBIELONYM MĄKĄ; WYŁOM W MURZE; NOTOWANIA SKRUPULATNE; ROZMAITE GATUNKI ZIARN I PRZEMIAŁU.

Na najdalszych peryferjach tego nowego świata Mikołajowego unosiła się — jak pierścień Saturna — tęcza woni.

Strącały ją w przestrzeń nieuchwytne wzrokiem kwiaty — opadała jak mgła.

Lecz nietylko tak! —: unosiła się też jak zadymka śnieżna, jak puchy kwiatów wierzbowych, jak cieńkie blaszki okwiatu wiązowego.

Ponad domem porębiańskim stały jak niebo — pod którem jest wszystko co jeno żywie na ziemi: — atmosfera była wonią — woń atmosferą.

A oto wonie istotne — budzące żałość i tęsknotę —

A oto wonie urojone — znagła rozkwitające; — one to są, które wskrzeszają przeszłość — tę jedną — zapamiętanych kilku lat bytowania — i tę drugą — lat uśpionych, zdarzeniami niezaświad-

czonych — i tę jeszcze dalszą: przeszłość wielką przednarodzeniową — ujrzaną w tej chwili wyczuciem spotęgowanem.

Nagle! — ni stąd ni zowąd — zapachniał pokój fijołkami (w zimie!), miodem, którego tu niema, storczykami, które tak kocha piękna pani o krótkich, srebrnych włosach, prawie tak bardzo, jak — najmilsze — pierwiosnki.

Woń bezprzyczynowa czyhała wszędzie, — zewsząd czyniła napady na imaginację chłopięcą —

Jakże się obronisz?

Wcale bronić się nie chcę!

Dlaczego — ? —

Bo nie! —

W chwilach i miejscach najniespodziewańszych — uderzała przeźroczystą falą w oczy, uszy i nozdrza — aż czuć było prócz woni i ten wiew słoneczny, ponadchmurny, który ją słał.

W sieni — bywa nagle — tej od podwórza — przy drzwiczkach skrytych, wiodących do komina — — idzie Mikołaj — mija — — aż tu zewsząd zamęt zapachu wiośnianego, igliw i jaśminu, żywicy i miodunek — opyla go, odurza, unosi, myśli zamąca i ściera i przeinacza — — przestrzeń tak mała, nikła, kurnikowa — kroków kilka zaledwie wzdłuż i wszerz — a chłopiec wychodzi z niej jak pszczoła lub trzmiel z kielichu kwiatowego —

— ubielony pyłem, jak młynarz, gdy z pod kamieni trących ziarno, wiatr szczelinami wiejący, dmuchnie nań mąką pszeniczną, miałką i lepką —

— — — — — —

Cóż dziwnego, że w miarę rozwijania się wrażliwości — nazwijmy ją: wzmożono-zmysłowej — całe życie Mikołaja zmieniło swój wymiar zasadniczy!

Wegetacja przemieniała się w życie.

W murze, który odgraniczał mały zamknięty świat ogrodu, zrobił się wyłom — przejście do ogrodu wielkiego, kędy na wiecznych polach z ziarn gwiezdnych rosły ziemie i zakwitały słońca, kędy pod tchnieniem Boga ciałem z pyłu planetarnego odziewał się ogrodnik: duch pracowity: człowiek.

Czujna świadomość wzmagała samopoczucie —

Najdelikatniejszy odruch ciała, myśli i czucia notowała pamięć z przeczuloną, chorobliwą wprost skrupulatnością.

Natłok bez liku tych niezdarzonych zdarzeń rugował wczorajsze i przedwczorajsze — spychał je w cień — szły nowe dzisiejsze zwycięskie i jutrzejsze zdobywcze — tak wciąż, bez wytchnienia, bez odpoczynku, bez ustania —

Niemniej w lamusie pamięci ostały wszystkie — niezginione.

Poruszenia jeno trzeba, przypadku, hasła, insurekcji, konjunktury osobliwej — a dawno (zda się) zagubione i przepomniane — wydobywają się na wierzch, — świeże i żywe jak w chwili swych narodzin.

Wiecznie płynne, zdrowe, szumne życie obracało młyńskiem kołem doznań, — a już od gatunku i dorodności ziarna zależało, jaka z pod obrotnych kamieni sypała się mąka.

Z ziarn czasu posuchy —
— mąka nikła —
Z ziarn czasu wód i burzy —
— mąka gorzka —
Z ziarn czasu równowagi —
— mąka pożywna —
Z ziarn czasu podniesienia —
— mąka Ciała Pańskiego —

ROZDZIAŁ CZWARTY

O LĘKACH, TRWOGACH I STRACHACH, O „CORNYM" I MAZI, ORAZ O SKUTECZNYM RAD SPOSOBIE; ŚWIAT WIDZIALNY I NIEWIDZIALNY; SIEŃ I PIWNICA; DROGA ZAROSŁA TRAWĄ TRWA W PRZESTRZENI NA ZAWSZE.

Do tego czasu — poza lękami gatunku nieuchwytnego, nostalgicznego raczej, nie znał Mikołaj uczucia trwogi.

Lecz w tym właśnie, o którym się pisze, okresie życia — począł odczuwać nieuzasadniony strach przed mrokiem, nocą, snem, a nawet przed samotnością, zwyczajną, dzienną, pokojową samotnością.

Kiedyś rankiem, — gdy jeszcze Mikołaj leżał w łóżku — weszła do pokoju Antonina.

Ręce miał założone za głową.

Rękawki koszuli odwinęły się z ramion.

Ramionka szczupłe i białe.

W zgięciu naprzeciwłokciowem niebieszczyła się poprzez przeźroczystą skórę kręta rzeczka żyły.

— coś ty to mos hawoj — ? — zapytała Antonina wskazując na tę żyłę.

— a co — ? —

— nie dobre to, odznak kiepski —

Przysiadł na łóżku.

Siwula paple dalej —:

jak dziecko takom zyłe na ręcach mo, to znacy, ze corny przychodzi nocom i krwiom ś niego pije — ja, tak to jest — — miboże, teros wiem bezcoś teli bladawy —

— jaki corny — ? —

— djeboł — na psa urok — — un se przychodzi na śpiącku człowieka tropić —

— djeboł — ? —

— no, krwiom z człowieka ssie, — a jak sie ranek robi, to skoko prec bez łokno i w maź sie rozlewo —

— w jaką maź — ? —

— no w maź — zwycajnie; — casem mozno napotkać cosik takie wele chałpów jak z przeproseniem krówskie łajno, — a to nie łajno ino djeblo maź —

(— po pokoju się kręci sprzątająca, a myśli swe uparte głosi wciąż —) —

— muse tys wyźryć bez łokno cy ka cego nima paskudnego —

Wypręża się, żeby przez kraty dojrzeć; zprawa i zlewa zachodzi —

— je, Boga kwolić nika nic —

— no to moze ta żyła nie z tego co mówicie — ? —

— i to być może ze co inkse, — ale zawdy lepi sie wystrzygać —

— ady się modlę —

— choć ześ sie ta i przed spaniem pomodlił — to sie ta jesce na śpioncce przezegnoj — a prawom zawdy (— nie może mu zapomnieć tej lewej z przed kilku laty! —) i do Łanioła Stróża wesknij — to skutecne —

—

Ta pogwara zabobonna wywarła na chłopcu wrażenie silne.

Silniejsze, niż sprawa na to zasługiwała.

Począł się lękać i strachać.

Czego — ? —

Nie wiedział.

Lęk sam w sobie!

Otwieranie się zmysłów na dziedziny dotychczas niedostrzeżone — kazało dopatrywać się tajemnic wszędzie.

Świat niewidzialny jest stokroć, tysiąckroć większy od widzialnego; — większy, wspanialszy — ogromny!

Jest zdobywczy i zaborczy!

Upaja jak narkotyk!

Kto raz we władzę jego popadł, nie umknie się jej nigdy.

Trwa ona nad nim — przewodzi — kieruje i sądzi.

Nawiedzony żyje połowicznie, a zarazem podwójnie.

Połowicznie — *tu*, a podwójnie, bo równocześnie *tu* i *tam*.

Lecz to już w dalszym rozwoju.

W samopoczuciu medjalności.

W dojrzałości.

Tymczasem —:

— przyspieszał Mikołaj kroku, gdy szedł przez samotne pokoje; — sień zwłaszcza z wiecznie czujnem echem nieuśpienie czatującem na sklepieniu — przerażała go; — zdało mu się, że ktoś za nim idzie! — biegł — lecz to coś biegło za nim — od ściany do ściany — szuściły nietopne skrzydła — a potem na palcach — na palcach — — wloką się błony po kamiennej posadzce...

Chłopiec żegnał się w myśli po wielekroć razy — a strach jeżył mu włosy, gdy niewidome stopy nadeptywały mu na pięty — stąpały po powale — zaganiały go z boku — — Jezus Marja! —

Pójście do „piwnicy", gdzie go ojciec po wino często posyłał — było dla Mikołaja męką niewypowiedzianą!

A zmierzchy!

A noc!

Ożywały zasłyszane dzieje domu porębiańskiego — życie ukryte w murach, izbach i drodze okalającej, która już dawno istnieć przestała; zarosła trawą — tak! — lecz szlak, lecz bieg, lecz nurt jej utrwalił się w przestrzeni na zawsze — —.

ROZDZIAŁ PIĄTY

PODAJĄCY KRÓTKĄ HISTORJĘ DOMU PORĘBIAŃSKIEGO; DOWIADUJEMY SIĘ COŚ NIECOŚ O ANKRACH I, CO WAŻNIEJSZE, O IZBIE, W KTÓREJ STRASZY ZJAWA MARKUSA LIBERMANA; DUKAT BELGIJSKI I INNE DROBIAZGI.

Dom porębiański zasiedziały był na swojem miejscu od dawna.

Najstarsza jego część, a więc sień i owa piwnica, — sięgały pamięcią genetyczną w drugą połowę szesnastego wieku; — nic też dziwnego, że tą połacią wrósł o dobrych kilkanaście cali w ziemię — wszakże spory schód zstępujący musiał sobie dobudować od strony podwórza.

Starość ciągnie wdół.

Inne części były nowsze — dobudowane, przebudowane, nadbudowane — jak mogły tak się dopasowywały do dawnych; — dokładnie, „na jotę" — zrobić się to nie dało, wola wyprzedzała znacznie wykonanie; — podczas, gdy tamte starsze partje znużoną stopą fundamentu zagłębiały się w podłoże — nowe wcale takiej chętki nie żywiły; — rezultat —: szpary, rysy, pęknięcia, zacieki, przechylenia, skośność poniektórych podłóg i sufitów.

Niewesoło!

Więc rada w radę — jak tu pomóc?

Periculum in mora!

Mus!

Ano — jedyna rada orzekł pan budowniczy, a za nim poler, majstrowie, podmajstrzy i terminatorzy — jedyna rada —: ankrować!

Ankrować i ankrować — nic — tylko ankrować!

No dobrze! — jak tak — to dobrze!

Sprowadził więc pan Michał Srebrempisany (— było to w pierwszych latach objęcia przez niego tej murowiańskiej habendy —) skąd trzeba było — owe, zachwalone na kilka głosów — ankry!

Jeden majster, trzech podmajstrzych i dwóch pomocników murarskich (jeden z nich zwał się Bryndza i pochodził z Choczni — Józef Bryndza) dziurawiło przez dwa tygodnie dom z pasją, naodlew, oburącz! — aż grzmiało — a echo z sadu odpowiadało — i z Grodziska też.

Huk, stuk, bicie, kołatanie, świdrowanie, borowanie.

Zsypuje się tynk, wapno, cegła, kamień.

Mur jęczy — ściany drżą.

Wokół biało i ceglasto — takie też i tropy do domu i od domu wiodące.

Ogród, trotuar, sień, schody, podwórze —: biało i ceglasto i — chrzęści pod nogami jak piasek w zębach.

A potem w te dziury nawylotne wydźwignęli, podsadzili, założyli długie, czarne sztaby żelazne,

antaby trwałe; — a gdy jeno taka sztaba łeb swój wąski z muru wysterczyła — zaraz na nią w te pędy śrubę-mutrę pakowano; — tak z tej jak i z tamtej strony — z obydwu!

A tu cęgi, szczypce, klucze, dźwigary! — na dziesięcioro rąk te mutrzyska zakręcono, — aż tam po strychu i po sufitach i po odłogach trzeszczało i strzelało jak sto dj..... (naklęli się też przy tem i napomstowali — słuchać przykro — uszy więdną!).

A sklepienie w tej kaplicy-piwnicy trzeba było na gwałt podpierać belkami — groziło zawaleniem.

Budowniczy, wywodzący się z Czechów, wyganiał ludzi z sieni, piwnicy i izb — wołając groźnie:

— utekajte bo puka! —

Sam stał w ogrodzie.

W rezultacie rada budowniczego, polera, majstrów, podmajstrzych i terminatorów, okazała się skuteczna, potrzebna, istotna.

Klamry pomogły; szczeliny się zeszły; stare z nowem się zlepiło w zgodnem i trwałem zbliżeniu.

Zwory coś-nie-coś, — to prawda —, dom na zewnątrz oszpeciły; ale na to już rady nie było! — musi tak paradować z czarnemi plastrami; wstydu w tem niema, trochę przykrości tylko.

Ostatecznie, a to przecież najważniejsze — skrzepił się dom w sobie — stwardniał, odmłodniał; — postanowił, pełnię nowych sił zankrowanych mając w zapasie, trwać, trwać długo — „tyl-

ko mi spon potrzeba było" — mawiał; — spon to znaczy zwor, a zwory to znaczy klamry, a klamry to właśnie te ankry, drogi panie!

Więc rósł sobie pod zboczem gór ten dom, w chwili gdy go pan Michał Srebrempisany nabył, bezmała już trzysta lat (może i więcej!) — a, jakkolwiek żywą legendę o jego arjańskich mieszkańcach ludzie nauki łacno obalić mogą, gdy zechcą — to jednak tak długi przeciąg czasu bytowania domostwa — niewątpliwie napełnił mury jego i atmosferę komnat dziwami przerozmaitemi.

I tak:

w komnacie (niezamieszkałej oddawna, a będącej czemś w rodzaju filji lamusa — uprząż tam mianowicie zużytą wieszano na wbitych ad hoc w ścianach kołkach), która miała jedno okno patrzące mętnie na podwórze — jedyne okno w całej północnej, dużej, czarnej ścianie, dwu otworów okrągłych przewietrzających strych nie ma przecież co liczyć — w komnacie tej — straszyło!

Nieczęsto — lecz dobrze!

Kilka razy do roku — a na sądny dzień żydowski bezapelacyjnie — pokazywało się o północy w oknie tem światło — a przy świetle (żółtem i przykopconem) widać było żyda pochylonego nad stołem i liczącego dukaty; nad stosem czerwieńców wysypanych z worka uganiały się pracowite palce jak nogi białego pająka; — odziane było to widmo w śmiertelną koszulę i miało długą czarną brodę, która mu z roku na rok, już jako duchowi, rosła (ponoć).

Kto zjawę tę ujrzał — umierał do roku, — chyba że splunął za siebie trzy razy i odmówił litanję do Wszystkich Świętych; wtedy tylko chorował ciężko i długo.

Tak uczyniła Antonina i tak uczynił Jasiek — kwękali lecz nie pomarli; — lepiej jednak nocą w to okno nie spozierać.

Tak też trzy razy za siebie splunął i litanję do Wszystkich Świętych odmówił — wójt Kowalczyk, który ducha tego dwa razy widział; — dwa razy też obłożnie chorował.

Kowalczyk, jako człek stary, więc już niejako zwolniony od mówienia prawdy, a do kłamstw niczem niezmuszany, wiedział nawet, kto to jest, względnie kim był ów strzygoń w śmiertelnej koszuli.

Był to Markus Liberman mąż Fani Liberman, którzy społem — a będzie temu ze sto lat — trudnili się lichwą straszliwą; — wielu przez nich dobrych i uczciwych ludzi, co lekkomyślnie u tych Libermanów dług zaciągali — zeszło na dziady i na psy — z torbami w świat!!

Przekleństwa tych nieszczęśników — a byli wśród nich zarówno chłopi jak i szlachta i mieszczanie — dognały Markusa po śmierci i zmusiły go do tej pokuty: straszenia, szkodzenia, wywoływania nowych, przedłużających mękę, złorzeczeń.

A dlaczego w tym właśnie pokoju było miejsce na tę pokutę?

Rzecz prosta! — dlatego, że ścigany zemstą i gniewem bliźnich, których obdarł ze skóry — schronił się w pustym podówczas dworze-ruderze — i tam w zadowoleniu złośliwem obliczał zyski swoje sute i czerwone od złota i krwi ludzkiej.

Po śmierci czynił to samo.

Kiedyś — tak twierdził Kowalczyk, a przytakiwał mu Sabuda (zmłodu uczestnik rzezi chłopskiej) — kogut młyński nad zwyk wcześnie zapiał; — żyd nie zdołał zgarnąć zgrabnie wszystkich czerwieńców do saczka — tak szast-prast na łeb na szyję znikać musiał! — nazajutrz trzy świecące dukaty znaleziono w szparach między deskami; z pod pajęczych palców ze stołu spadły.

Jeden z nich dostał się do rąk Kowalczyka — schował go do skrzyni na inkluza.

Pokazywał go panu Michałowi; był to piękny dukat belgijski: po jednej stronie wyimaginowany był rycerz w zbroi, dzierżący w prawej ręce miecz, a w lewej pęk strzał, wokoło biegł napis: *concordia res par. cres tra.* i data 1816; po drugiej stronie w kwadracie pięknie ozdobionym błyszczały słowa: *provin. foeder. belg. ad. Leg. imp.*

A ten kogut wczesny zginął na drugi dzień — znalazły go dzieci wciśniętego między tarnie z zadartemi nogami; głowę miał odgryzioną.

Oczywiście — zwłaszcza przy tak dowodnem corpus delicti (— pieniądz-kogut —) — cała wieś i okolica uwierzyła definitywnie w te strachy i zjawy żydowskie.

Pan Michał starał się dowieść, że to dla żyda żaden interes — straszyć; zwłaszcza, że można przy tym hazardzie pieniądze stracić — jak się okazuje —.

Orzekli jednak wsiowi, że „jegomoś" jest niedowiarek i że się go figle trzymają; — lepiejby zrobił miasto żarty stroić z poważnej rzeczy, żeby tam w tym pokoju poszukał pod podłogą, albo w ścianach (trzebaby je opukać!) — bo tam na pewne jakieś pieniądze w żeleźniaku ukryte być muszą; a już kto jak kto — ale „jegomoś" by je znalazł — ma szczęście — przecież to pierwszego zaraz roku wyorał Jasiek na pańskim garnuszek z pieniądzmi; miedziaki to były — ale zawsze! — na szczęśliwą rękę wskazuje —

Dość na tem, że sława dworu porębiańskiego, jako domu, w którym straszy, była ustalona na wieki wieków.

Mogłoż to nie wywrzeć wpływu na Mikołaja? — wszakże-ci go od dzieciństwa karmiono tą strawą — —

Prócz tej komnaty kupodwórznej, ponoć i niebieski pokój bywał nawiedzany przez duchy — wprawdzie dowodów wyraźnych nie było —

W każdym jednak razie....

ROZDZIAŁ SZÓSTY

O DRUGIEM ZJAWISKU NADPRZYRODZONEM, O ZEGARACH TYKAJĄCYCH W ŚCIANACH, ORAZ O TEM JAKIE Z TEGO SNUTO WRÓŻBY; JAK JE WITA ANTONINA? CO O TEM MYŚLI PAN MICHAŁ? ŚCIANA UPRZYWILEJOWANA.

Drugiem nadprzyrodzonem zjawiskiem domu porębiańskiego były — zegary w ścianie.

Cudowność tej sprawy polegała na tem, że kilka razy na miesiąc o różnych porach dnia i nocy słychać było idące w ścianach zegary.

Fakt ten nie ulegał kwestji, nie można było nie wierzyć — słyszeć mógł każdy — wszyscy słyszeli.

W ciszy, czy podczas rozmowy, przy świetle dziennem, czy lampowem — nagle w którejś ze ścian budził się miarowy, rytmiczny tykot —

Wtedy wszyscy milkli —

— oho! — mówiono — zegar! —

W ciszy słychać było dokładnie:

— tik-tak, tik-tak, tik-tak —

Trwało to tykanie rozmaicie — krócej i dłużej — kilka minut — czasem godzinę —

Fenomen ten nie był przywilejem jednej ściany, lub jednego pokoju — nie! — zegary chodziły we wszystkich pokojach i wszystkich ścianach.

Nie zdarzyło się natomiast, aby dwa tykoty w różnych miejscach naraz słyszano.

Zawsze jeden tylko.

A był ten tykot raz słabszy, raz silniejszy; — tak słaby, że tylko zbliska, niejako do ściany ucho przytknąwszy słyszało się cośkolwiek, — czasem znów tak silny, że w całym pokoju, a nawet w sąsiednim wyraźnie słychać było głośne: tik-tak, tik-tak — —

Zegary te (czy może był to jeden zegar wędrujący?) nie biły nigdy.

Tykotanie zegarów w ścianie uchodziło ogólnie za dobre omen; wróżono sobie z tego nowiny szczęśliwe.

Ponoć przejawiały się w tym kształcie głosowym duchy dobre i dla domowych życzliwe.

Podziomki niby — niby Lary i Penaty.

Nie mówiła też nigdy Antonina (najbardziej oczywiście uświadomiona i biegła w wiedzy tajemnej) do tych duszków-tykotków — „strać się", lub „wszelki duch Pana Boga chwali" — ani też „wiecznego odpoczywania" nie odmawiała; — witała tykot zegara jak gościa: „niech będzie pochwalony Jezus Chrystus".

Pan Michał, że to miał na książkach zepsuty umysł — starał się twierdzić (śmieszne!), że to szpary w murze, szczelinki, kanaliki, zsypujący się piasek, toczek wreszcie — możliwe — jakiś tam kornik czy coś takiego — — ale to wszystko było groch o ścianę, o tę samą, w której zegar tykał.

Słusznie!

Mikołaj od dzieciństwa najwcześniejszego zapoznał się z tem zjawiskiem — zwłaszcza że ściana, przy której stało jego łóżeczko, była osobliwie uprzywilejowana: — chętnie w niej zegar chadzał — chętnie, często, głośno i długo.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

O TRZECIEM ZJAWISKU NAJGROŹNIEJSZEM; SIĘGAMY W GŁĄB HISTORJI, DOWIADUJEMY SIĘ O STRASZNYM CZYNIE BYŁEGO DZIEDZICA PORĘBY MUROWANEJ AUGUSTA SKORUPKI PADLEWSKIEGO, O TRZYKROĆ NA DOMU ZJAWIONYM OBRAZIE; ZŁA WRÓŻBA; SOBOWTÓR.

Wreszcie zjawisko trzecie — rzadkie i nader osobliwe!

A dotyczyło to zjawisko drogi, która ongiś okalała pierścieniem dwór porębiański.

Śladu już z tej drogi nie było!

Częściowo kwieciły się na niej uprawne rabaty i miałkie klomby, częściowo przerzynały ją aleje parkowe — resztkę jej, drogą jeszcze, lecz już żałośliwie marną będącą, skasował pan Michał, gdy tę dalszą i dogodniejszą w wieś wiodącą sumptem własnym zbudował.

A tej sprawy zjawiskowej historja wierna jest taka —:

— kiedyś tam, za czasów saskich jeszcze — panem na Porębie Murowanej z przyległościami sutemi i intratnemi był August (że się to za Mocnego rodził) Padlewski; pieczętował się Skorupką; — onże to właśnie był ojcem trzech synów, któ-

rzy później zaciągnęli się do Konfederacji Barskiej, i tam też w jakiejś srogiej potrzebie przeważającą sotnią wrogów otoczeni — wszyscy trzej bohaterską śmiercią zginęli.

A był ten August Skorupka Padlewski zawadyaką strasznym, haraburdą, pijakiem, kosterą i karciarzem.

Żona jego nieszczęsna Hanka z Białoskórskich — trzeciego syna na świat wydawszy, Bogu znękanego ducha oddała.

Synów niedorostków Jana i Piotra oraz to trzecie niemowlę ochrzcone świętem imieniem Marka — zabrała rodzina śp. Hanki Padlewskiej — bo się też już patrzeć nie mogła na dokazywania i wieczne zapusty starego — z czego tylko zły przykład i zgorszenie dla dzieci rosło haniebne.

Nie dbał o to niegodziwiec — bo i o dzieci nie dbał — kompanji tylko pijackiej się dzierżąc, zamtuzów i dziewek pilnował.

Huczał też wtedy dwór porębiański napęczniały wrzawą pijacką, piskiem gamratek, niechlujstwem wszelkiem.

Sodoma, Gomora!

O gospodarstwo troszczył się Padlewski August tyle co nic; ekonomów jeno, wywłoków z pod ciemnej gwiazdy trzymał — ci rządzili, pożal się Boże! — pyskiem i batem.

A on pił, hulał i w karty rżnął bez opamiętania; — noc jedna — druga — trzecia — dla niego to nic — ino mu się czupryna srożyła, a worki pod oczami rosły sine i obrzydliwe.

Dokazywał on, dokazywała brać szlachta okoliczna: Gabrysiewicze, Ślascy, Smolarscy, Turczyńscy, Rokowscy — jedna banda.

Tak było tu, tak było gdzie indziej, tak było w całej Polsce; — kto żyw przeżerał, przepijał, bezcześcił i przegrywał ojczyznę.

Karlały duchy — pęczniały kałduny.

Szlachcic owoczesny nosił przed sobą plugawe brzucho, jak dobosz bęben; — wnet też miał wróg zagrać na nim werbel: *finis Poloniae.*

Z najgorszych najgorszy był dziedzic porębiański August Skorupka Padlewski.

Majątek jego — przy takim trybie niepolitycznym a straceńczym kurczył się coraz bardziej — długi rosły — pijatyka, rozpusta i karty zjadłszy już folwarki i przysiółki — poczęły nadgryzać porębiańskie lany i włóki wraz z poddanymi jęczącymi w twardej pańszczyźnie.

—

Tak oto dnia któregoś jedzie dziedzic porębiański po sutej libacji na zabawę karcianą do sąsiada pana Rokowskiego, oficjaliter Rokuśką zwanego.

Jedzie w kolasie — czwórką bułanych (cała parada stadnińska!).

Przejeżdżają koło kościoła drewnianego ukrytego w lipach olbrzymich — Sośnianka się ta parafja zwie — aż tu jak Padlewski nie huknie na stangreta —

— stój! —

(— a setnie mu się z czuba kurzyło po dwudniowem bankietowaniu —)

— stój! —

Zerwał parobas lejce — potoczyła się jeszcze kolasa kilka kroków — stanęła.

Padlewski wysiada.

A wisiał tam na bocznej ścianie tego kościoła sośniańskiego pod pięknie łamanym przydaszkiem obraz Matki Boskiej Nieustającej Pomocy — cudami daleko słynący.

Podchodzi pan August do tego obrazu — a ile zdzierżyć może — prosto się trzyma — staje, zdejmuje czapę — na karabeli rękę wspiera — hardo, po pańsku — nie klęka, głowy nie schyla — i taką pali oracje —:

— Łotr jestem i takisyn — pijak, kostera, karciarz — z poddanych pasy drę — nikomu dobrego słowa nie dam, owszem — złe zawsze; — dziś jadę grać — ostatnia stawka — abo wygram i podźwignę się, abo przegram i djabłu duszę oddam — Twoja wola! — nigdy do Ciebie nie przychodzę — łasić, prosić się, źlamdać — nie moja rzecz! — a dziś, jakem Skorupka — pierwszy i ostatni raz —: dasz że wygram — poprawię się, życie nowe zacznę — nie, no to już wiesz! — wóz albo przewóz — —

Czapkę nałożył — — ani się nie przeżegnał — jakby do równego sobie, albo-li niższego mówił; przed instancją Boską respektu nie miał — ba, pychę!

Stangretowi i ludziom, którzy na ten czas na mogiłkach wedle kościoła zebrani byli — ciarki po krzyżach przeszły, jakby się w mrowisku nurzali.

No i cóż?!

Grał u Rokuśki przez trzy doby z rzędu — karta z początku szła wysoka — później się fortuna odmieniła — same młódki — przegrał wszystko z kretesem — gotowiznę — zbiory — dom — wieś — dusze, — tyle, że sobie wymówił, że kolasą do domu pojedzie interesa ostatnie załatwić — bo to już i te konie i bryka nie jego — przegrane jak wszystko; karabela tylko jego i kontusz a i ten bez guzów.

Wyszedł stamtąd gdzie grał — o świcie — czerwony jak rak; oczy przekrwione, workami podkrążone — obmierzły, zły, brzydki!

Zacharczał:

— do Poręby! — a jedź tak, żeby wedle kościoła — pamiętaj! — wal w konie — niech zdechną! —

Jadą — aż iskry z pod kopyt lecą — a kolasa chwieje się w tym pędzie to na lewo, to na prawo; — cały gościniec Padlewskiego! hoc!

Są już na półwsiu Sośniańskim, droga pośród chałup — kury przelatują płoty — rozgdakane, spłoszone — psy ujadają — bieli się mur wokół mogiłek — lipy rozłożyste — kościół — —

— stój —

ryknął, aż konie na zadach przysiadły!

Wychodzi z kolasy, a już czarny był nie czerwony — krew go zalewała.

Idzie przed obraz cudowny —;— czapki nie zdejmuje — staje na kamiennym schodku — mówi — ochryple — powoli —:

— no? — tom i djabła jest — Twoja wola —

Ani słowa więcej! — Stoi — wpatruje się w obraz — — a teraz — — Chryste Panie! — wyciąga z pochewki żegadło, które stale przy sobie nosił — podnosi zbójecką rękę — i w ten święty obraz — z całej siły nóż wbija — po rękojeść — w serce Matki Boskiej! — — W serce Przenajświętsze!

Jeszcze ręki od trzonka nie odjął — — aż tu cud wielki!

Cud!

Z obrazu — z tej rany — jak z żywego ciała krew chlustnęła na mordercę, na twarz, na ręce świętokradzkie — — cały kontusz we krwi — — czerwone krople na schodzie — na murze — — krew — —

Ostawił tam ten nóż — oczy zasłonił — zatoczył się — odwrócił — — — do kolasy biegnie — czarny, zakrwawiony upiór — ! — —

Stangret w trwodze śmiertelnej zeskoczył z kozła — upadł — dźwignął się — do kościoła się schronił z wielkim krzykiem — Jezus! Marja!! — —

Padlewski lejce z ziemi zgarnia — — w kolasie staje — — wio! — — Konie zestrachane zerwały się — szarpnęły — gnają! — brzuchami ziemię orzą — —

Djabli woźnica biczyskiem okłada zady — — gnają! — —

Tak dojechali do Poręby! — zajeżdżają przed ganek — — chce Padlewski konie wstrzymać — zaparł się nogami — całem ciałem wtył się przegina — — końskie pyski rozdarte — jęzory wywalone — nie mogą się wstrzymać — — — spojrzał na bramę — — aż tu na drzwiach wisi ten obraz krwawiący — krew ścieka na próg — — Pani zraniona śmiertelnie — broni wejścia — —

Płoszą się konie — wilkołaka wiozą! —

Dalej!

Tą drogą wokół dworu!

Pędem!

Przy drugich drzwiach, od sadu, to samo — drzwi obraz zakrywa — — krew — —

I przy trzecich — podwórzowych — —

Obraz — — krew — —

Dom zamknięty krwawiącym obrazem!!

—

Trzy dni i trzy noce objeżdżał ten djabeł już, a nie człowiek — dwór porębiański —

Z koni ciało odpadało kawałami —

Już tylko szkielety bieliły się przed kolasą —

Posiały się koła, szprychy, obręcze, dzwona po tej szatańskiej drodze — kadłub bryki niósł się dalej na powietrzu —

Zatraciło się dudnienie i tupot — wokół domu gna pęd, świst, charkot — zło!

Tak przez trzy dni i trzy noce! —

Dopiero na czwarty dzień o świcie — otwarła się ziemia święta — buchnął ogień siarczany i gęsty dym — piekło pochłonęła Augusta Skorupkę Padlewskiego wraz z czwórką szkieletów końskich i szczątkami kolasy.

Na miejscu, w którem się ziemia rozwarła, został kontusz zdarty splamiony krwią — zmięty dziadowski łach —

Tyle legenda —

Od lat onych, co jakiś czas — a nieszczęście zawsze wieszcząc — objeżdża w złowrogim świście wichru niewidoczna kolasa dom porębiański — tą drogą dawną, na tę jedną chwilę wskrzeszoną.

Nie widać wtedy nic — chociaż ktoby się też ośmielił wyjrzeć w tym zastrachu wielkim — nikt! — — Lecz słychać chrapliwy, zgoniony oddech koni — łoskot kół — raz — drugi — trzeci — — a potem cisza...

Wszystko to wymysł i wyobraźnia!

Wszystko to nieprawda!

Oczywiście!

A jednak — —

— — był taki wieczór późny — pan Michał do snu się już ułożył — lampę właśnie zgasił — — aż tu nagle wiatr gwałtowny uderzył naodlew w las, a potem w dom; huk przeciągły jak daleki grzmot przewalił się nad Grodziskiem; — dom zadygotał — — zadźwięczała gdzieś na piętrze rozbita szyba.

Jękło boleściwie w kominie — i wraz — — zadudniło na drodze brukowej — tupot kopyt —

— hurkot kół — — ktoś zajeżdża przed dom! — o tej porze? — Chryste Panie! — — nie! — nie zatrzymuje się powóz przed bramą!

Nie!

Dom dookoła objeżdża!

Śpiesznie — pędem — galopem — z wiatrem nawyprzodki — —

Turkot cichnie — wzmaga się — raz — drugi — trzeci — —

Cisza!

Runął w czarną noc widmowy gość....

Straszny to był moment!

Zerwał się gwałtownie Mikołaj ze snu — — krzyknął —:

— Tatusiu! — co to? — co to było — ? —

— nic, synku, śpij — — wiatr to był tylko —

Odpowiada ojciec spokojnie — lecz głos mu drży, a serce wali — — zadyszka ciężka — —

—

Nazajutrz nadeszła wiadomość o śmierci Marcelego Srebrempisanego — ostatniego z braci pana Michała.

—

Taki to był wiew legend, podań i zjawisk, który opływał dzieciństwo Mikołajowe.

A ileż dziwów, cudactw i baśni nasłuchał się w czeladni — ?! —

Łuczywo smolne z nad przypiecka świeciło w oczy duchom i strzygom.

W okresie nagle wzmożonej lękliwości napełnił się cały dom widmami.

Najbardziej trwożące — jak zwykle — były te, które sam stwarzał.

O nabytych lękach można zapomnieć — własne nosi się zawsze z sobą.

A wśród samostworzonych jest jeszcze jeden najgroźniejszy i ponad niemi stojący — przeraźliwy: człowiek sam dla siebie!

Sobowtórem człowieka jest trwoga, która wylęgła się wraz z nim w wieczności — w wieczność ją też człowiek z sobą niesie.

ROZDZIAŁ ÓSMY

O NOWYM KRAJOBRAZIE DUCHA MIKOŁAJOWEGO, O MODLITWACH PIERWSZYCH I MYLNYCH ZAPATRYWANIACH NA SŁOWO „PONCKI"; WALKI DWU SIŁ; POSTAĆ KLĘCZĄCA WTOPIONA W ŚWIT; UKOJENIE; O UKOCHANIU NAJWIĘKSZEM; OCZY, ZA KTÓRE TRZEBA SIĘ MODLIĆ.

Wespoły z trwożliwością wzruszenia religijne opanowały Mikołaja docna.

Kiedyż to było? — już odległe bardzo te czasy, gdy zachodził do kuchni, gramolił się na stół (z ławki), nad którym wisiał zachrypnięty zegar; — tam to przed małym obrazkiem, przedstawiającym dzieciątko Jezus z wątłym trzcinowym krzyżem w ręku — klękał Mikołaj, odmawiał Ojczenasz i dodawał: —

— daj Boziu zdlowie tatusiowi i wszystkim ludziom —

Antonina, przysłuchująca się tej modlitwie, douczała skwapliwie:

— daj nom Boziu papu zawdy —

Kiedyż to było? — dawno! — rok temu czy dwa? — umarli jadą prędko — a dni minione są dniami umarłemi —

Potem kult cudowny dla Panny-Matki: — Zdrowaś Maryjo —

Wreszcie akt wiary: — Wierzę w Boga —

A to z tem „Wierzeboga" była taka sprawa:

— w styczniu to jakimś było czy lutym, pani Zofja o krótkich srebrnych włosach — przyjechała w niedzielne popołudnie do pp. Srebrempisanych i przywiozła: pączki!!

Pierwszy to raz zapoznał się Mikołaj z tą formą ciast i z formy tej cudaczną nazwą.

A że właśnie w zeszłym tygodniu uczył się „Wierzeboga" z owemi słowami: „pod ponckim Piłatem", których nie rozumiał, — więc pomyliło się jakoś jedno z drugiem, pomieszało i przestawiło — tak, że przez dłuższy czas odmawiał te słowa zbakierowanie: „pod pąckiem Piłata" — przyczem żywe wyobrażenie pączków utrwalało się coraz mocniej w myśli.

Wreszcie dowiedział się, co znaczy „poncki" a co „Piłat" — wiedza ta wyrugowała mylne domniemanie.

— — — —

Od owych dni — po lata te (— a to siódmy i ósmy rok życia —) — poczucie religijne wzrosło w chłopcu wyczuwalną obecnością Boga.

Dzień i noc i czynność każdą rozpoczynał modlitwą — ona też strzegła go od złego, które począł odczuwać również jako nieustanną, czujną obecność.

Wokół duszyczki jego stojącej w pośrodku toczyła się walka ustawiczna, o której wiedział, której klęski i zwycięstwa na własnej odczuwał skórze.

Modlitwą pomagał dobru —

Złe skłaniało do przewin —

Baczeniem pilnem, wzrastającem z dnia na dzień — umęczony był bardzo.

Był to równocześnie okres fizycznego osłabienia.

Wielkie ukojenie sprawił mu fakt podpatrzony o wczesnej jutrzni.

Dnia tego zbudził się Mikołaj z nagłem poczuciem gwałtownego, nieopatrznego lęku; — wyskoczył z łóżka (— różowiło się niebo na wschodzie; ogród spał jeszcze w bezwietrzności rzeźkiego chłodu —) — pobiegł w stronę pokoju ojcowego.

Drzwi były uchylone —

Już miał wejść, — gdy oto ujrzał przy oknie klęczącego ojca — ręce jego spoczywały na parapecie — głowa ku dłoniom złożonym schylona — — modlił się!

W tej chwili lęk odpadł od chłopca — jak ręką odjął —

Dobry, błogi, ukojny spokój szedł od tej kochanej postaci klęczącej —

Za wzgórzami wschodziło słońce —

Jasność —

Radość —
Olśnienie —
Cud —

W blaskach rannych, na tle świetlistego okna — przygarbiona postać ojca odcinała się konturem niebieskim — mżyła — jaśniała — przesłaniała się omgłą różową.

Oczom dziecięcym przywidziało się, że miejsce postaci kochanej zajęła drżąca przestrzeń obramiona linją błękitną — przestrzeń, która coraz wyraźniej stapiała się z rozdrganem podsłonecznem światłem.

Powietrze — słońce — ojciec —

Cicho — cichuteńko — stopkami bosemi odszedł Mikołaj od drzwi ku łóżku.

W połowie drogi dognało go westchnienie głębokie — tam — od tego okna przemienionego — —

*

Czy można bardziej kochać kogokolwiek w życiu — niż ojca? —

Nikogo!

Jeden-ci on jedyny na świecie!

Najdroższy — niepojęcie umiłowany!

Na ziemi i na niebie — on jeden! —: najświętsza instancja przed Bogiem!

Jeno ten kto ojca ponad wszystkich ukochał — zdolen jest wszystkich ukochać.

*

Mikołaj modlił się żarliwie — ojcowe zdrowie i szczęście Bogu polecał —

— tem żarliwiej, że przecież jedną maleńką modlitwę musiał ofiarować za zdrowie Olgi — za zdrowie oczu Olżynych...

Wojewódzka Biblioteka Publiczna Bielsko-Biała